

PROF. ANDRZEJ LEDER
ZBRODNIĄ JEST ŁATWA

JAN GUZ, PRZEWODNICZĄCY OPZZ
RZĄD BOI SIĘ ROZMAWIAĆ

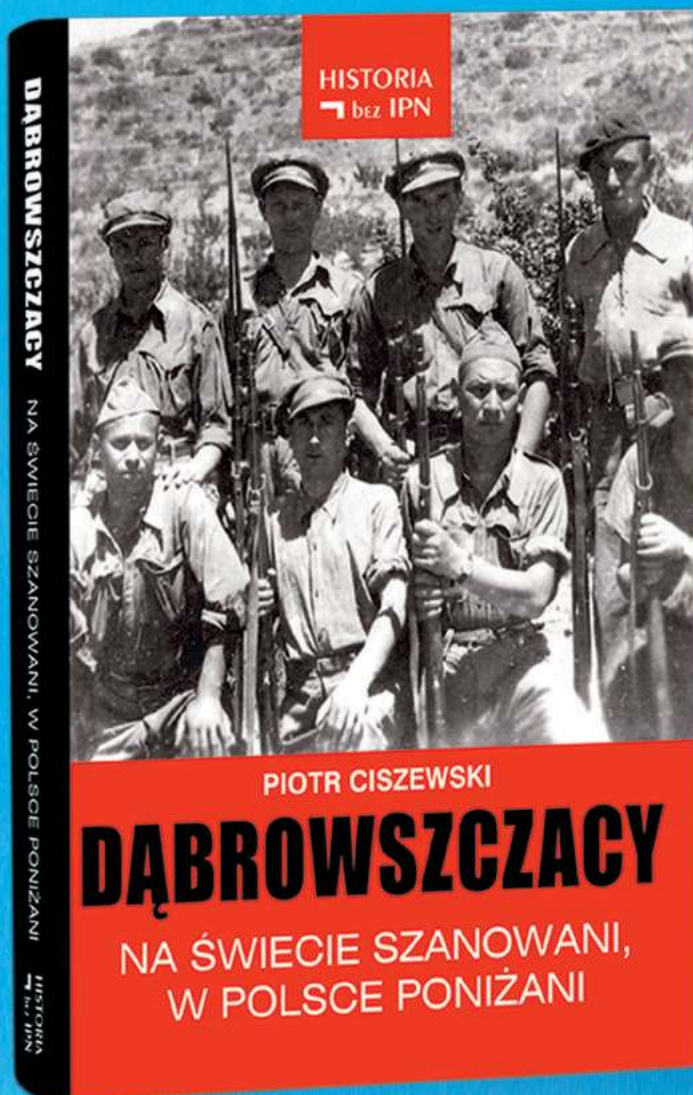
DR HAB. EWA MARCINIAK
WYBORCA KARMİ SIĘ EMOCJAMI

IRENA DZIEDZIC BYŁA IKONĄ,
ZMARŁA W ZAPOMNIENIU

A large, close-up portrait of Andrzej Leder, a middle-aged man with grey hair, wearing red-rimmed glasses and a grey jacket. He has a serious expression and is looking directly at the camera.

Obrońmy Owsiaaka

Z TĄ KSIĄŻKĄ ZIMA SZYBCIEJ MINIE



DĄBROWSZCZACY

Autor demaskuje fałszerstwa prawicowej propagandy. Pokazuje ochotników i ochotniczki z Brygad Międzynarodowych walczących w Hiszpanii. Ludzi ideowych i odważnych, a przy tym niepozbawionych wad. Ich losy były niezwykle powikłane i dramatyczne.

49 zł

Książkę można kupić, wpłacając 49 zł oraz opcjonalnie koszt wysyłki (bezpłatna wysyłka pocztą) na konto wydawcy PRZEGLĄDU: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, lub przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wybierz sposób dostawy:

- GRATIS wysyłka poleconą Poczta Polska
- dostawa kurierem FedEx 14,90 zł
- darmowa wysyłka kurierska przy zamówieniu na minimum 200 zł

Więcej informacji: tel.: 22 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
eprasa.pl 3ac2e267e8



CYTATY

**PROF. GRZEGORZ
W. KOŁODKO,**

**były wicepremier i minister
finansów**

*Polska wygrała na
światowej loterii świetną
pozycję geopolityczną
i geoeconomiczną.*

*Niestety, nie potrafimy
z jej walorów korzystać.
„Rzeczpospolita”*

JERZY URBAN,
redaktor naczelny

Uwaga!

*Przeciwieństwem mowy
nienawiści jest milczenie.
„Nie”*

JOANNA KULIG,
aktorka

*Mam w sobie dużo
radości, ale też tyle samo
strachów i kryzysów.
„Tygodnik Powszechny”*

ANNE ROUMANOFF,
francuska satyryczka

*Kobieta chce, żeby
mężczyzna się zmienił.
Mężczyzna zmienia
kobiety.
„Forum”*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Fałszywy rachunek sumienia

Stało się. Stało się to, co było nieuchronne. To, na co pracował dominujący w Polsce blok postsolidarnościowy. Jedni i drudzy byli bezczynni wobec rozlewającego się ścieku anonimowej nienawiści w internecie. Jedni i drudzy mają w swoich szeregach hejterów wygłaszających rozmaite obrzydlistwa z trybuny sejmowej albo w zaprzyjaźnionych mediach. Też podzielonych. Między PiS a PO. Oczywiście nie ma tu mowy o symetrii. Bo nie mam słów, którymi mógłbym opisać telewizję Kurskiego, Polskie Radio, z rozpędu nazywane publicznym, i PAP bez zarzutu, że sam uprawiam mowę nienawiści.

Reakcja polityków i mediów na śmierć Pawła Adamowicza jest obłudna. Wystarczy sprawdzić, co mówili o nim pół roku wcześniej.

Obóz postsolidarnościowy ciągle walczy między sobą o władzę w Polsce. Pusty ideowo, bezprogramowy, widzący swoje cele strategiczne jako kalkę Unii Europejskiej (PO) albo USA (PiS). A jako ważny argument mający potwierdzić ich prawa do rządzenia obie strony podają minione zasługi. Czyli to, że kiedyś rzucali kamieniami w milicję i organizowali strajki pod koniec lat 80. Strajki mające śladowe poparcie. Czy po 40 latach ktoś poważny może się odwoływać do takich argumentów? Zwłaszcza że są to ludzie, którzy przeszli przez wszystkie mutacje partii prawicowych. I to, że dziś są w PiS czy w PO, jest często przypadkiem. Zbiegiem okoliczności towarzyskich. Są ze sobą tak powiązani interesami, że trudno mówić o wiarygodności tego obozu. Większość tych kadr nie ma pojęcia o profesjonalnym rządzeniu. Mimo wielu funkcji pełnionych w różnych rządach niewiele zdążyli się nauczyć. Niestety, rachunek za ich eksperymenty, nieudolność i kumoterskie układy, które świetnie potrafią budować, płaci społeczeństwo. Coraz bardziej wkurzone. Niewierzące już nikomu. Nawet tym, którzy na zaufanie zasługują.

To, co się stało w Gdańsku, jest morderstwem politycznym. Efektem politycznego przyzwolenia na coraz bardziej agresywne działania wymierzone w przeciwników PiS. Dopiero po tej zbrodni policja i prokuratura zaczęły robić to, co trzeba.

Walka z tą patologią nie przekracza możliwości organizacyjnych państwa. Dziś opresyjnego wobec protestujących kobiet i niezwykle pobłażliwego wobec prawicowych bojówek. Jeśli dalej hejterzy i bojówkarze będą bezkarni, to od wirtualnego hejtu i marszów przejdą do agresji fizycznej. Listę wrogów już mają.

BAKOWSKI

Pocztą wolniejsza od żółwia

5 km w osiem dni – taki rekord ustanowiła ostatnio Poczta Polska. Nr 2 PRZEGLĄDU nadany na Poczcie Głównej w Warszawie jako prenumerata priorytetowa 7 stycznia dotarł na Saską Kępę 15 stycznia. Nie był to jedyny wyczyn, większość prenumeratorów ten numer dostawała po tygodniu. Szczęśliwcy od razu z nr. 3. Pechowcy czekają jeszcze na nr 1. Trzeba przyznać, że Poczta jest sprawiedliwa, bo o opóźnieniach alarmują nas czytelnicy od Szczecina do Kazimierza Dolnego i od Gdyni po Kraków. I pytają: za co płacimy? My też o to pytamy i będziemy rozliczać Poczcie Polską SA z każdego spóźnienia. Nadal więc prosimy o informowanie redakcji o opóźnionych dostawach PRZEGLĄDU.

tel.: 22 635 84 10 wew. 120
kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
PRZEGLĄD, ul. Inżynierska 3 lok. 7,
03-410 Warszawa



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Obrońmy Owsiaka**
25 lat kampanii nienawiści
- 12 Zbrodnia jest łatwa**
– rozmowa z prof. Andrzejem Lederem
- 14 Fikcja pomocy dla Syrii**
Polska wielkoduszna w teorii
- 18 Rząd boi się rozmawiać**
– rozmowa z Janem Guzem
- 22 Teatr nienawiści**
– rozmowa z dr hab. Ewą Marciniak
- 34 Autobusy pod zielonym napięciem**
Ekoładowarki podbijają rynek

ZAGRANICA

- 26 Węgry, państwo mafijne**
Orbán przejął kontrolę nad krajem
- 28 Półmetek w atmosferze skandalu**
Trump grozi stanem wyjątkowym
- 30 Tabletowa konspiracja**
Korespondencja z Berlina
- 58 Im głębsze cięcie, tym lepiej**
Obrzezanie kaleczy ciało i duszę

OPINIE

- 38 Dariusz Łukasiewicz**
Bogowie, mędrcy i zrządy

KULTURA

- 41 Bez bohatera nie ma teatru**
Teatralne plusy i minusy
- 44 Kulturalia**
- 66 Przemysław Garczyński. Perspektywa+**

SYLWETKI

- 46 Jakby wygumkowana**
Irena Dziedzic zmarła w zapomnieniu

EKOLOGIA

- 50 Ptasi kalendarz**
– rozmowa z dr. Andrzejem Kruszewiczem

HISTORIA

- 52 Profesor Weigl i karmiciele wszy**

OBSERWACJE

- 56 Piękna twarz weganizmu**

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Fałszywy rachunek sumienia
- 20 Jan Widacki**
Polska może być lepsza
- 25 Roman Kurkiewicz**
Żadne ciszej nad tą trumną
- 33 Tomasz Jastrun**
Na ostrzu noża
- 49 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Obcy
- 57 Edward Mikołajczyk**
Radio na bakier z zegarem

22

WYWIAD

TEATR NIENAWIŚCI

– rozmowa
z dr hab. Ewą Marciniak



50

EKOLOGIA

PTASI KALENDARZ

– rozmowa z dr. Andrzejem Kruszewiczem



56

OBSERWACJE

PIĘKNA TWARZ WEGANIZMU

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS



**TOMEK, NIE PODDAWAJ SIĘ,
NIE ZASYPIAJ** – rok po tragedii
na Nanga Parbat

WIESŁAW KOT

Pułapki życia seniora

**MEDYCZNA
MARIHUANA**

– drożej, ale legalnie

ANDRZEJ KURZ

Szczęśliwe przypadki Krakowa



**NIEDOKOŃCZONY
SPÓR O POLSKĘ**

O realizmie politycznym Andrzeja Walickiego

f Niedokończony spór o Polskę

W tekście „Niedokończony spór o Polskę” (PRZEGŁĄD nr 2) Jarosław Dobrzański pisze o realizmie politycznym prof. Andrzeja Walickiego. Do tej pory nie było w Polsce uczciwej rozmowy ani o pierwszej Solidarności – tej z lat 1980-1981, ani o tzw. opozycji antykomunistycznej, ani o Polsce Ludowej, ani o komunizmie. Pomijając nieliczne uczciwe media, takie jak PRZEGŁĄD, wszystko, co się o tych sprawach mówi, jest głęboko zakłamane i obliczone na potrzeby bieżącej polityki. 30 lat po zmianie ustrojowej to chyba najwyższy czas, by przestać kłamać i zacząć rozmawiać. Intelktualiści nie chcieli rozmawiać z prof. Walickim, bo się bali ruszyć narodowe tabu. Ale dziś nie mamy wyboru, bo chodzi o przyszłość Polski i Polaków. Nikogo w świecie nie obchodzą nasze solidarnościowe mitologie i narodowe urojenia. A dla nas wszystkich są one tylko kulą w nogi.

Adam Brorński

f Tak czy owak, zawsze Roman

Nie dziwi mnie, że PO brata się z Romanem Giertychem. Politycy Platformy cenią „strategiczne sojusze”



**Tak czy owak,
zawsze Roman
(Giertych)**

Odpowiedzi na pytania o rolę Platformy

zawrzeć takiego sojuszu z Giertychem?

Olaf Nowaczyk

To jaskrawy dowód, że po stronie opozycji brakuje przywódcy. Dobry jest każdy, kto potrafi skutecznie stanąć przeciw pisowskiej czeredzie, kto stawi czoła w naszym imieniu. Niech to będzie nawet Giertych. Byle pokazał pisowcom, gdzie ich miejsce. Tak jak dawniej robił to Tusk.

Marek Koszyła

f Polska ciasnota

Nie da się zaprzeczyć, że to właśnie komuniści czy, jak kto woli, „lewacy” odbudowali Polskę z ruin, zelektryfikowali, zwalczyli analfabetyzm. Za Gomułki wybudowali 1000 szkół, a za Gierka 1,5 mln mieszkań.



Wojciech Miller

ZDJĘCIE TYGODNIA



Protest pod hasłem „Stop propagandzie nienawiści” przed siedzibą TVP Info na pl. Powstańców Warszawy.



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego część prawicy nienawidzi Owsiaaka?

DR HAB. MAGDALENA ŚRODA,
filozofka, publicystka

To jest ta najbardziej zaczadzona część prawicy, która osłaniając się bardzo wąsko lub fałszywie pojmowaną tradycją i religią, nie lubi takich wartości jak otwartość, tolerancja, pluralizm ani wszystkich innych, które nie są zdefiniowane i zagospodarowane przez Kościół i konserwatywne autorytety. Jest w tym też wiele z resentymentu, czyli zawiści, która polega na tym, że z zazdrości o dobra, których się nie ma (np. popularność, radość, wpływy), odbiera się im wszelką wartość. Prawica, nie mając po swojej stronie żadnej elity intelektualnej, potępia w czambuł tę, która jest; nie mając żadnych autorytetów rangi Jerzego Owsiaka, atakuje wszelkie autorytety, które nie są własne itd.

DR HAB. AGNIESZKA GRAFF-OSSER,
kulturoznawczyni, aktywistka obywatelska

Prawica od co najmniej dekady buduje własną wersję społeczeństwa obywatelskiego, będącą emanacją władzy Kościoła w Polsce i tradycyjnej wizji wspólnoty.

wości. Wiąże się ona z przekonaniem, że III RP nie wywiązała się z funkcji opiekuńczych, że tylko Kościół jest w Polsce wrażliwy na cierpienie i jest źródłem spójności społecznej. Owsiak ewidentnie złamał ten monopol, budując gigantyczną sieć ludzi, którzy chcą pomagać, nie angażując się religijnie ani politycznie po prawej stronie. Drażni prawicę tym, że stworzył ruch, który jest świecki, ponad podziałami politycznymi (a jej zależy na ich kreowaniu), a na dodatek radosny. Hasło „Róbta, co chceta” jest dla prawicy zagrożeniem na poziomie kulturowym, bo wyraża przekonanie, że można się cieszyć z tego, że jest się razem, zamiast jednoczyć wokół nienawiści.

DOROTA STALIŃSKA,
aktorka, działaczka samorządowa

Owsiak łączy, uczy miłości i ratuje, a rządząca prawica dzieli, sieje nienawiść i rujnuje. Owsiak organizuje ludzi w ogólnonarodowym akcie dzielenia się z potrzebującymi, PiS przekupuje wybrane grupy, by skłócały społeczeństwo i w ten sposób osiągały i zabezpieczały własne korzyści, często kosztem innych. Wszystko to sprawa,

że Owsiak ma to, czego PiS nie ma i mieć nie będzie: prawdziwą i szczerą miłość większości Polaków, a nie interesowne wsparcie przekupionej przywilejami garstki. Drugim powodem nienawiści jest to, że prawica, która nie potrafi pojąć, że ktoś może działać bezinteresownie, od lat nie jest w stanie udowodnić Owsiakowi żadnych nieczystych intencji ani zaszczerpieć społeczeństwu niechęci do niego. Z podobnych przyczyn nienawidziła śp. Pawła Adamowicza, który również zarażał ludzi miłością, dobrocią i potrzebą działania na rzecz innych.

Czytelnik PRZEGLĄDU



MICHAŁ KALINA,

W III RP tylko prawicy udawało się jednoczyć duże grupy ludzi wokół jakiejś sprawy. Najpierw był to Kościół, potem doszli kibole, na koniec – nacjonaliści. Centrum czy lewicy nic nie wychodziło, z jednym wyjątkiem: WOŚP. Gdyby prawicy udało się ją rozwalić, będzie mieć dowód, że Polacy jednoczą się tylko wokół jej idei.

Not. Michał Sobczyk

Justyna Samolińska

Osobiście składam rezygnację ze stanowiska szefa fundacji, czyli z prezesa zarządu fundacji – tymi słowami Jerzy Owsiak w zeszły poniedziałek ogłosił, że nie będzie już przewodził Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy. To jego emocjonalna reakcja na śmierć prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, zranionego nożem na scenie podczas gdańskiego finału 27. edycji WOŚP. O zmianę tej decyzji zaapelowały do Owsiaka tysiące internautów, a także m.in. Janina Ochojska czy s. Małgorzata Chmielewska. Sam Owsiak przyznał, że jest w rozsypce. Adamowicza nazwał swoim wieloletnim przyjacielem. – Uważam, że stała się rzecz okrutna, zła przy okazji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy; jestem jej prezesem i też biorę na siebie za to odpowiedzialność – stwierdził.

Odpowiedzialnością za śmierć Adamowicza obciążają Owsiaka związane z rządem media. Już w poniedziałkowych „Wiadomościach” TVP mogliśmy usłyszeć, że gdańskie Świątełko do Nieba z winy organizatorów nie miało dostatecznego zabezpieczenia i wsparcia medycznego, ponieważ koncert nie został zgłoszony jako impreza masowa. – To się wydarzyło na przepięknej, pokojowej, bliskiej wielu Polakom imprezie. Każdy, kto na nią wchodzi, kto idzie na scenę, może mieć tam swoją rolę. Może nawet wejść z dwumetrową szablą, może będzie coś pokazywał. Trudno tutaj mówić jednoznacznie o złym zabezpieczeniu, bo ten finał nie odbywa się w Syrii ani w Afganistanie, on się odbywa w Polsce – odpowiadał na te zarzuty Jerzy Owsiak. – Nasza scena też była otwarta (...), mnóstwo ludzi wchodziło, przeszła masa ludzi. Uchronić się przed człowiekiem, który ma tak straszne zamiary, jest piekielnie trudno.

OD KRÓLA ŻEBRAKÓW DO SYNA ZOMOWCA

Śmierć prezydenta Pawła Adamowicza Owsiak nazwał „eksplozją nienawiści, która jest gdzieś w ludziach”. Sam pada jej ofiarą niemal od początku działania WOŚP. – Od 25 lat toczę boje z ludźmi, którzy mi grożą. Niestety, polski wymiar sprawiedliwości, tak samo policja sobie z tym



OBROŃMY OWSIAKA

Od 25 lat szef WOŚP jest obiektem nienawiści. Wymiar sprawiedliwości kompletnie z tym sobie nie radzi

kompletnie nie radzą. Proszę wejść na portale prawicowe i przeczytać rzeczy na mój temat, proszę przeczytać, co pisze jedna z posłanek – mówił gorzko. – Policja zatrzymała dzisiaj osobę, która groziła śmiercią prezydentowi Wrocławia. Do tej pory takie groźby były traktowane jako krytyka.

Z prawicowych portali dowiemy się o Owsiaku, że jest m.in. „hieną cmentarną” i „królem żebraków i łgarzy”, a także „brutalnym manipulatorem, który przywiązuje do swoich propagandowych maszyn obłączonych chore i kwestujące dzieci” (Piotr Wielgucki, czyli blogger Matka Kurka), że to „ludzka glista” (Marcin Wolski w „Gazecie Polskiej”) albo „kij

bejsbolowy postkomuny na zwolenników Polski niepodległej” (Piotr Lisiewicz w Telewizji Republika). W 2016 r. Lisiewicz pisał: „Owsiak tę samą rolę odgrywa od czasów junty Jaruzelskiego – zawsze uaktywnia się politycznie, gdy postkomunistyczna oligarchia jest poważnie zagrożona” (czyżby postkomunistyczna oligarchia przeżywała kryzys co roku w pierwszej połowie stycznia?). Według Lisiewicza ojciec zomowiec, matka milicjantka i brat ormowiec „mogliby być dumni ze sprawności [szefa WOŚP] w stosowaniu przemocy”. Środowisko „Gazety Polskiej” szerzy przekonanie, że Owsiak jest agentem najpierw sowieckich, a teraz rosyjskich

Hejt na Owsiaka

Hiena cmentarna, król żebraków i łgarzy – blogger Matka Kurka

Ludzka glista – Marcin Wolski

Kij bejsbolowy postkomuny na zwolenników Polski niepodległej – Piotr Lisiewicz

Kiepska edycja Józefa Stalina – Stanisław Michalkiewicz

Obleśny karzeł – Krystyna Pawłowicz

O swojej rezygnacji Jerzy Owsiak poinformował 14 stycznia, po śmierci prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza.

wpływów. W zeszłym roku na okładce „GP” przedstawiono go w czapce z krążownika „Aurora” i podpisano: „Zagra dla noworodków i przyjaciół FSB”. Stanisław Michalkiewicz pisał o nim w „Naszym Dzienniku” jako o „kiepskiej edycji Józefa Stalina”, a Rafał Ziemkiewicz porównywał WOŚP do hitlerowskich organizacji charytatywnych. W programie „Minęła 20” w TVP, w animacji stworzonej przez Barbarę Pielę, ostatnio ukazano go jako kukielkę Hanny Gronkiewicz-Waltz, której na żądanie przynosi złoćki oznaczone gwiazdą Dawida.

Poza tym zarzuca mu się, że jest pazerny i kłótniwy, że jest „obleśnym karłem” (to już postanka Krystyna Pawłowicz) i defrauduje pieniądze. Oskarżano go o wyprowadzenie z WOŚP milionów złotych, o latanie do Nowego Jorku z biletami z aukcji (w tej sprawie Owsiak wygrał proces sądowy). Mimo że lider Orkiestry nigdy nie został skazany za żadne nieprawdopodobności finansowe w fundacji, wszystkie media prawicowe uznają jego wieloletnią walkę z blogerem Wieluckim za oczywisty dowód nieuczciwości i sprzeniewierzenia środków z datków na sprzęt medyczny.

WRZUĆ GRANAT DO PUSZKI

Prekursorem hejtu na szefa Orkiestry był o. Tadeusz Rydzyk, który nazywał go diabłem już kilkanaście lat temu. Kościółowi nigdy nie podobał się Przystanek Woodstock – drażniło hasło „Róbta, co chceta” (swoją drogą będące parafrazą słów św. Augustyna „Kochaj i czyń, co chcesz”), wolnośćsio- wy, alternatywny charakter festiwalu. Jeszcze w latach 90. oskarżano Owsiaka o wspieranie sekt (na imprezie znalazło się miejsce dla krysznowców), handel narkotykami, rozpijanie i demoralizowanie młodzieży. W 2006 r. TV Trwam pokazała film „Przystanek Woodstock – przemierzana prawda”, gdzie fragmenty koncertu Sweet Noise przedstawiono jako propagowanie satanizmu, była też mowa o oflagowy- nych punktach dystrybucji marihuany. TV Trwam miała przeprosić za film, zapadł w tej sprawie prawomocny wyrok. Ale w 2007 r. Owsiak przegrał

proces z o. Rydzykiem – sąd uznał, że nazwanie na antenie Radia Maryja Woodstocku „kryminalnym, wielkim spodem demoralizującym młodzież”, gdzie „duchowi spadkobiercy Lenina i Stalina upadają polską młodzież”, to dopuszczalna krytyka. Wcześniej, w roku 2000, film „Przystanek w drugiej stronie”, podobnie demonizujący Owsiaka i festiwal, zajął drugie miejsce na festiwalu filmów katolickich w Niepokalanowie. Niechęć do Woodstocku przekładała się zarówno na szefa

nazwiskiem kończy się potokiem anonimowych obelg i gróźb w internecie, za które niezwykle trudno pociągnąć kogoś do odpowiedzialności prawnej.

ŻEBYŚ ZDECHŁ

Z tezą Jerzego Owsiaka, że obrzuca- nie wrogów politycznych najgorszymi obelgami czy nawet groźby pozostają bezkarne, trudno polemizować. Dowodem na to może być sprawa opisana przez Pawła Adamowicza cztery dni

Prekursorem hejtu na szefa Orkiestry był o. Tadeusz Rydzyk, który nazywał go diabłem już kilkanaście lat temu.

WOŚP, jak i na prowadzoną przez niego akcję charytatywną.

Głęboką antypatię prawicy od kilku lat budzą także poglądy polityczne szefa Orkiestry, uważane za skrajnie lewicowe. W 2012 r. odważył się on nazwać eutanazję „pomocą w cierpieniu”, a w roku 2016 wziął udział w Czarnym Proteście – to wystarczy, żeby w Polsce uznać kogoś za lewaka.

Trzeba przyznać, że Owsiak nie stosuje chrześcijańskiej zasady nadstawiania drugiego policzka – w 2017 r., po kolejnych insynuacjach Krystyny Pawłowicz dotyczących satanizmu

przed śmiercią. „W lipcu 2017 r. Młodzież Wszechpolska wystawiła akty zgonu politycznego 11 prezydentem miast, którzy podpisali »Deklarację prezydentów o współdziałaniu miast Unii Metropolii Polskich w dziedzinie migracji«. Na liście nienawiści znalazło się również moje nazwisko. Dziś dowiadujemy się, że gdańska prokuratura umorzyła właśnie prowadzone w tej sprawie śledztwo. (...) Nie zostawię tej sprawy i zamierzam wyczerpać wszystkie narzędzia prawne, aby dochodzić swoich praw i walczyć o to, żeby zachowania nacjonalistyczne



na Woodstocku zasugerował postan- cie PiS, żeby „spróbowała seksu”, za co sąd kazał mu ją przeprosić.

Wypowiedzi osób publicznych to jedno, a reakcje anonimowych internautów – drugie. „Wielka zebrana się wkrótce odbędzie, wrzuci granat do puszek resortowej mendzie” – to tylko jeden z komentarzy pod artykułem na temat okładki z czapką „Aurory” w serwisie Niezależna.pl. Publicyści, dziennikarze, politycy i duchowni doskonale zdają sobie sprawę z tego, że szczucie na konkretne osoby czy grupy pod

różnych organizacji, które się ją niena- wiść wobec imigrantów i uchodźców, zostały ocenione przez prawo negatywnie”, napisał na Facebooku pre- zydent Gdańska. Według prokuratury „nie było interesu społecznego w ści- ganiu z urzędu” autorów aktów zgonu, w których nie dopatrzone się groźby. Akty zgonu wystawione przez MW nie nawoływały też zdaniem prokuratury do nienawiści na tle różnic narodo- wościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość.

► Była to zresztą bardzo subtelna forma groźby w porównaniu z treściami, które można znaleźć w internecie już po śmierci Adamowicza: „No i jeden Polak w Gdańsku pokazał, co powinniśmy robić z politykami antypolskimi... Jeszcze będzie Polska niepodległa”, „Brawo dla pana z nożem, szkoda tylko, że teraz stracisz wolność”, „Obowiązkiem każdego narodowca jest to uczcić”. To tylko niektóre wpisy na Facebooku, pod wieloma są imiona i nazwiska.

Adamowicz nie był wyjątkiem, jeśli chodzi o skalę nienawiści, której doświadczał za życia i która wylała się

Najwięcej internetowej pogardy widać jednak wobec grup – uchodźców, Ukraińców, muzułmanów, Żydów czy osób LGBT. Po ukazaniu się informacji o tym, że w 2018 r. w Morzu Śródziennym utonęły 2262 osoby, na prawicowych portalach ludzie pod nazwiskami, na profilach z informacją o miejscu pracy i zamieszkania, o ukończonej szkole, pisali: „Statystyka tragiczna, bo niestety większość dotarła do celu” (Tomasz z Bielska-Białej, kończył szkołę im. T. Kościuszki), „Bardzo dobrze, ale wynik mógłby być lepszy, proponuję zacząć ostrzeliwać tratwy” (Michał z Płońska, pracuje

nienawiści, to właśnie w sprawach, w których pokrzywdzona została konkretna osoba, ścieżka jest prostsza. – W takiej sytuacji można iść na policję, gromadząc oczywiście jak najwięcej dowodów. Jeśli do przestępstwa doszło w internecie, należy wziąć ze sobą wydruk PDF wraz z adresem URL, adres strony, gdzie zostały umieszczone groźby, warto też zebrać jak najwięcej informacji o sprawcy – w mediach społecznościowych często można znaleźć dane o szkole, miejscu pracy, zamieszkania. Wtedy prokuratura wszczyna śledztwo z urzędu. A ofiara przestępstwa ma w nim status pokrzywdzonego.

Dzięki temu przysługują jej pewne prawa: ma wgląd w akta śledztwa, może składać wnioski

dowodowe, może dostać ochronę.

Sprawa staje się znacznie trudniejsza, kiedy ktoś nawołuje do przemocy wobec grupy ludzi, np. muzułmanów czy Ukraińców. – 90% spraw, które do nas trafiają, to właśnie takie sytuacje – mówi ekspertka. – Wszystko, co możemy zrobić, to poinformować policję, ale bez statusu pokrzywdzonego tak naprawdę nie wiemy, co się dzieje w śledztwie. Sprawy są trochę łatwiejsze, jeśli chce z nami współpracować organizacja reprezentująca daną mniejszość, jednak nie wszystkie mają na to środki i zasoby.

Czy takie działania są skuteczne? Jak twierdzi Joanna Grabarczyk, niestety rzadko. – Nie mam dostępu do statystyk, ale z naszego doświadczenia wynika, że w większości spraw dochodzi do umorzenia postępowania ze względu na niewykrycie sprawcy. W tych sytuacjach, w których mamy wgląd w to, co się dzieje, niestety widzimy, że prokuratura niewiele robi. Media społecznościowe, np. Facebook, mają specjalne procedury współpracy z organami ścigania – placówka w Dublinie, która tym się zajmuje, twierdzi, że dostaje niewiele zapytań z Polski. Z kolei polska policja i prokuratura twierdzą, że Facebook nie wydaje danych. Koło się zamyka, a przestępstwa pozostają nieścigane – podsumowuje.

MOWA PRZECHODZI W CZYN

Czy dzisiaj prokuratura zachowałaby się inaczej? Być może. Po śmierci Pawła Adamowicza organy ścigania

O stanięciu znów na czele WOŚP apelują do Owsiaka tysiące internautów, a także Janina Ochojska czy siostra Małgorzata Chmielewska.

po jego śmierci. Z podobnymi komentarzami spotykają się inni politycy opozycji, wielu dostaje też nienawistne mejle czy telefony. „Jest pop... totalnie i pani też jest pop... Chciałbym obrazić tą sk... waszą, szefową, w twarz powiedzieć, jaka jest sk... w telewizji jak się wypowiada. Po prostu kara śmierci, to jest kara śmierci. Jej czas się kończy”, mówił mężczyzna, który zadzwonił w październiku do biura poselskiego Joanny Scheuring-Wielgus.

Z nienawiścią spotykają się nie tylko osoby zajmujące się polityką. „Ty gnoju, ty szczyłu, ty Szwabie w d... j... kto ci płaci za to żebyś pluł na Polskę? Może Niemcy, może Ruscy? Ty... żebyś zdechł” – to z kolei list, który otrzymał Maciej Stuhr, jeden z wielu przejawów nienawiści, jaką wzbudziła jego rola w „Pokłosiu”.

jako kierowca, na FB widnieje nazwa firmy). Bardzo często ofiarami internetowej nienawiści padają też kobiety – Amnesty International w 2017 r. opublikowało wyniki badań nie tylko z Polski, lecz także z kilku krajów europejskich, Stanów Zjednoczonych i Nowej Zelandii, wskazujące, że 23% kobiet doświadczyło w przestrzeni internetowej obelg, nienawiści i molestowania seksualnego.

SPRAWCA NIE DO USTALENIA

Doświadczenia Owsiaka czy Pawła Adamowicza pokazują, że uzyskanie sprawiedliwości w przypadku rzuconych publicznie obelg i groźb jest niemal niemożliwe. Jednak jak twierdzi Joanna Grabarczyk z HejtStop, organizacji zajmującej się walką z mową

Z wielkim żalem i smutkiem przyjąłem wiadomość,
iż z grona samorządowców odszedł

PAWEŁ ADAMOWICZ Prezydent Gdańska

W tej tragicznej chwili,
w imieniu samorządowców zrzeszonych
w Stowarzyszeniu Rzeczpospolita Obywatelska,
przekazuję jego Bliskim wyrazy szczerego współczucia.

Jacek Majchrowski
Prezes Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska
Prezydent Krakowa



Wiele osób zwraca się do Jurka Owsiaka, aby nadal prowadził Wielką Orkiestrę. Na ogrodzeniu siedziby fundacji zawisły apele.

rów Jerzego Owsiaka, Łukasz Warzecha, „Koncepcja mowy nienawiści to wymysł radykalnego lewactwa, które potrzebuje wygodnego instrumentu krępowania ust oponentom”, a słowo hejt to przejaw neokomunistycznej walki o język. Według Marcina Wolskiego termin mowa nienawiści stanowi „zupełnie nowy rodzaj cenzury, niezwykle użyteczny w rozwoju światowego soft-totalitaryzmu”. Kiedy Rafał Trzaskowski zapowiedział, że w warszawskich szkołach odbędą się zajęcia o mowie nienawiści, katolicka organizacja Ordo Iuris opublikowała w internecie wzór oświadczenia dla rodziców, którzy nie chcą, żeby ich dzieci brały w nich udział. „Uwaga! Pod płaszczykiem walki z przemocą prezydent Warszawy chce indoktrynować dzieci w szkołach. Piszcie dzieciakom zwolnienie z tych zajęć albo zostawcie je w domu!”, zaapelowała na Twitterze Kaja Godek.

Z drugiej strony Barbara Piela, autorka antysemickiej animacji z udziałem m.in. Owsiaka i Hanny Gronkiewicz-Waltz, opublikowała

wzięły się ostro do roboty. Aresztowano Sergiusza P., który nawoływał do zabójstwa prezydenta Olszyna, Piotra Grzymowicza. Komenda Wojewódzka we Wrocławiu poinformowała o zatrzymaniu mieszkańca Legnicy, który miał w internecie wzywać do zbrodni i masowych samobójstw. Do aresztu trafił też mężczyzna oskarżony o groźby pod adresem prezydentów Poznania i Wrocławia – Jacka Jaśkowiaka i Jacka Sutryka. W żadnej sprawie policja nie miała problemu z ustaleniem danych domniemyanych sprawców.

– Kibicuję policji i prokuraturze, żeby ten poziom mobilizacji utrzymał się chociaż przez kilka miesięcy – mówi Joanna Grabarczyk. – Niestety, polskim organom ścigania często brakuje kadr kompetentnych w zakresie zarówno środowiska internetowego, jak i wiedzy międzykulturowej. Jeśli prokuratura nie rozpoznaje takiego symbolu, jakim jest swastyka, nie może skutecznie ścigać tego typu przestępstw.

Koordynatorka projektu HejtStop sama znalazła się na celowniku prawicy, kiedy zgłosiła do prokuratury umieszczenie przez Mariusza Pudzińskiego, polskiego strongmana, na Facebooku zdjęcia z kijem bejsbolowym i komentarzem: „Nie pożaluję kija na te ludzkie śmieci” (uchodźców). Paweł Kukiz zamieścił na swoim profilu jej wizerunek z podpisem, że „marzy o gwałcie”, tysiące internautów, w większości anonimowo, groziło

jej śmiercią, pobiciem czy przemocą seksualną. Według raportu „Mowa nienawiści, mowa pogardy” przygotowanego w 2017 r. dla rzecznika praw obywatelskich przez Centrum Badań nad Uprzedzeniami kontakt z mową nienawiści zarówno wśród dorosłych, jak i wśród dzieci gwałtownie rośnie w ostatnich latach. – O ile w roku 2014 około połowy młodych Polaków spotykało się z antysemicką,

Kaja Godek apelowała do rodziców, aby zwalniali dzieci z zajęć o mowie nienawiści.

antymuzułmańską czy antyukraińską mową nienawiści, o tyle dziś 70-80% młodzieży deklaruje, że widziało w internecie wypowiedzi islamofobiczne, antysemickie lub antyukraińskie – mówił dr Mikołaj Winiewski z CBU. – Osoby narażone na mowę nienawiści reagują potem większą akceptacją słownej przemocy i zaczynają ją tworzyć. To ten sam proces, który dotyka ludzi oglądających brutalne filmy albo grających w gry pełne przemocy. Prowadzi to nie tylko do agresji, ale też do tego, że przestajemy reagować na akty wandalizmu i chuligaństwa – podkreślali autorzy raportu.

DZIKI KRAJ

Tymczasem prawica uznaje walkę z agresją za część „lewackiej” propagandy. Jak pisał w „Rzeczpospolitej” w 2013 r. jeden z największych hejte-

na Twitterze komentarze, które dostaje pod swoim adresem: „Obrzydłe z pani stworzenie, rychłej śmierci życzę”, „Życzę ci, żebyś z bólu wyła i nikt ci nie pomógł, żebyś chodzić nie mogła i nikt ci szklanki wody nie podał, obrzydliwa, paskudna babo”. Zdaniem Piel, stanowią one żniwo hasła „Róbta, co chceta” i odpowiedzialny jest za nie Jerzy Owsiak.

W rzeczywistości Owsiak ani do przemocy, ani do agresji wobec Piel nie nawoływał – stwierdził tylko, że głęboko uraziła go swoją animacją i że poczuł się „jak w Auschwitz” (porównania obozu śmierci do antysemickiej satyry można było uniknąć, ale z pewnością nie jest to mowa nienawiści). Powiedział też, że żyjemy w dzikim kraju – i trudno z tą opinią szefa WOŚP się nie zgodzić.

Justyna Samolińska

Rozmawia Roman Kurkiewicz

Wciąż bardzo mało wiemy o motywach, ewentualnych zaburzeniach i chorobach sprawcy zabójstwa prezydenta Pawła Adamowicza. Jak możemy opisać związek mordu politycznego z odczuwaną przez wielu atmosferą polityczną, klimatem nienawiści w wypowiedziach osób publicznych, polityków, w mediach czy w końcu w piekle, jakim jest otchłań internetu?

– Indywidualne odczucia ludzi są kształtowane przez uczestnictwo we wspólnej debacie, rozumianej bardzo szeroko, również jako sfera wspólnego przeżywania, a więc to, co nazywamy klimatem. To właśnie pobudza pewne emocje, a wytłumia inne, snuje opowieści, które te emocje uzasadniają, wskazuje postacie uosabiające dobro i zło. Przekaz nie musi być spójny; istnienie w nim sprzecznych narracji czyni go właśnie wszechogarniającym. Oczywiście jedne osoby są bardziej podatne na wpływ tego przekazu, a drugie – mniej. Osoby kruche, słabe, zaburzone często są bardziej podatne. To oznacza też ogromną odpowiedzialność tych, którzy dyskurs kształtują.

Gdyby się okazało, że zabójca rzeczywiście jest chory psychicznie, to jak tworzy się jego motywacja? W jaki sposób jego zamiar nabiera faktycznej mocy, jak buduje scenariusz wydarzenia?

– Właśnie przez to, że osoba zaburzona jest jak gdyby „owładnięta dyskursem”. W tym sensie ostrze szaleńca nigdy nie uderza przypadkowo. Często to, co u człowieka w pełni

ZBRODNIA JEST ŁATWA

Ostrze szaleńca nigdy nie uderza przypadkowo

PROF. ANDRZEJ LEDER

– filozof kultury,
psychoterapeuta



takich drastycznych czynów jak ten w Gdańsku. Dodam, że nie dotyczy to tylko ludzi zaetykietowanych jako chorzy; wiele osób o słabych umiejętnościach krytycznego myślenia traktuje dyskurs jak rzeczywistość. Taki jest jeden z mechanizmów agresywnych zachowań wobec imigrantów w Polsce, wyobrażenie, że dziewczynka w hidżabie jest terrorystą, to właśnie efekt „owładnięcia dyskursem”. Skądinąd internet jest sferą, gdzie rozróżnienie pomiędzy fantazją, dyskursem a rzeczywistością się rozmywa; stąd nieco halucynacyjny, urojeniowy charakter tego, co się przez niego przetacza.

pewnej pozytywnej rzeczywistości to trud, ogromny wysiłek, rozciągnięte w czasie działanie, które musi być spójne, a jego poszczególne elementy muszą się dodawać. Nawet zorganizowanie pojedynczego koncertu wymaga skoordynowania działań mnóstwa ludzi, sprzętu, służb itd., a efekt tego trudu pomnożony jest w milionowy sposób przez zasięg oddziaływania mediów. Destrukcja pasożytuje na tym trudzie, jej siła oddziaływania zostaje zwielokrotniona wysiłkiem włożonym w to, co pozytywne. Morderca skorzystał z ogromnego widowiska, które przygotowała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, a drastyczność jego czynu – odebranie życia człowiekowi – jakby na chwilę „unieważniła” cały pozytywny przekaz wydarzenia, docierając jednocześnie do milionów.

Zbrodnie tego typu zdarzają się również w krajach, w których nie obserwujemy takiej polaryzacji ani zaognienia sporów politycznych. Możemy tu przywołać niewyjaśnione nigdy zabójstwo premiera Szwecji Olofa Palme.

– Przez to właśnie, że sprawa pozostaje niewyjaśniona, trudno ją porównywać. Równie dobrze można w niej snuć „teorie spiskowe” – mogło to być nie morderstwo z nienawiści,

To, czy ta tragedia stanie się destrukcyjna, czy pogłębi zbiorową mądrość, zależy od reakcji instytucji państwa, ruchów społecznych, mediów, komentatorów.

władz umysłowych pozostaje najwyżej złym marzeniem, przekleństwem, wyrazem niechęci bez publicznych skutków, u kogoś, kto słabo odróżnia swoje fantazje od rzeczywistości, powoduje obłądne działanie w realnym świecie. Nieumiejętność krytycznego odniesienia się do dyskursu publicznego, traktowanie go jak „najrzeczywistszej rzeczywistości”, popycha do

Jeśli chodzi o efekt takiego aktu przemocy, to zabójcy udało się osiągnąć bardzo wiele poprzez wybór celu, miejsca i momentu zbrodni. Widowisko mordu wpisało się w wielkie, pozytywne i powszechnie rozpoznawalne wydarzenie. Jak to możliwe?

– Zbrodnia, agresja, destrukcja paradoksalnie są łatwe. Budowanie

tylko chłodne działanie jakichś grup interesów, służb albo wywiadów.

Jak społeczeństwo jako wspólnota może odreagować, przeżyć taką tragedię?

– Los wspólnoty politycznej jest prawie zawsze przeplataniem się momentów wzniosłych, spokojnych i dramatycznych. Akurat w Polsce nie trzeba tego przypominać. A tego typu dramaty jak mord Pawła Adamowicza zdarzały się prawie w każdym nowoczesnym kraju. Historia zamachów na amerykańskich prezydentów i przywódców jest dość dobrze znana, ja przypomnę wydarzenie z Francji, nieco podobne do tragedii w Gdańsku – zastrzelenie Jeana Jaurès'a przez Raoula Villaina 31 lipca 1914 r. pod wpływem gwałtownych ataków prasy prawicowej. Każda wspólnota musi te momenty dramatyczne jakoś w sobie nieść. Pamięć o takich wydarzeniach kształtuje później klimat, nastroje, relacje dużych grup społecznych. To, czy wspomnienie stanie się „chore”, destrukcyjne, czy pogłębi jakąś zbiorową mądrość, zależy od pierwszego okresu po wydarzeniu, od reakcji instytucji państwa, ruchów społecznych, mediów, komentatorów, od tego, czy w odczuciu większości ta reakcja jest sprawiedliwa, czy fałszywa i nadużywająca. Jesteśmy teraz w Polsce w takim okresie, wiele zależy od tego, co będzie się działo w najbliższym czasie...

Czy terapia społeczeństwa, narodu jest w ogóle możliwa?

– Terapia, tak jak ja ją rozumiem, jest konfrontacją z nieświadomą

prawdą, z zapomnianymi, zatartymi fragmentami przeszłości i skrywanymi, lukrowanymi aspektami teraźniejszości. Jest też umiejętnością włączenia tej prawdy, najczęściej trudnej, w swoją tożsamość. W tym sensie terapia wspólnot etnicznych i społeczeństw jest możliwa.

Po zabójstwie prezydenta Narutowicza w 1922 r., poprzedzonym zmasowanym atakiem politycznym i medialnym, polska lewica dała sobie narzucić endecką wizję

W Polsce istnieją enklawy przemocy – od ustawek kiboli i „happeningów” narodowców, przez przemoc policji, po eksmisje na bruk i brutalne tłumienie protestów pracowniczych.

polskości, milcząco się z nią pogodziła. W tej wizji bycie przedstawicielem mniejszości narodowej lub religijnej wykluczało ze wspólnoty. Teraz mamy decyzję Jerzego Owsiaaka o wycofaniu się z aktywności. Jaka strategia reakcji na taką zbrodnię wydaje się optymalna, a jaka groźna?

– Żeby zrozumieć reakcję lewicy w latach 20., trzeba przypomnieć przede wszystkim funkcję, jaką antysemityzm miał – i ma – w kształtowaniu ludowej tożsamości polskiej. Unarodowienie ludu na początku XX w. w dużym stopniu odbywało się przez rozpowszechnianie kalki: „Jesteś dobrym Polakiem, bo nie jesteś złym Żydem”. Na to nakładała się niechęć do Rusinów, Niemców, wszelkich obcych. Wielką rolę w tej „pedagogice pogardy” miał kontrre-

formacyjny Kościół katolicki. Lewica nie umiała się oderwać od tego przekazu tkwiącego głęboko w zbiorowym imaginariu, czego bolesnym świadectwem są osobiste pisma takiej skądinąd lewicowej postaci jak Maria Dąbrowska. To dziedzictwo pozostaje aktualne, o czym świadczą chociażby plastelinowe twory pojawiające się w TVP, adresowane do „ludowego” odbiorcy. Ale jednocześnie sądzę, że to już jest inne społeczeństwo.

A co do reakcji na zamordowanie Pawła Adamowicza – myślę, że trzeba demokratycznie egzekwować od państwa, jego instytucji, partii politycznych i innych aktorów życia społecznego, w tym mediów, odpowiedzialną i adekwatną pracę nad tym wydarzeniem. Naszą akurat rolą jest refleksja nad nim. Choćby refleksja nad kręgami przemocy – tej bezpośredniej, dyskursywnej, ale też społecznej, strukturalnej. W Polsce istnieją enklawy przemocy – od ustawek kiboli i „happeningów” narodowców, przez przemoc policji, po eksmisje na bruk i brutalne tłumienie protestów pracowniczych. I nie jest dziwne, że z tych enklaw przemoc czasem się wylewa.

A Jurek Owsiak? Rozumiem jego reakcję, ale mam nadzieję, że wróci...

ALEKSANDER MAŁACHOWSKI

15 lat temu pożegnaliśmy Aleksandra Małachowskiego, wicemarszałka Sejmu, wybitnego publicystę i humanistę. Sumienie lewicy. Tej prawdziwej. Szanującej każdego człowieka, patriotycznej, myślącej kategoriami państwa i wolności obywatelskich. Aleksander Małachowski zawsze pamiętał, że najważniejszy jest człowiek.

Był z nami od pierwszego numeru PRZEGŁĄDU, a wcześniej w „Przeglądzie Tygodniowym”. Jego „Zapiski polityczne”, a w czasie wakacji „Zapiski z Domu pod Ptakami”, składały do refleksji. Szedł pod prąd modnym poglądom. Krytykował możnych, gdy inni ze strachu milczeli, i bronił, gdy próbowano ich

linczować. Mówił tak, jak myślał, nie było w Nim cienia fałszu.

Regularnie przychodził do redakcji, przynosząc swoje felietony. Zawsze życzliwy, czasem pogodny, czasem bardziej zadumany. Czytelnicy go pokochali. Dostawał setki listów. Często bardzo osobistych, z prośbą o pomoc lub interwencję. Bo wierzano, że spróbuje pomóc. Tak jak wiele lat wcześniej, gdy w telewizji – wtedy jeszcze naprawdę publicznej – prowadził z Haliną Miroszową program „Telewizja nocą”, oglądany przez miliony Polaków.

Odszedł 26 stycznia 2004 r. Prawdziwy autorytet. Jakże Go teraz brakuje.

Zespół PRZEGŁĄDU



Katarzyna Wierzbicka

Bawiłam się na podwórku z czterema przyjaciółkami. Nagle usłyszałam głośny huk. Pamiętam krzyki ludzi i otaczający mnie gęsty, śmierdzący dym – 13-letnia Saja opowiada o tym, jak straciła nogę, tak jakby opowiadała o czymś zupełnie zwykłym. Nie przestaje się uśmiechać. – Potem poczułam straszny ból. I już nic więcej nie pamiętam.

Następnie widzimy, jak kuśtyka, goniąc piłkę. Ona sama uważa, że miała szczęście – jej cztery koleżanki w wyniku eksplozji zginęły na miejscu.

Saja to jedna z bohaterek kilkunastominutowego reportażu Marcina Wyrwała, który w 2017 r. wyruszył do Aleppo, by pokazać, w jakich warunkach żyją ci, którzy przetrwali bombardowania: ciągnące się kilometrami zgliszczona, zrujnowane szpitale i ludzie gnieźdzący się w gruzach budynków. Między kolejnymi zdaniem reportera co chwila słysząc serie z karabinów – dźwięk na co dzień towarzyszący pozostałym w Aleppo Syryjczykom.

Według danych Syryjskiego Obserwatorium Praw Człowieka do marca 2018 r. w wojnie domowej zginęło 511 tys. osób, w tej liczbie – według szacunków UNICEF – co najmniej jedna czwarta to dzieci. Z powodu wojny 1,5 mln Syryjczyków jest trwale niepełnosprawnych, a dla 86 tys. oznacza to, że nie mają co najmniej jednej kończyny. Historii podobnych do przytoczonej powyżej są tysiące. Według szacunków ONZ ryzyko zetknięcia się z minami i niewybuchami, którymi usiana jest cała Syria, dotyczy codziennie ponad 3 mln dzieci. To właśnie na skutek eksplozji miny Saja straciła nogę, a cztery jej koleżanki – życie.

Miny są jednak tylko jednym z problemów pozostających w kraju Syryjczyków. Największym jest trwająca od prawie ośmiu lat wojna. Tymczasem polski rząd niezmiennie powtarza argument o „pomocy na miejscu”. Tylko co to właściwie oznacza?

POLSKA WIELKODUSZNOŚĆ W TEORII I PRAKTYCE

– Pomagamy uchodźcom na miejscu i w krajach, do których przyby-



FIKCJA POMOCY DLA SYRII

Kiedy mowa o przyjmowaniu uchodźców,
polski rząd zastrzega się „pomocą na miejscu”.
Tyle że jest ona mikroskopijna

wają – chwaliła się Beata Kempa, minister w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów odpowiedzialna za pomoc humanitarną, na październikowej konferencji „Współpraca międzyreligijna w wybranych krajach świata i w Polsce”. Podkreślała, że Polska potroiła środki przeznaczone na rzecz uchodźców.

Tyle że ta szczodrość w wykonaniu minister ds. pomocy humanitarnej przybiera niekiedy kuriozalną formę. Rok temu Beata Kempa pojechała do dwóch obozów w Jordani, by „rozeznac się” w zakresie potrzeb przebywających tam uchodźców. Jak ujawnił portal NaTemat, „aby zobaczyć, jak ludzie żyją w prawdziwej biedzie, zarezerwowała sobie rządowego embraera, podobno luksusowy hotel dla siebie i ekipy, a także zaprosiła prawicowych dziennikarzy”. „Fakt” szybko wyliczył, że godzina lotu embraerem kosztuje 11 tys. zł – jeśli pomnożyć to przez pięć godzin do

Ammanu i tyle samo z powrotem, wychodzi ponad 100 tys. zł za sam przelot. „Obawiam się, że koszt delegacji minister Beaty Kempy przekroczył wartość zadeklarowanej pomocy”, napisał na Twitterze poseł Stanisław Żmijan. Pełna cena wyjazdu do dziś pozostaje tajemnicą. I chyba pilnie strzeżoną, biorąc pod uwagę liczbę mniej i bardziej oficjalnych pytań o koszty i wymijające odpowiedzi KPRM.

Słuchając premiera Morawieckiego i minister Kempy, można odnieść wrażenie, że Polska przoduje w pomocy ofiarom syryjskiej wojny. Zresztą oboje to sugerują: – Jesteśmy jednym z najbardziej aktywnych krajów Unii Europejskiej w Syrii i w Afryce Północnej. Przeznaczaliśmy kilkaset milionów złotych na pomoc humanitarną – mówił premier rok temu w TVP.

Rzeczywiście formalnie wydatki na pomoc humanitarną znacznie się zwiększyły: z 22 mln zł w roku 2015

Wyjazd był owocny. Zdjęcia z syryjskimi dziećmi w obozie Al-Azrak ocieplają wizerunek pani minister.

do 122 mln zł w 2016 r. i 166 mln w roku 2017. Przedstawiciele rządu zapominają jednak zaznaczyć, że wzrost ten wynika z podwyższenia obowiązkowych składek na tzw. Instrument Turecki – fundusz Unii Europejskiej przeznaczony na zaspokojenie najbardziej podstawowych potrzeb uchodźców przebywających w obozach w Turcji. Jak zwraca uwagę OKO.Press, według planu budżetowego rządu na rok 2018 więcej niż na pomoc humanitarną dla uchodźców z Bliskiego Wschodu poszło

Do marca 2018 r. w wojnie domowej w Syrii zginęło 511 tys. osób, z czego co najmniej jedna czwarta to dzieci.

choćby na obsługę Kancelarii Prezydenta (ponad 200 mln zł) czy Instytut Pamięci Narodowej (363 mln).

Po odliczeniu od sum wypłacanych na rzecz uchodźców obowiązkowych składek wsparcie Polski wygląda jeszcze gorzej: w 2016 r. wynosiło 46 mln zł, w 2017 – 60 mln. Przy czym od tych kwot znowu należałoby odliczyć wpłaty na rzecz międzynarodowych funduszy powierniczych organizacji, których Polska jest członkiem – wyspecjalizowanych agend ONZ i Unii Europejskiej oraz UNICEF. Od roku 2016 wydatki na pomoc zagraniczną to ok. 0,14% PKB – daleko nam do osiągnięcia wyznaczonego przez ONZ standardu w wysokości 0,7% PKB.

– Z danych ONZ wynika, że plan pomocy humanitarnej dla Syrii w 2018 r. został pokryty zaledwie w 64%. Polska znajduje się w 1-2% tzw. pozostałych darczyńców. Nasze wsparcie jest na poziomie 0,1% całej pomocy – mówi Jacek Biały z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. – A mówimy tu o najbardziej podstawowych potrzebach humanitarnych.

Na tle skali i potrzeb syryjskich uchodźców wpłacane przez Polskę kwoty wyglądają jeszcze bardziej żałośnie.

– Trudno powiedzieć, ile potrzeba, żeby zapewnić przetrwanie zimy jednej syryjskiej rodzinie – tłumaczy Rafał Grzelewski z Polskiej Akcji Humanitarnej. – W przypadku typowej syryjskiej rodziny 2+5 miesięczny koszt w obo-

zie dla uchodźców to ok. 200 dol. – zakładając, że szkoła jest darmowa i nie trzeba opłacać transportu dzieci oraz że rodzina nie ponosi wydatków na opiekę medyczną. Ponadto w niektórych obozach płaci się za namiot prawie 100 dol. miesięcznie.

NA MIEJSCU – CZYLI GDZIE?

– Jeśli mówimy o pomocy „na miejscu”, to chodzi przede wszystkim o kraje ościennie: Jordanię, Turcję i Liban. Trzeba pamiętać, że pomoc bez pośrednictwa władz lokalnych i ONZ w samej Syrii jest niemożliwa – wyjaśnia z kolei Samer Masri, prezes Fundacji Wolna Syria. – Moż-

„milionów”, o których mówił premier, idzie na prowadzone przez polskie misje projekty poza Syrią, które – jakkolwiek potrzebne – nie mogą zaspokoić podstawowych potrzeb Syryjczyków pozostających w kraju ani zapewnić im bezpieczeństwa. Na przedsięwzięcia organizacji pozarządowych i placówki dyplomatyczne Polska wydała w 2016 r. 27,5 mln zł.

Niezależnie jednak od tego, na co konkretnie idzie znakomita większość przeznaczanych na uchodźców pieniędzy, sprawa dotyczy Syryjczyków przebywających w obozach dla uchodźców. Tymczasem w głoszonych przez premiera Morawieckiego opowieściach o polskiej pomocy dominują hasła o „inwestycjach” i „odbudowie”.

– Najbardziej realna i najbardziej konkretna pomoc dla uchodźców



Beata Kempa zadbała, aby jej wyprawę do obozu uchodźców w Jordanii relacjonowały media.

na wprowadzić prowadzić mikroprojekty ukierunkowane na pomoc kilku rodzinom czy konkretnej osobie, ale polskie organizacje pozarządowe są zbyt małe, żeby podjąć współpracę z ONZ lub pomagać na dużą skalę w samej Syrii.

Oznacza to, że jedynie pieniądze wpłacane agendom ONZ, UNICEF i Unii Europejskiej stanowią wsparcie dla Syryjczyków w kraju. W 2016 r. polski rząd wpłacił do wszystkich tych organizacji łącznie 18,5 mln zł. Reszta

może być świadczona na miejscu, w tych krajach, z których oni chcą wyjeżdżać (...). I my, Polacy, polskie misje humanitarne, polski rząd pomagamy tym ludziom tu, na miejscu. To jest najbardziej efektywna pomoc – mówi premier Morawiecki na nagraniu opublikowanym przez swoją kancelarię, wyrażając nadzieję, że „polskie firmy zaangażują się w budowę domów, po to żeby uchodźcy zostali w Libanie i w Syrii”.

► Samer Masri: – Nawet kwota rzędu 24 mln zł to w przełożeniu na jednego uchodźcę w obozie poza Syrią zaledwie 4 zł w skali roku. Trudno oczekiwać, żeby takie pieniądze powstrzymały kogokolwiek przed wyjazdem do Europy.

– Stworzyliśmy inicjatywy i instytucje, by pomagać w Syrii czy Libii. Chcemy być tam, gdzie te problemy powstały. (...) Nie zapominajmy, że Polska była najbardziej hojnym państwem, gdy powstała Inicjatywa Wzmocnienia Gospodarczego – deklarował tymczasem premier w wywiadzie dla CNN rok temu.

Rzecz jednak w tym, że program, na który powołuje się premier, przy wszystkich swoich zaletach nie odpowiada definicji tego, czym jest pomoc humanitarna. Utworzona przez Europejski Bank Inwestycyjny Inicjatywa Wzmocnienia Gospodarczego ma bowiem służyć wzmocnieniu gospodarek krajów rozwijających się, a nie zaspokojeniu podstawowych potrzeb ludzi znajdujących się na terenach ogarniętych wojną, czyli 13 mln Syryjczyków w kraju. „To bardzo potrzebna inicjatywa, której celem jest wzmocnienie gospodarek krajów Południowego Sąsiedztwa i Zachodnich Bałkanów, żeby lepiej radziły sobie z kryzysami społecznymi i gospodarczymi, takimi jak kryzys uchodźczy, jednocześnie podtrzymując ich wzrost gospodarczy. Program będzie finansował inwestycje w niezbędną infrastrukturę, rozwój sektora prywatnego, stymulowanie wzrostu gospodarczego i tworzenie miejsc pracy”, czytamy na portalu OKO.Press.

Choć, jak podaje OKO.Press, Polska w raporcie dla OECD za 2018 r. chwali

Jednak najbardziej znamieny wydaje się fakt, że temat pomocy rozwojowej i inicjatyw gospodarczych poruszany jest przez rząd PiS tam, gdzie tematem powinna być pomoc humanitarna. Trudno bowiem wyobrazić sobie prowadzenie

Więcej niż na pomoc humanitarną dla uchodźców z Bliskiego Wschodu poszło na obsługę Kancelarii Prezydenta czy Instytut Pamięci Narodowej.

jakichkolwiek inicjatyw gospodarczych w kraju objętym wojną, gdzie ludzie umierają tu i teraz.

– Dopiero ustanie walk może być początkiem jakiegokolwiek realnej pomocy na terenie kraju. A według naszych informacji działania wojenne w Syrii trwają cały czas – mówi dr Monika Kacprzak z UNICEF Polska. – Pomoc humanitarna w tych okolicznościach jest znacznie utrudniona. Co chwila dostajemy informacje, że kolejny konwój został ostrzelany i pomoc nie dotarła do celu, choć nie ustajemy w wysiłkach, aby wesprzeć potrzebujące dzieci i ich rodziny.

MIĘDZY WSPANIAŁOŚCIĄ A SZCZUCIEM

– Podstawowym celem jakiegokolwiek realnej pomocy dla uchodźców powinno być zapewnienie im bezpieczeństwa. Sama pomoc na miejscu jest oczywiście ważna, ale nie rozwiązuje problemu – mówi Jacek Białas. – Żeby zapewnić Syryjczykom bezpieczeństwo, państwa europejskie mogły zorganizować im legalne i bezpieczne trasy wjazdu do Europy.

miał opłacać to rozwiązanie, został ostatecznie zarzucony.

Zamiast tego polski rząd woli wzmacniać szczelność granic: – Moim zdaniem stanowisko polskiego rządu w sprawie uchodźców ma charakter ideologiczny. Pokazuje to

zresztą aktywność Polski w kwestii zamykania przed nimi Europy. Mamy informacje, że Polska wysłała misje na Węgry, do Bułgarii i Macedonii, gdzie straż graniczna we współpracy z miejscowymi służbami pilnuje, żeby nikt się nie przedostał przez granice – dodaje Jacek Białas. – Jest to naruszenie prawa międzynarodowego, bo według jego zapisów każda osoba prosząca na granicy o azyl ma prawo przynajmniej do tego, aby została wszczęta odpowiednia procedura mająca zdecydować, czy może ona dostać ochronę międzynarodową, czy nie. Uszczelnianie granic pozbawia uchodźców tej możliwości.

Tymczasem przedstawiciele polskiego rządu, mówiąc o bezpieczeństwie, wcale nie mają na myśli dotkniętych wojną Syryjczyków – bezpieczeństwo jest za to koronnym argumentem za nieprzyjmowaniem uchodźców. Bezpieczeństwo i zagrożenie terrorystyczne pojawiły się również w uzasadnieniu odmownej decyzji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji w sprawie przyjęcia w Polsce syryjskich sierot po stoczonej w 2017 r. krwawej bitwie o Aleppo. Prezydent Sopotu Jacek Karnowski i prezydent Krakowa Jacek Majchrowski poprosili wtedy rząd Beaty Szydło o zgodę na przyjęcie kilkorga chorych, rannych i kalekich dzieci z Aleppo. Beata Szydło odmówiła. A gdy senator Bogdan Klich wysłał do MSWiA prośbę o uzasadnienie tej decyzji, po ponad roku dostał odpowiedź: „Należy pamiętać, że potencjalni terroryści wykorzystują każdy możliwy sposób do przedostania się na terytorium państw członkowskich UE, podając przykładowo fałszywe dane na temat swojej tożsamości i wieku”.

Do motywów zagrożenia terrorystycznego dochodzą argumenty

24 mln zł to w przełożeniu na jednego uchodźcę w obozie poza Syrią zaledwie 4 zł w skali roku.

się tendencją wzrostową świadczonej przez siebie pomocy rozwojowej dla krajów pogrążonych w kryzysie, zręcznie pomija fakt, że od 2017 r. wskaźnik oficjalnej pomocy rozwojowej (ODA) zaczął spadać. Z kolei według raportu Grupy Zagranica, federacji polskich organizacji pozarządowych, „pod względem wielkości udzielanej pomocy w stosunku do wielkości gospodarki Polska znalazła się na 27. miejscu na 29 państw należących do Komitetu Pomocy Rozwojowej OECD”.

Relokacje nie są jedynym sposobem na to. To mogłoby być chociażby zwiększenie dostępu do wiz humanitarnych czy pracowniczych.

Taki pomysł powstał. W 2017 r. Caritas zaproponował rządowi utworzenie w Polsce tzw. korytarzy humanitarnych – mechanizm polegałby na wydawaniu specjalnych wiz małym, wybranym grupom ofiar potrzebujących specjalistycznego leczenia. Choć pomysł został poparty przez Kościół, który notabene



Po atakach rakietowych wiele syryjskich miejscowości obróciło się w gruz. Nz. miasteczko Orum al-Kubra w prowincji Aleppo, wrzesień 2018 r.

o rzekomym zalewie imigrantów. Beata Szydło jeszcze jako premier mówiła o „milionach uchodźców z Ukrainy”, a sam Mateusz Morawiecki – choć przyznaje, że „większość z nich to pracownicy” – również wspomina w opublikowanym na stronie swojej kancelarii filmie o „milionach Ukraińców, dla których Polska stała się domem”. Do używanych argumentów dochodzą te o „sytuacji we Francji” i innych krajach. Jednak ci, którzy chcą „przestrzec” Polaków, zapominają zwykle podać kilku szczegółów. – Proszę zobaczyć, że słyszymy coraz głośniejsze sygnały od Jordańczyków, którzy mówią, że ich kraj nie wytrzyma kolejnej fali migrantów – ostrzegła Beata Kempa w rozmowie dla internetowej telewizji wPolsce.pl, uzasadniając „pomoc na miejscu”. Zapomniała jednak dodać, że liczba uchodźców z samej Syrii przebywających w Jordanii wynosi, według różnych szacunków, od 630 tys. do 1,3 mln. Tymczasem cała Unia Europejska przyjęła ich milion.

Natomiast w Polsce uchodźców nie ma prawie wcale. Według danych Urzędu ds. Cudzoziemców w 2016 r. status uchodźcy otrzymało 241 osób – zaledwie 2% wszystkich ubiegających się o niego. Wszystkich cudzoziemców, którzy dostali jakąkolwiek formę ochrony (status uchodźcy, azyl, ochrona międzyna-

rodowa, ochrona uzupełniająca lub pobyt tolerowany), było natomiast 567. Rok później – 742, z czego status uchodźcy uzyskało 151 osób, w większości Ukraińców. Wszystkich wniosków było natomiast 5610.

Co więcej, przebywającym w naszym kraju cudzoziemcom jest coraz trudniej. Od 2017 r. rząd Prawa i Sprawiedliwości systematycznie tnie dotacje dla organizacji pozarządowych

Polska nie przyjęła syryjskich sierot po bitwie o Aleppo ze względu na zagrożenie terrorystyczne.

pomagających obcokrajowcom w integracji w Polsce poprzez zapewnienie im pomocy prawnej, wsparcia psychologicznego czy nauki języka. W takiej sytuacji znalazły się m.in. Fundacja Ocalenie i Fundacja Emic.

Do argumentów na rzecz niewpuszczania migrantów do Polski dochodzi straszenie zagrożeniem biologicznym: – Są już przecież objawy pojawienia się chorób bardzo niebezpiecznych i dawno niewidzianych w Europie. (...) Różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki, które nie są groźne w organizmach tych ludzi, mogą tutaj być groźne – mówił w 2015 r. Jarosław Kaczyński na spotkaniu wyborczym PiS, przywołując na myśl antysemickie „przestrogi” przed tyfusem plamistym.

Trzeba przyznać, że sianie strachu przed uchodźcami z Bliskiego Wschodu idzie rządowi PiS wyjątkowo dobrze: według danych CBOS jeszcze w maju 2015 r. 58% Polaków było za przyjęciem uchodźców, a 21% – przeciwno. W czerwcu ub.r. ten stosunek się odwrócił: 29% do 60%.

O skuteczności prowadzonego przez polityków PiS zarządzania strachem świadczą również przykre statystyki Prokuratury Krajowej, wedle których od 2015 r. wzrasta liczba przestępstw popełnianych na tle ksenofobii i nienawiści etnicznej czy religijnej: między 2013 a 2016 r. liczba ta prawie się podwoiła, z 835 do 1632. A mowa tu wyłącznie o przestępstwach zgłoszonych do prokuratury.

Tymczasem końca wojny w Syrii nie widać. A wraz z przedłużającym się konfliktem przybywa potrzebujących pomocy. – Liczba pozostających w kraju Syryjczyków potrzebujących pomocy sięga 13 mln, z czego 6 mln to dzieci – podkreśla dr Monika Kostera. Do tego dochodzi kilka milionów Syryjczyków w obozach w Jordanii i innych krajach ościennych. Sytuacja tych, którzy pozostają w kraju, jest niezwykle trudna: 70% syryjskich dzieci żyje w skrajnym ubóstwie, co często popycha zdesperowane rodziny do tego, żeby wydawać za mąż bardzo młode dziewczęta, a kilkunastoletnich chłopców posyłać na front. Trzeba

też powiedzieć o braku opieki medycznej, przekładającym się często na brak wózka inwalidzkiego czy protezy, a także osieroceniu czy rozdzieleniu z bliskimi.

– Gdyby syryjscy uchodźcy rzeczywiście mieli zapewnione bezpieczeństwo i pomoc na odpowiednim poziomie – mam tu na myśli względnie normalne życie, a nie mieszkanie w obozowym namiocie – to prawdopodobnie nie decydowałiby się na podróż do Europy i ryzyko utonięcia – uważa Jacek Białas.

Według danych UNHCR, agencji ONZ ds. uchodźców, od początku 2015 r. do 30 listopada 2017 r. w Morzu Śródziemnym utonęło 12 tys. osób.

Katarzyna Wierzbicka

RZĄD BOI SIĘ ROZMAWIAĆ

Jeśli władza chce zapobiec niepokojom społecznym, buntowi, powinna prowadzić dialog. I reagować na ostrzeżenia

Rozmawia Robert Walenciak

W 2015 r. Komisję Trójstronną zastąpiono Radą Dialogu Społecznego. Miało być lepiej. Rzeczywiście jest? Czy jest w Polsce atmosfera, żeby rozmawiać, prowadzić dialog?

– Liczyliśmy, jako ruch zawodowy, że wraz z ustawą poprawi się współpraca między głównymi partnerami dialogu społecznego.

I poprawiła się?

– Po pierwszych kurtuazyjnych spotkaniach dialog spowolnił. Co prawda, odbywają się spotkania rady i jej komisji, ale to bardziej wymiana informacji niż negocjacje.

Gdy rozmów na górze nie ma lub są pozorowane – nie ma ich i na dole.

Dodatkowe obowiązki i uprawnienia – powoływania członków Rady Dialogu Społecznego – otrzymał prezydent. Początkowo przy powoływaniu przewodniczącego prezydent uczestniczył w pierwszym spotkaniu. Ale przy ostatniej nominacji już go nie było. Osłabła rola dialogu dwustronnego pracodawcy-związki zawodowe. Dotyczy to i zawierania porozumień, i wdrażania przez rząd uchwał dwustronnych partnerów społecznych. Zły przykład idzie niestety z góry, czyli od rządu. Gdy premier, ministrowie prowadzą dialog i poważnie traktują partnerów, schodzi to wszystko w dół, do województw, do zakładów pracy. Ale gdy tych rozmów na górze nie ma lub są pozorowane – nie ma ich i na dole.

Dlaczego ten rząd nie chce rozmawiać?

– Rządzący uważają, że wiedzą lepiej. Że wygrali wybory, więc wszystko jest ich, wszystko mogą. Być może teraz, przed samymi wyborami, dialog się poprawi, ale to może być za późno.

JAN GUZ

– przewodniczący Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych

Będzie to rządowi pamiętane.

– Nieumiejętność prowadzenia dialogu społecznego wywołuje protesty. Popatrzmy, jak to wygląda w oświacie – brak dialogu, Solidarność negocjuje osobno z rządem, pozostałe dwie centrale są zmuszone do oddzielnych rozmów. Pani minister opuszcza salę, w której miały być obrady... Przypomina się rok 1993, kiedy negocjowano pakt o przedsiębiorstwie państwowym. Poszczególne centrale związkowe siedziały w różnych salach, a minister krążył od sali do sali. Miałem nadzieję, że to już historia.

I wisi nad nami strajk pracowników oświaty.

– Poza edukacją mamy zapowiedzi protestów w ochronie zdrowia, w ZUS, burzą się pracownicy cywilni wojska, obsługa rolnictwa, szeroko rozumiana budżetówka. Głównym zadaniem RDS jest konsultacja budżetu. Tymczasem przeprowadzono ją bardzo pobieżnie, po wymaganych terminach, nie wszystkie dokumenty przedłożono partnerom społecznym. A do naszych propozycji

Rząd przeprowadza swoje zamiary za pomocą ustaw poselskich lub specustaw. Nie są one konsultowane z partnerami społecznymi.

w ogóle się nie odniesiono i nie skomentowano ich. Brak dialogu społecznego wywołuje niepokoję nie tylko w Polsce. Popatrzmy, co się dzieje na ulicach Paryża czy Budapesztu. Jest to więc uniwersalna reguła – jeśli władza chce zapobiec niepokojom społecznym, buntowi, powinna prowadzić dialog. I reagować na ostrzeżenia.

Z pańskich słów wynika, że nie prowadzi.

– To dodam jeszcze jedno: rząd unika sytuacji, w których musiałby konsultować się ze związkami zawodowymi. Przeprowadza swoje zamiary za pomocą ustaw poselskich lub tzw. specustaw. Nie są one konsultowane z partnerami społecznymi. Chociażby ostatnia ustawa dotycząca utrzymania stawek VAT. Gdy upominaliśmy się w tej sprawie, powiedziano nam, że rząd może to zrobić ustawami okołobudżetowymi lub poselskimi, przy których możliwość konsultacji jest ograniczona. Tym samym społeczeństwo nie może się przygotować do nowych zasad wprowadzanych ustawą, przedsiębiorcy nie mogą się przygotować do zmieniającej się sytuacji, a pracownicy nie mają czasu, by się przygotować do przestrzegania nowych przepisów.

Rząd myśli sobie: po co z wami rozmawiać, skoro zawsze będziecie przeciw.

– Nie jesteśmy zawsze przeciw. OPZZ dało temu wyraz kilkakrotnie. Chociażby nasza propozycja zniesienia 30-krotności w składce na ubezpieczenie społeczne. My byliśmy za. Do tej pory było tak, że jeśli ktoś przekroczył 30-krotność średnich poborów, to już na ZUS składki nie odprowadzał. A my uważamy, że od każdego dochodów składka powinna być odprowadzana.

Tak samo jak rząd.

– Tak! Bo jesteśmy wierni swoim zasadom – że każdy dochód powinien być opodatkowany i oskładkowany. Jest wiele ustaw, które aprobujemy, a jeśli chodzi o te, których nie aprobujemy – uzasadniamy brak akceptacji i mówimy, jakie jest oczekiwanie społeczne. Związki zawodowe dla każdego rządu są jak po-



duszka bezpieczeństwa – informują o nastrojach społecznych, o oczekiwaniach, pomagają rozładowywać nabrzmiewające konflikty i szukać wspólnych rozwiązań. Pozwala to zapobiegać strajkom, manifestacjom. Oczywiście często mówimy niewygodną dla rządzących prawdę. Jeśli rząd mówi ustami premiera, że chce, aby w Polsce były płace jak w Unii Europejskiej, to dlaczego – pytamy – zaskarża do trybunału w Luksemburgu dyrektywę równa praca, równa płaca?

Tę o pracownikach delegowanych – że Polacy delegowani do pracy na zachodzie Europy mają zarabiać tak jak miejscowi, a nie tak jak w Polsce.

– Pytamy więc, dlaczego polski rząd nie chce, żeby Polacy zarabiali w Niemczech tak jak Niemcy. To niejedyny nasz postulat. Domagamy się m.in. płacy minimalnej w wysokości 50% średniej krajowej. Uważamy, że Polska nie będzie się rozwijała, jeśli nie będzie wzrostu wynagrodzeń. A cały czas jesteśmy w ogniu Europy, jeśli chodzi o wynagrodzenia. Mamy 30 lat gospodarki wolnorynkowej, a pobory – ciągle trzy razy mniejsze niż w Europie. Żeby więc obywatele zostawali w kraju, żeby nie emigrowali, musimy mieć w Polsce wyższe wynagrodzenia.

Wtedy fachowcy zostaną. A poprzez to będzie rozwój techniczny, gospodarczy, naukowy.

Jak więc określiłby pan taktykę rządu wobec RDS i związków zawodowych?

– Jakie rząd ma podejście do dialogu społecznego? Wymiguje się. Nie traktuje go poważnie. Władza

Domagamy się płacy minimalnej w wysokości 50% średniej krajowej. Polska nie będzie się rozwijała, jeśli nie będzie wzrostu wynagrodzeń.

uważa, że jest nieomylna i nikt nie powinien się wtrącać do tego, co robi. Mamy wiele lat doświadczeń w dialogu społecznym i przykro, że ciągle jesteśmy w lesie. A przecież zgodnie z konstytucją dialog społeczny powinien stanowić jeden z fundamentów sprawowania władzy.

Ale rząd myśli, że wy mówicie: dialog, a tak naprawdę chodzi o podwyżki, których się domagacie. Po co więc się szarpać?

– Nieprawda! Gdy weźmiemy do ręki ustawę o Radzie Dialogu Społecznego, zobaczymy, ile ona stwarza możliwości. Na przykład daje inicjatywę występowania o interpretację do Sądu Najwyższego czy stwarza możliwość inicjowania prac ustawodawczych. Tylko trzeba pracy i dobrej woli, by te mechanizmy uruchomić. A z tym różnie bywa. Podam

przykład – kiedy zgłosiliśmy naszą inicjatywę o prawie do emerytury ze względu na staż pracy, rządziła koalicja PO-PSL. Wtedy Kosiniak-Kamysz nie podjął tej inicjatywy. A jak przestał rządzić, uznał, że to dobry pomysł, i zgłosił jako swoją ustawę. Z kolei PiS, które akceptowało tę ideę, gdy było w opozycji, teraz mówi, że nie. To źle, że w życiu gospodarczym rządzą partyniactwo i politykierstwo, a nie polityka. W związku z tym dialog społeczny powinien być ostoją, głównym motorem porozumienia. Czynnikiem zapewniającym współdziałanie, wyłączającym poza nawias politycznych bitew konkretne sprawy społeczne. Ale politycy do tego jeszcze nie dojrżeli.

Członkowie rządu przychodzą na posiedzenia RDS?

– Pani minister pracy stara się być. Jest ona albo jej zastępca. Ale oni, w większości przypadków, są nie-decyzyjni. Bo w sprawach zmiany filozofii wydatkowania środków, także na płace, decyzyjny jest minister finansów.

A przedstawiciele resortu pracy przyjdą, posłuchają i tyle z tego...

– Nie można zawsze nam tłumaczyć, że nie ma pieniędzy. Nie można ignorować propozycji związków. Tym bardziej że przedstawiamy dobre rozwiązania – np. prawo do

emerytury ze względu na staż pracy. Wszyscy mówią, że to jest dobre! Przepracowałeś 40 lat – masz prawo do emerytury.

Nie można wysyłać na posiedzenie RDS politycznych harcówników. Nie można zachowywać się tak jak jeden z ministrów, który, proszony o spotkanie, dał do zrozumienia, że nie ma czasu na rozmowę z przewodniczącym RDS. Choć w jego resorcie wzbiera kryzys, ludzie szumią... Powinniśmy rozmawiać nawet o trudnych sprawach, bo brak dialogu prowadzi do kłopotów, odbiera państwu i rządzącym powagę. Na przykład łamana jest ustawa o RDS. Rada powinna się spotykać raz na kwartał, a teraz mamy przerwę dłuższą, trwającą już pięć miesięcy. Rozmowy na forum RDS nie mogą być jałowe, jak dotychczas.

► **A za Platformy było lepiej?**

– Nie było lepiej, ale to żadna po- ciecha. Ale czy teraz, gdy siadamy wspólnie do stołu, poprawiło się, skoro niewiele jesteśmy w stanie ustalić? Dalej w pełni nie zrealizo- wano trójstronnego porozumienia sprzed 10 lat, zamarły prace zespo- łów branżowych... Wciąż nie mo- żemy stworzyć praktyki zawierania układów zbiorowych pracy, które są namacalnym efektem dialogu.

W życiu gospodarczym rządzi partyjniactwo i politykierstwo, a nie polityka.

Może znów trzeba wyjść, tak jak wyszliście z Komisji Trójstronnej?

– Na tym etapie to byłby błąd. Nie można zrywać rozmów, gdyż są je- dyną możliwością kontaktu z rządem. Z drugiej strony jest tak, że my chce- my prowadzić dialog, ale jesteśmy spychani do ściany. Tak jak w Locie – zero szans na porozumienie, więc przeprowadzamy referendum straj- kowe, a sąd zakazuje strajku. I blo- kuje się nam możliwość dochodzenia racji. Ale żaden atak na związki zawo- dowe nie złamie naszych intencji, na- szej wiary w potrzebę walki o prawa pracownicze.

A Solidarność? Też ma taką intencję czy już gra w coś innego?

– Przy strajku pracowników oświa- ty oni negocjują oddzielnie. To ośa- bia ruch zawodowy.

I co pan na to?

– Nie chciałbym rozbijać ruchu związkowego. Czasami trzeba za- gryźć wargi, powiedzieć sobie: no dobrze, oni mają swoją ścieżkę, swoją koncepcję, jak wywalczą coś dla pracowników, to też dobrze. Było przecież tak, że my wycho- dziliśmy z niektórymi koncepcjami, a potem inni je powtarzali. Na przy- kład stawka godzinowa. To nasz pomysł, przeprowadzony do koń- ca, zrealizowany. Teraz walczymy o niewygasający charakter emery- tur pomostowych oraz o 35-40, czy- li o prawo przejścia na emeryturę ze względu na staż pracy, dla kobiet – 35 lat, dla mężczyzn – 40 lat. In- ne związki podchwytyją te idee, bo to dobre rozwiązanie. Myślę więc, że też dojrzejemy do przekonania, że nie ma co podchodzić do postula- tów pracowniczych politycznie, że to w dłuższej perspektywie się nie opłaca. Sprawy dotyczące załóg w zakładach pracy są niepodzielne. Ludzie widzą, że trzeba rozmawiać. Że inaczej problemów się nie roz- wiąże. Dialog nie powinien być si- łowy, musi być partnerski. To niby sprawy oczywiste, ale nie wszyscy je rozumieją.

Robert Walenciak

To zdanie, zawsze prawdziwe, jest tytułem wydanej niedawno książki Radosława Sikorskiego.

Ma ona jeszcze podtytuł: „Kulisy pol- skiej dyplomacji”. Brzmi ciekawie. Gen. Wieniawa, który do dyplomacji trafił z kawalerii, powiedział kiedyś, że to dwa różne światy. W kawale- rii można robić różne głupstwa, ale nigdy świństw, w dyplomacji prze- ciwnie: same świństwa, ale nigdy głupstw.

Pisząc tę książkę i wydając ją, Radosław Sikorski wykazał, że Wie- niawa nie miał racji. Udowodnił, że w przeciwieństwie do Wieniawy on potrafi równocześnie robić głup- stwa i świństwa. Naprawdę to mu się udaje!

Mniejsza o megalomanię autora. Każdemu wolno. To nawet dla czy- telnika może być zabawne. Czyż nie fascynujący jest taki fragment: „Na co dzień moim partnerem byli natu- ralnie sekretarze stanu USA: Con- doleezza Rice, Hillary Clinton i John Kerry. Najdłużej i najbliżej współpra- cowałem z Hillary Clinton”? Później się dowiadujemy, jak to Radosław opowiedział Hillary dowcip, któ- ry bardzo miał ją rozbawić. Ma to, zdaje się, zademonstrować, w jak poufałych stosunkach pozostawali. Warto ten dowcip przytoczyć: „Clin- tonowie urwali się ochronie i spę- dzili weekend, jeżdżąc samochodem po Arkansas, jak za starych czasów. Podjeżdżają pod stację benzynową, której właścicielem okazuje się chłopa- k Hillary jeszcze z czasów szkol- nych. Po wymianie serdeczności odjeżdżają i Bill mówi do Hillary: Widzisz, jakbyś wyszła za niego, zostałąbyś współwłaścicielką stacji benzynowej. – Nie, Bill – odpowie- działa Hillary. – Gdybym za niego wyszła, on zostałby prezydentem Stanów Zjednoczonych”.

Faktycznie dobry dowcip. Czy jednak Radosławowi Sikorskiemu nie przyszło do głowy, że ten sam dowcip w wersji polskiej byłby rów- nie dobry, tyle że w miejsce Hillary Clinton trzeba by wstawić Anne Ap- plebaum?

Dla ścisłości – w 2014 r. ukaza- ła się książka Hillary Clinton „Hard choices”. Bardzo ciekawa. Nawet o 200 stron obszerniejsza od książ- ki Sikorskiego. Radosław Sikorski jest w niej wspomniany dwa razy. Raz przy okazji jakiejś rozmowy

14 stycznia 2019 roku w tragicznych okolicznościach odszedł od nas

ŚP.

PAWEŁ ADAMOWICZ
Prezydent Gdańska

My samorządowcy, my zwyczajni ludzie, my Polacy żegnamy Cię
z niedowierzaniem i bólem.

Bo odszedł nie tylko świetny gospodarz miasta, dobry polityk,
ale wspaniały, przyzwoity, serdeczny dla innych Człowiek.

To straszna wiadomość. Oby Twoja śmierć nas wszystkich skłoniła
do głębokich przemyśleń.

Łączymy się w tych niezwykle trudnych chwilach z rodziną. I z Gdańskiem...

Beata Moskal-Słaniewska
Prezydent Świdnicy
wraz z mieszkańcami

Z Galicji



Jan Widacki

POLSKA MOŻE BYĆ LEPSZA

telefonicznej i raz w kontekście wizyty w Warszawie. Rozmowa telefoniczna dotyczyła jakiejś utopijnej idei gazociągu znad Morza Kaspijskiego przez Turcję i Bałkany. Druga, lakoniczna wzmianka dotyczy wizyty Hillary Clinton w Polsce w lipcu 2010 r. Dość niewiele napisała o polskim przyjacielu, z którym miała współpracować – wedle jego słów – najdłużej i najbliżej. Tyle samo uwagi poświęciła... żonie obalonego prezydenta Egiptu Hosniego Mubaraka. Dla porównania Putin wspomniany jest kilkadziesiąt razy, podobnie jak „Bibi” (tak zdrobniale o nim pisze!) Netanjahu, minister Ławrow kilkanaście razy, podobnie Angela Merkel, Hamid Karzaj czy inni współcześni politycy. Zapomniała o polskim przyjacielu i partnerze? Niewdzięcznica! Gdyby nie książka Sikorskiego można by sądzić, że to on pociągał za sznurki światowej polityki, a Polska była w samym centrum polityki amerykańskiej. A nie była.

Już tytuł rozdziału „Bliska zagranica”, w którym Sikorski opisuje m.in. stosunki z Litwą, świadczy o kiepskim wyczuciu dyplomatycznym autora. Termin „bliska zagranica”, znany z polityki i dyplomacji rosyjskiej, dla nas był zawsze w najwyższym stopniu drażniący i niepokojący. Nie przyszło Sikorskiemu do głowy, że podobne uczucia w stosunku do Polski może on wzbudzać na Litwie?

W stosunkach polsko-litewskich Sikorski zepsuł wszystko, co można było zepsuć. W książce wspomina współpracę z kolejnymi ministrami spraw zagranicznych Litwy. Najmilej, jak twierdzi, współpracowało mu się z ministrem Linasem Linke-

vičiusem. Ten ostatni jednak „jak jego poprzednicy, nie dotrzymał ani jednej obietnicy w kwestii mniejszości polskiej”. Na czym polega krzywdą Polaków na Litwie, czytelnik jednak się nie dowie z tej książki. Zdaniem autora Litwini w czymś tę mniejszość dyskryminują, w czymś nie wywiązują się z zobowiązań wobec niej. W czym jednak? Nieco dalej autor pisze, że „situacja Polaków na Litwie jest najlepsza w świecie. Litwini mają rację, że nigdzie na świecie nie ma takiej sieci szkół polskich, nigdzie na świecie poza Polską nie można uzyskać edukacji w języku polskim od przedszkola do studiów wyższych. No i mimo majstrowania przy ordynacji wyborczej – Litwa nie ogranicza Polakom

państwo traktuje się jako „bliską zagranicę” – co bez zahamowania robi Sikorski – budzi to w tym kraju niechęć, podejrzliwość i niepokój.

Z upublicznionych rozmów u Sowcy i Przyjaciół wiemy, że Radosław Sikorski jako minister spraw zagranicznych głęboko nie zgadzał się z polityką wobec Stanów Zjednoczonych, którą w imieniu rządu sam prowadził. To mogło być jeszcze śmieszne. Ale gdy dziś w swojej książce twierdzi, że udostępnienie CIA ośrodka w Starych Kiejkutach było „neoficką nadgorliwością” i nazywa to „brakiem szacunku dla własnego państwa”, gdy wytyka, że „nie zadbano o podpisanie stosownych porozumień”, to za jednym zamachem robi i głupstwo, i świństwo.

Sikorski w przeciwieństwie do Wieniawy potrafi równocześnie robić i głupstwa, i świństwa.

praw politycznych. Polskie partie współtworzą rządy, a niemal regułą stało się, że rządzą stolicą. Gdyby we wszystkich krajach zamieszkania polska diaspora miała takie wpływy jak na Litwie, byłibyśmy potęgą”. No to o co jeszcze chodzi? Chcemy jeszcze czegoś więcej, bo Litwa to nie niepodległe państwo, ale „bliska zagranica”? O pisownię nazwisk chodzi? To przypominam byłemu ministrowi spraw zagranicznych, że zgodnie z traktatem polsko-litewskim sprawę tę miała regulować odrębna umowa międzynarodowa. Czy MSZ za czasów ministra Sikorskiego przedłożyło stronie litewskiej projekt takiej umowy? O ile wiem, to nie. Za to energicznie upominało się, by Litwini zrobili to jednostronnie. Może warto zwrócić uwagę, że jeśli jakieś

Skąd wie, czy były podpisane jakieś porozumienia, czy nie? Nie wie, tylko udaje, że wie? A może zna fakty i ujawnia jakąś tajemnicę? A czy jest świadom, że w trakcie toczącego się śledztwa takie jego wypowiedzi mogą zaszkodzić konkretnym osobom? Mogą zaszkodzić Polsce?

Wieniawa z kawalerii trafił do dyplomacji. Sikorski z pisowskiego resortu obrony do platformianej dyplomacji. Wieniawa wiedział, gdzie wypada robić głupstwa, ale nie wolno robić świństw, i wiedział, gdzie trzeba czasem robić świństwa, ale nie wolno głupstw. Sikorski robi głupstwa i świństwa zarazem.

A tak na marginesie w jednym z nim się zgadzam. Polska może być lepsza. Ale nie wierzę, że Sikorski potrafi do tego się przyczynić.

Rozmawia Katarzyna Wierzbicka

Tydzień temu prezydent Gdańska Paweł Adamowicz został śmiertelnie pchnięty nożem. Zabójstwo popełnione przez niezrównoważonego człowieka czy skutek politycznej mowy nienawiści?

– Ogólne nastroje w społeczeństwie nie są wolne od wpływu języka debaty publicznej, bo on służy jako katalizator różnych zachowań. Z drugiej strony zrównoważony język polityki wcale nie gwarantuje ochrony przed negatywnymi zachowaniami. Badania pokazują, że tzw. mowa nienawiści – np. publiczne używanie szyderstw czy obraźliwych słów – sprzyja aktom przemocy. Trzeba jednak pamiętać, że język stanowi ich kontekst, ale nie bezpośrednią przyczynę, to trzeba rozróżnić.

Myślę, że zdarzenie z Gdańska należy interpretować w kontekście silnej polaryzacji, z którą mamy do czynienia w Polsce. Ofiara nie była przypadkowa, na co przecież wskazał sam sprawca. Oczywiście nie był on wystarczająco poinformowany, żeby wiedzieć np., że jego ofiara nie startowała w wyborach samorządowych z list PO. Wystarczyła powierzchowna wiedza, żeby uruchomić mechanizm. Jakkolwiek będziemy się starać, nie uciekniemy tu od kontekstu polityki. Zresztą politycy wszystkich opcji łagodzą teraz swój język, nawołując do empatii i do wyciągnięcia wniosków. Co charakterystyczne, mało kto bije się dzisiaj we własne piersi, wskazując raczej tę drugą stronę jako odpowiedzialną.

Czy minimalizowanie swojej odpowiedzialności i podkreślanie win przeciwnika nie wpisuje się czasem w tę polaryzację, do której porzuca się nawołując?

– Oczywiście, wpisuje się. I to apelowanie o empatię i rachunek sumienia, ale tylko do drugiej strony, ma *de facto* charakter wrogi. Jeśli za jakąś sytuację wini się wyłącznie drugą stronę, ta siłą rzeczy będzie za wszelką cenę bronić swojej pozycji i swoich racji, uciekając się często do identycznych metod. Tym samym konflikt będzie eskalował.

Przemoc rodzi przemoc.

– Ten, kto na werbalną agresję reaguje np. serdecznością, jest uważany za frajera, kogoś, kto nie umie

TEATR NIENAWIŚCI

Polska scena polityczna rządzi się logiką spektaklu: jest główny bohater, zdrada i zemsta. Tylko ofiary są prawdziwe

DR HAB. EWA MARCINIAK

– politolożka, autorka publikacji naukowych na temat m.in. komunikacji politycznej, specjalistka w dziedzinie marketingu politycznego, psychologicznych aspektów komunikacji społecznej i zachowań politycznych, dyrektor Instytutu Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego.

bronić własnych racji. Tak myślą wyborcy: skoro nasz przedstawiciel nie potrafi konsekwentnie stawiać na swoim, jak będzie bronił naszych interesów? Dlatego w polityce wygrywa wyrazistość, nieustępliwość, nazywana często konsekwencją.

Ale czy ktoś, kto jest głuchy na argumenty przeciwników i zupełnie wyklucza zmianę stanowiska, nie jest po prostu fanatykiem? Czy pod hasłem wyrazistości nie sprzedaje się radykalizmu?

– Granica jest płynna, a czasem rzeczywiście zależy wyłącznie od nazewnictwa. Proszę zwrócić uwagę, że większość Polaków lubi postacie „wyraziste”, ale też większość Polaków nie lubi radykałów. Ta sama wypowiedź może być odebrana jako wyrazista przez zwolenników jej autora i jako radykalna przez jego przeciwników. Kompromis w polityce jest uznawany za stratę. Polityk mało „wyrazisty” zmniejsza swoje szanse na reelekcję. Na szczęście są wyborcy, którzy rozumieją, że

polityka powinna być płaszczyzną kompromisu, a nie wyłącznie walki. Jednak większość nie odróżnia sporu politycznego od wrogości. O ile jest normalne, że mamy różne poglądy i o nich dyskutujemy, o tyle przejawy wrogości należy piętnować. Tymczasem na polskiej scenie politycznej coraz częściej kończy się na wyzwiskach, oszczerstwach i inwektywach. **Z drugiej strony oszczerstwa i inwektywy gwarantują silne emocje – jest spektakl. W merytorycznym sporze politycznym nie ma tymczasem nic widowiskowego. Może więc wszyscy tak naprawdę liczymy na to, że będzie ostro?**

– To prawda, że przeciętny wyborca karmi się emocjami i tych emocji oczekuje. A to dlatego, że ogląd polityki poprzez emocje jest o wiele łatwiejszy niż odbieranie jej przez rozum. Ten drugi sposób uczestnictwa w polityce wymaga przecież wiedzy, rzeczowych argumentów czy chociażby poświęcenia czasu na doczytanie. Z kolei wytworzenie



w sobie zachwyty, euforii, oburzenia czy wrogości nie wymaga żadnych dodatkowych nakładów.

Poza tym jest ciekawie: zemsta, zdrada, ofiara, przeszkody, cierpienie. Trochę jak w brazylijskiej telenoweli.

– Debata publiczna w Polsce rządzi się logiką spektaklu ze wszystkimi tego konsekwencjami: mamy głównego bohatera, antybohatera, nagłe zwroty akcji, dobrych i złych. Przy czym określenia dobry i zły są definiowane przez pryzmat sympatii partyjnych. I to przyciąga – wystarczy popatrzeć na programy publicystyczne, które w większości są konstruowane tak, żeby zaproszeni goście byli w ostrym sporze. Czasami te spory są merytoryczne, ale przeważnie mają wywoływać u odbiorców emocje. Pod wpływem tych emocji odbiorca wybiera, za kim i, co istotniejsze, przeciw komu się opowiedzieć. Rzecz jasna, ten mechanizm odgrywa bardzo ważną rolę w polaryzacji poglądów. A spolaryzowanymi poglądami o wiele łatwiej sterować stronom sporu politycznego – im bardziej są „wyraziste”, tym łatwiej się je etykietkuje i tym łatwiej ustawia wyborców przeciw komuś lub czemuś albo za kimś lub za czymś.

Ale jest jeszcze coś – perswazja polityczna nie ma na celu wyłącznie nakłonienia wyborcy do opowiedzenia się za lub przeciw. Chodzi też o to, by go zmobilizować do pójścia na manifestację, wyrażenia poparcia, sprzeciwu itp. Taki nakręcony, rozmocjonowany wyborca jest w stałej gotowości do działania. A politycy w nim tę gotowość podtrzymują.

Czy wyrazistość w polityce może być szkodliwa?

– Czasami pod hasłem wyrazistości sprzedaje się działania, które są zwyczajnym naruszeniem norm. Jeśli wyrazistymi nazywa się np. wypowiedzi obraźliwe, oznacza to tym samym ich aprobatę. Albo przynajmniej przyzwolenie na nie.

Z drugiej strony nawet z kogoś, kto łamie prawo, łatwo zrobić antysystemowca albo buntownika w słusznej sprawie. Poprawność polityczna zwykle kojarzy się bardzo negatywnie. Czy nie ma pani wrażenia, że polscy wyborcy mają szczególną

słabość do buntowników, bo uważają ich za szczerych?

– Rzeczywiście jest tak, że przejawiamy stosunkowo dużą akceptację niestandardowych, niekonwencjonalnych zachowań. Zresztą są na polskiej scenie politycznej takie postacie, które na „antysystemowość” zbudowały swój wizerunek, np. Paweł Kukiz. Powiedziałabym jednak, że nie o szczerość tu chodzi,

Mało kto bije się we własne piersi, raczej wskazuje tę drugą stronę jako odpowiedzialną.

lecz o otwartość – polityk „niepoprawny” byłby więc takim, który nie owija w bawełnę. Czasami polityczna otwartość rzeczywiście wynika z tego, że ktoś mówi coś dokładnie w takiej formie, w jakiej to pomyślał. Bardzo często jednak „otwartość” ma charakter prowokacji – polityk zamierza wywołać taką reakcję adwersarza, na której będzie mógł coś zyskać.

Co sprawia, że polski wyborca tak łatwo ulega temu, co „antysystemowe” i „wyraziste”?

– Braki w edukacji. Większość polskich wyborców wiedzę o polityce czerpie z tabloidów. Tych, którzy dysponują podstawową wiedzą o społeczeństwie – np. orientują się, jaką funkcję ma Trybunał Konstytucyjny – jest ok. 30%. Zresztą tabloidowe skojarzenia Polacy mają również z polityką: hipokryzja, złodziejstwo, nieuczciwie zdobyte pieniądze. W tym kontekście nie dziwi, że wypowiedzi „bezpośrednie” i „wyraziste” budzą zainteresowanie części wyborców. Polacy przeważnie politykują, rozmawiając nie o polityce, ale o politykach: kto ile zarabia, ile miał żon itd. Proszę zwrócić

Tego, kto na werbalną agresję reaguje serdecznością, uważa się za frajera.

uwagę, że rozmowy niby o polityce prowadzone zazwyczaj przy okazji spotkań rodzinnych zwykle są rozmowami o cechach polityków, ich domniemanych zwyczajach, przywarach, a także o aferach i skandalach politycznych.

Albo o sobie nawzajem – kiedy padają argumenty *ad personam*.

– Sfera publiczna w Polsce miesza się z prywatną w tym sensie, że o politykach się rozmawia jak o znajomych – wszystko rozbija się o to, kogo lubimy, a kogo nie, i dlaczego. Rzadko są to merytoryczne dyskusje na argumenty. Polityka jako taka – bez konotacji personalnych – jest dla większości z nas zbyt abstrakcyjna, oderwana od rzeczywistości. Dopóki nie doświadczymy na sobie np. wadliwych przepisów czy reform, w ogóle o nich nie myślimy. Politycy dobrze sobie zdają sprawę z tych mechanizmów, dlatego manipulują własnym wizerunkiem, tak by budził sympatię – fotografują się ze swoim psem albo z rodziną, dbają o wygląd albo robią sobie zdjęcie w powszechnie uznanym autorytetem, takim jak Jan Paweł II. Starają się też zgadzać z wyborcami, czytając np. badania opinii publicznej, wiedząc, co jest wśród Polaków odbierane jako problem i używając tego w przemówieniach. A wyborca wtedy ma wrażenie, że jest rozumiany.

Kompromis w polityce uznawany jest za stratę.

Polityk, który robi sobie sesję w domu z dziećmi, jest bardziej wiarygodny?

– Nie o wiarygodność tu chodzi, lecz o atrakcyjność. O wiarygodności decydują wcześniejsze dokonania, dorobek. Wiarygodny polityk to polityk sprawdzony. Tymczasem większość Polaków nic nie wie o politycznym życiorysie swoich ulubieńców. Dlatego opiera się na wrażeniach i stereotypach. A to, co widoczne na zdjęciu, ma właśnie dać wyborcy iluzję pewności – wyobrazi sobie różne cechy polityka. Na przykład jeśli ktoś ma dzieci, wyborca może pomyśleć, że jest opiekuńczy i odpowiedzialny. Z kolei polityk sfotografowany w scenerii domowej jawi się jako bliski, swojski, taki jak my. Często też przypisujemy cechę wiarygodności takiemu politykowi, który zręcznie nazywa nasze potrzeby, nasze interesy i – wreszcie – nasze poglądy.

A czy może być tak, że politycy, nadając nazwy naszym opiniom, nieco je wyjaskrawiają, radykalizując tym samym swój elektorat?



W wielu miastach Polski, m.in. w Warszawie, odbyły się demonstracje przeciwko agresji i przemocy w związku ze śmiertelnym atakiem nożownika na prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza.

► – Może być tak, że wyborca sam nie użyłby jakiegoś określenia, ale – dostając przyzwolenie „z góry” – zaczyna go używać.

Tak było m.in. ze zdradą czy zdrajcą. Kiedyś te słowa używane były w ściśle określonych, najczęściej historycznych kontekstach. Dziś przeciętna „debata” internetowa bez nich się nie obejdzie. A przecież to politycy zaczęli ich używać, ich zwolennicy zaś je przejęli.

– Bywa tak, że wyborca czegoś lub kogoś po prostu nie lubi, więc łatwo mu zaakceptować określenie, które przecież jest obraźliwe. Rzecz w tym, że łatwiej marginalizować dewiantów niż homoseksualistów, zdrajców niż np. euroentuzjastów. Im bardziej nasze poglądy się kryształizują i im mniej są zniuansowane, tym łatwiej o polaryzację i wrogość.

Polski wyborca karmi się emocjami. A politykom jest to na rękę, bo nakręconym wyborcą łatwiej sterować.

I tu znowu wracamy do wiedzy – żeby wychwycić niuanse, trzeba wiedzieć. A to wymaga poświęcenia czasu, zaangażowania i rozważenia różnych argumentów za i przeciw. Dlatego wielu wyborców pomija te kroki, opierając się na etykietkach i stereotypach: katola, lewaka, mo-

herowego beretu, zdrajcy, aborcjonisty, leminga itd. Każdemu z tych pojęć przypisuje się kompletny zestaw cech. To dużo ułatwia, bo w ten sposób wyborca bez żadnego wysiłku może mieć poczucie, że wie, że jego opinia ma dobre uzasadnienie. Przecież Stefan W., który zaatakował Pawła Adamowicza, także uważał, że wie dobrze, kogo atakuje i dlaczego.

Czyli znowu wracamy do spektaklu – polityk, etykietkując, obsadza role: zdrajcy, ofiary, lewaka, zbawcy itd. Nam w tym wszystkim też chyba przypada jakaś rola. Czy dlatego tak trudno nam zmienić przekonania polityczne?

– Przyjemniej działać w obsadzonej roli i z poczuciem misji niż z poczucia obywatelskiego obowiązku – to pierwsze jest na pewno bardziej motywujące. Zmiana wyborów politycznych oznaczałaby rezygnację z własnego status quo. Ale również przebudowę całej wcześniejszej wizji świata – nagle kto inny musiałby się stać zbawcą, ofiarą czy bohaterem. Albo, co gorsza, trzeba by zupełnie zrezygnować z jednoznacznych etykietek. A przecież jesteśmy bardzo przywiązani do naszych wizji świata – nawet jeśli są negatywne i dysfunkcyjne. Lubimy to, co znamy, bo to, co znane, jest

przewidywalne. A przewidywalność daje nam poczucie bezpieczeństwa.

To chyba bywa paradoksalne w obecnej sytuacji?

– Poczucie bezpieczeństwa może usypiać czujność, szczególnie jeśli jest złudne. Może być tak, że przyzwyczajenie do powtarzanego na okrągło tego samego spektaklu

Polacy przeważnie politykują, rozmawiając nie o polityce, ale o politykach: kto ile zarabia, ile miał żon.

politycznego odbierze nam zdolność odróżniania tego, co standardowe, od tego, co powinno niepokoić. Łatwo wtedy nie zauważyć przekroczenia jakiejś ważnej granicy – podobnie jak żaba nie zauważa, kiedy jest gotowana.

Czy jest coś, co może nas skłonić do rewizji wyborów politycznych i do głębszej refleksji nad nimi?

– Paradoksalne i tragiczne jest to, że dopiero takie zdarzenia jak w Gdańsku mogą nas wytrącić z zasklepienia i nakłonić do zastanowienia się, w jakim miejscu się znajdujemy. Skoro potrzebujemy tak drastycznych środków, żeby zadać sobie pytanie o język debaty publicznej, to znaczy, że jest źle.

Katarzyna Wierzbicka

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Przemoc jest przepotężną siłą. Przemoc jest żywiołem. Przemoc jest prawdziwym tematem ostatnich dni i wydarzeń. Przemoc nie zawsze potrzebuje nienawiści jako osłony, alibi czy inspiracji emocjonalnej. Nienawiść jest przemocy bardzo często przydatna, stoi za jej plecami, ogrzewa swoim zimnym, wyrachowanym oddechem. Zagrzewa do boju. Daje oprawę, scenografię, efekty specjalne. Obserwując (najuważniej, jak mogę) wszystko to, co po morderstwie politycznym na Pawle Adamowiczu, prezydencie Gdańska, zaczyna wirować, wypływać, wytryskiwać w przestrzeni publicznej, w głosach, wyciu, pohukiwaniach, zamilknięciach, szeptach, modlitwach, groźbach, apelach – jestem najgłębiej przekonany, że to teraz dokonuje się najważniejszy w wymiarze politycznym spektakl, gdyż ta zbrodnia była spektaklem, była potworną sceną, prawdziwą jak krew, która popłynęła na scenie podczas Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Stąd moc tego, co się stało, a co mimo setek, może tysięcy włączonych kamer w komórkach – było niewidoczne, a sprawca odtańczył swój triumf.

tywanie – błyskawicznie, po tygodniu czy dwóch ulotniły się w niebyt. I zostały zamienione na obronę, wyjaśnienie, racjonalizację mordu, a w kolejnych miesiącach już bez osłonek na słowa uznania i budowanie legendy. Ale to nawet nie dziwi, niezmiernie rzadko ktoś realnie odpowiedzialny politycznie jest gotów w takim momencie tę odpowiedzialność dźwignąć, skonfrontować się z oskarżeniami, wziąć winę na siebie, wyciągnąć nauczkę. Nie po to rozpętywał piekło, żeby kajać się za jego śmiertelne żniwo.

Zostajemy więc my. My, którzy mamy zamilknąć, którzy mamy wyznaczyć „współgrzech” niegodziwych odzywek, na których można wyciągnąć bat zabójstwa Marka Rosiaka, pracownika biura poselskiego PiS w Łodzi. A jeszcze Smoleńsk. Też wylizanko-przepychance może nie być końca. Dlatego stop.

Nie da się tego pęknięcia po prostu modlitewnie i milcząco zagipsować. Następne miesiące zdecydują, czy na kolejne lata damy się tą przemocą zagonić w kąt, wmówić sobie coś, w co nie wierzymy. Taka była wedle Brykczyńskiego lekcja po Narutowiczu. Ci, co „modlitewnie zamilkli”, zastygli w przerażeniu.

ŻADNE CISZEJ NAD TĄ TRUMNĄ

Paweł Adamowicz nie żyje. Kiedy siedzę nad tym tekstem po kilku dniach nieodzywania się, niekomentowania, jest jeszcze przed uroczystościami pogrzebowymi. Gdy będzie czytany – będziemy już po tym pożegnaniu. Ale z tą śmiercią zostaniemy na lata, będziemy z nią żyć, to jedna z takich śmierci, których pamięć trwa dłużej niż żałoba, niż doroczny cykl podsumowań pierwszolistopadowych „w tym roku odeszli, pożegnaliśmy”. Dlatego zgadzam się z nielicznymi, którzy nie chcą, aby nad tą trumną było ciszej, żeby teraz królowało modlitewne zastygnięcie, bezgłośne pochylenie głów.

Śmierć Pawła Adamowicza jest cezurą w polskiej historii czasów pokoju. Tak jak było nią zamordowanie prezydenta Narutowicza w 1922 r. Nie chodzi tu też o dyskusję historyczną, na ile ta analogia jest uprawniona, na ile to „zupełnie” coś innego. W moim przekonaniu takie zabójstwo należy czytać w kontekście, a nie spychać je w odmiennościowe bezznaczenie. Tamten mord poprzedzała nawałnica prawicowej nienawiści, ten także. Tamta kampania, choć dysponowała mniejszymi środkami technicznymi, należała już do najbardziej współczesnej metodologii nagonki politycznej, tutaj mamy kraterę internetu, działa „publicznych” i prawicowych mediów. Nie chodzi mi o to, na ile tamten zabójca i obecny odbierali te fale. Związek jest bezsprzeczny.

Paweł Brykczyński, amerykański historyk młodego pokolenia, napisał o politycznej historii mordu na Narutowiczu niezwykłą, bolesną, pasjonującą i przerażającą książkę „Gotowi na przemoc”. W tej rekonstrukcji najbardziej poraża to wszystko, co wydarzyło się po śmierci Narutowicza. Kiedy zakłopotanie, a może nawet przez moment zawstydzenie, choć nigdy nie wzięcie odpowiedzialności za inspirację i nienawistne nawo-

Odebrało im głos. Tym samym przemoc wprowadziła jako obojętujące i niedyskutowalne endeckie pojmowanie polskości, Polski dla Polaków, wykluczającą definicję polskości i patriotyzmu (patriotyzmu – przygody, w której prawica w ostatnich dekadach przed odzyskaniem niepodległości udziału nie brała w ogóle albo w skrajnie ograniczonym stopniu).

Dzisiejsze zaplecze polityczne tego, co się wydarzyło w Gdańsku, nie czeka nawet tego tygodnia, dwóch. Jarosław Kaczyński, nieformalny i rzeczywisty przywódca tego obozu, spóźnił się symbolicznie na uczczenie w Sejmie minutą ciszy zamordowanego prezydenta Gdańska. Do żadnej odpowiedzialności nie poczuwają się ministrowie spraw wewnętrznych i sprawiedliwości, o prezesie TVP nawet nie ma co mówić. Tylko kiedy wieńce, w tym złożony przez prezydenta RP, kolejnego marionetkowego współodpowiedzialnego, zostaną złożone na grobie, ruszy propagandowa kontrofensywa prawicy. Nawet się nie dziwię, to walka o ich polityczne życie, być albo nie być, zostać rozliczonym czy stanąć przed koniecznością wzięcia odpowiedzialności.

Znakiem tego, że może być z nami źle, jest rezygnacja Owsiaka. To scenariusz opisany przez Brykczyńskiego, tylko rozgrywający się w przyspieszonym, XXI-wiecznym, cyfrowo-internetowym pędzie.

Trzeba stanąć naprzeciw. Też walczymy o życie. Walka z nienawiścią jest mozolna i trudna, Ordo Iuris – zaplecze „intelektualne” rządzących – już zaprotestowało przeciw lekcjom o nienawiści w szkołach, „krzyż mając na piersi, a brauning w kieszeni”. A z przemocą będzie jeszcze trudniej, szczególnie że instytucjonalna przemoc jest w rękach tych, którzy ponoszą polityczną odpowiedzialność za mord na Adamowiczu.

WĘGRY, PAŃSTWO MAFIJNE

Sieć osobistych powiązań i regulacji prawnych pozwoliła Viktorowi Orbánowi przejąć pełną kontrolę nad krajem



Protesty przeciw reformie prawa pracy. Budapeszt, 21 grudnia 2018 r.

Mateusz Mazzini

Proces reformowania węgierskich struktur państwowych, trwający nieprzerwanie od objęcia przez Orbána urzędu premiera w 2010 r., okazał się projektem tak ambitnym i nowatorskim, że wymknął się opisom światowej politologii. Najpierw Orbán i jego partia Fidesz byli uznawani za sztandarowy przykład populizmu, później szef rządu Węgier nadał sobie miano przywódcy demokracji nieliberalnej. Z kolei węgierski socjolog i publicysta Bálint Magyar nazywa tamtejsze struktury władzy i zarządzania administracją publiczną państwem mafijnym, podkreślając w ten sposób rolę samego Orbána, jak również rozległy system prywatnych spółek, mediów i alternatywnych wobec państwa instytucji, w pełni zależnych od dyspozycji premiera.

Wszystko to jednak pozostaje w sferze debaty akademickiej i ma niewielkie przełożenie na życie co-

dzienne Węgrów, w przeciwieństwie do aktów prawnych, które rząd Fideszu wprowadził i za pomocą których wywrócił do góry nogami całość relacji państwo-społeczeństwo. Faktyczna nazwa nowego węgierskiego porządku to NER, co po rozwinięciu tłumaczy się jako Narodowa Strategia Współdziałania. NER to skodyfikowana wizja świata i państwowości

Orbán zamienił w ciągu ośmiu lat Węgry w prywatny folwark.

według Orbána, której fundamentami są całkowita kontrola partii rządzącej nad państwem, walka z pluralizmem politycznym, pełna zależność wszystkich instytucji publicznych od władzy wykonawczej i kontrola nad życiem prywatnym obywateli poprzez m.in. ręczne sterowanie mediami, rynkiem pracy i edukacją.

Jak zauważa Dominik Héjj, politolog i ekspert ds. węgierskich, autor poczytnego w Polsce bloga Kropka.

hu, NER i Orbán to jedność, a ta nowa umowa społeczna, którą rząd Orbána opisał w przeszło 80-stronicowym dokumencie, daje jej autorom gwarancje utrzymania realnej władzy w kraju nawet w przypadku przegranej wyborów. Zmieniona na korzyść silnych graczy ordynacja wyborcza, przepisana na nowo bez konsultacji społecznych konstytucja, usunięcie

niezależności ośrodków naukowych i podporządkowanie sobie ponad 400 największych redakcji gazet, telewizji i kanałów radiowych to tylko niektóre manewry przeprowadzone przez Orbána w ostatnich latach, mające na celu zatrzymanie wszelkiej zmiany politycznej na Węgrzech. Co więcej, jak podkreśla Héjj na łamach „Dziennika Gazety Prawnej”, ponad 30 kluczowych ustaw wchodzących w skład NER ma status szczególnych aktów prawnych. W węgierskim systemie oznacza to praktycznie nietykalność, ponieważ do zmiany tego typu regulacji potrzebna jest parlamentarna

większość dwóch trzecich. Jeśli zatem się zdarzy, że Fidesz przegra, demontaż stworzonych przez tę partię ram instytucjonalnych będzie wymagać ponadpartyjnego porozumienia.

Choć swoją władzę partia cementuje od prawie dekady, w ostatnim czasie znacznie przyspieszyła. W połowie grudnia ub.r. węgierski parlament przyjął ustawę reorganizującą wymiar sprawiedliwości i wprowadził do niego nowy element, tzw. sądy administracyjne. Na pierwszy rzut oka nie brzmi to rewolucyjnie ani antydemokratycznie – osobne organy do postępowań administracyjnych istnieją bowiem w wielu krajach, m.in. w Niemczech, Austrii czy Polsce, a ich wprowadzenie otwarcie rekomenduje Unia Europejska i Komisja Wenecka. W przypadku ustawy Orbána nie chodzi jednak o zwykłe przesunięcie kompetencji. Nowe prawo w praktyce drastycznie ogranicza zasięg działania „normalnych” sądów, przenosząc wszystkie postępowania z udziałem instytucji publicznych do świeżo stworzonej gałęzi systemu, podobnie jak sprawy pomiędzy indywidualnymi obywatelami a państwem. Sędziów sądów administracyjnych nominować będzie osobiście minister sprawiedliwości, a nadzór nad nimi będzie sprawowany wyłącznie przez czynnych polityków. Pod władzę nowego systemu dostaną się tak ważne społecznie kwestie jak korupcja, prawo do zgromadzeń publicznych, prawo do protestu, a przede wszystkim kodeks wyborczy.

Przyjęta w grudniu ustawa nie przewiduje żadnego organu współdzielonego przez nowe i stare sądy, co czyni gałąź administracyjną równoległym, alternatywnym wymiarem sprawiedliwości, w pełni podległym Orbánowi i jego ministrom. Wcześniej udało mu się zapełnić krajowy Sąd Najwyższy funkcjonariuszami politycznymi, pełną wymianę personelu przeprowadził również w publicznych instytucjach nadzoru. Gdy doda się do tego konstytucję i ordynację wyborczą przepisane pod dyktando Orbána, trudno sobie wyobrazić jakiegokolwiek osłabienie jego pozycji na Węgrzech.

Cas Mudde, holenderski politolog i światowej sławy teoretyk populizmu z Uniwersytetu Georgia w USA, podkreśla w wywiadzie dla „New York Timesa”, że cała architektura

nowego państwa węgierskiego uderza w opozycję przy jednoczesnym zachowaniu pozorów demokracji. Jego zdaniem reformy Orbána pozwalają przeciwnikom politycznym na istnienie, ale już nie na rzucenie wyzwania Fideszowi, nie mówiąc o zmianie władzy. Jednocześnie na Węgrzech wciąż odbywają się wybory, okazjonalnie przez kraj przetaczają się protesty, a opozycji raz na jakiś czas udaje się mniejsze lub większe parlamentarne zwycięstwo. Jak chociażby w grudniu, kiedy zablokowane przez nią i odsunięte w czasie zostało pierwsze głosowanie nad projektem ustawy o sądach.

Goręcej zrobiło się na węgierskich ulicach w ostatnich dniach grudnia, gdy rząd przedstawił projekt nowej ustawy o nadgodzinach, szybko nazwanej przez jej przeciwników „ustawą niewolniczą”. Zgodnie z jej założeniami pracodawcy mogą jed-

Żadna ważna decyzja nie może zostać podjęta bez wiedzy i zgody premiera.

nostronnie zwiększyć dopuszczalny roczny limit nadgodzin dla pracowników z 250 do 400, mając zamiast roku, jak dotychczas, trzy lata na rozliczenie się z nich. Wprawdzie nadgodziny pozostaną dobrowolne, łatwo sobie jednak wyobrazić, biorąc pod uwagę to, jak niewielki i nasycony jest rynek pracy na Węgrzech, że pracownicy znajdą się pod olbrzymią presją. A ich sytuacja już teraz jest nie do pozazdroszczenia. Według danych OECD za rok 2016 Węgrzy spędzają w pracy średnio 1740 godzin rocznie. Ta sama statystyka w sąsiedniej Austrii, gdzie już teraz wielu Węgrów emigruje za pracą na stałe lub przynajmniej tymczasowo, wynosi 1613 godzin. Co ważniejsze, pracując ponad 100 godzin mniej, Austriacy otrzymują przeciętnie dwa razy wyższe zarobki. Nic więc dziwnego, że „ustawa niewolnicza” wywołała falę niezadowolenia społecznego. Dziesiątki tysięcy obywateli protestowało na ulicach Budapesztu, w parlamencie opozycja usiłowała zablokować przyjęcie ustawy politycznym happeningiem.

Attila Juhász, analityk stołecznego think tanku Political Capital, zwraca uwagę, że protesty tym razem osiągnęły skalę masową, ponieważ

rząd uderzył we wszystkich Węgrów, niezależnie od ich poglądów. „Tym razem sprawa nie miała charakteru politycznego, spór nie przebiegał po linii podziałów, według których ludzie głosują w wyborach”, mówił Juhász w „New York Timesie”. Mimo to ustawa została przyjęta, a popularność Orbána i Fideszu jedynie lekko się zachwiała.

Konsekwencje „ustawy niewolniczej” na dłuższą metę mogą być jednak dla Węgier katastrofalne. Już teraz ponad 350 tys. Węgrów, czyli ponad 5% tamtejszej siły roboczej, pracuje na co dzień w innym kraju Unii Europejskiej. Nowe, niekorzystne dla pracowników przepisy mogą ten odsetek drastycznie i skokowo zwiększyć. W dodatku antyimigrancka polityka i ksenofobiczna retoryka Orbána skutecznie zniechęcają obcokrajowców do osiedlania się w tym kraju, odcinając Węgry od napływu potencjalnych pracowników. Brak rąk do pracy może być dla tamtejszej gospodarki zabójczy. Z drugiej strony w krótszej perspektywie czasowej nowe regulacje z pewnością przyniosą korzyści węgierskim przedsiębiorcom, którym Orbán od zawsze jest niezwykle przychylny.

Na Węgrzech z pewnością nie zostaną też absolwenci Central European University (CEU), założonej przez George’a Sorosa prywatnej uczelni, jednego z najlepszych ośrodków nauk społecznych na całym kontynencie. Tylko w ubiegłym roku uczyło się tam 1435 osób z ponad 118 krajów. W tej grupie znalazło się jedynie 332 Węgrów (23% całości). Ten potencjał na węgierskie PKB pracować już jednak nie będzie. Orbán, obwiniający Sorosa o całe zło tego świata, postanowił wygnać CEU z Budapesztu, mimo głośnych protestów całego niemal środowiska akademickiego Europy i USA. Uczelnia otwiera w tej chwili kampus w Wiedniu, kończąc tym samym sen o wybitnej na skalę globalną humanistycznej placówce naukowej powstałej w kraju postsocjalistycznym.

Viktor Orbán w ciągu ośmiu lat zamienił Węgry w prywatny folwark. Żadna fundamentalna decyzja nie może zostać podjęta bez jego wiedzy i zgody. Jego współdziałanie z narodem jest z kolei czystą fikcją – w nowej umowie społecznej obywatele nie są bowiem stroną, ale przedmiotem. ■

Longin Pastusiak

20 stycznia minął półmetek kadencji Donalda Trumpa. On jednak zapowiada wszem wobec, że będzie prezydentem dwie czteroletnie kadencje, więc półmetek jego ambicji prezydenckich dopiero za dwa lata.

Nie wiadomo, czy te ambicje zostaną zaspokojone, skoro już połowie pierwszej kadencji towarzyszy wiele skandali i kryzysów politycznych, na czym cierpi wiarygodność Trumpa. Kryzysy te nasiliły się po zwycięstwie demokratów w ostatnich wyborach do Izby Reprezentantów. Nie spełniły się zapowiedzi republikańskiego prezydenta, że w kontaktach z demokratyczną Izbą Reprezentantów będzie kierował się dialogiem i szukał porozumienia. Jeszcze raz potwierdziło się, że Trump nie jest politykiem kompromisu.

SPÓR O MUR

Ostatni ostry kryzys polityczny został wywołany tym, że zdominowana od początku tego roku przez demokratów Izba Reprezentantów odmówiła przyznania 5,7 mld dol. na budowę muru na granicy USA z Meksykiem. W odpowiedzi Trump zawiesił działalność części rządu i wysłał 800 tys. jego pracowników na przymusowy bezpłatny urlop. Zamknięte zostały

Donald Trump grozi, że jeżeli demokraci nie spełnią jego życzeń, może ogłosić stan wyjątkowy.

nie tylko niektóre resorty, ale także instytucje użytku publicznego utrzymywane z funduszy federalnych, m.in. sądy i muzea. Nie jest to pierwsza tego rodzaju sytuacja w historii USA, po 1977 r. zdarzyło się to 19 razy, ostatnio przed rokiem, ale tym razem *shutdown* trwa najdłużej – do chwili zamykania numeru już 28 dni.

Trump oświadczył publicznie, że nie podpisze żadnej ustawy Kongresu, dopóki ten nie uchwali owych 5,7 mld dol. na budowę muru granicznego. Prezydent grozi, że jeżeli demokraci nie spełnią jego życzeń, może ogłosić stan wyjątkowy (*national emergency*). Demokratyczni kongresmeni wyrazili gotowość przyznania 1,5 mld dol. na tę budowę, ale Trump ich propozycję odrzucił.

PÓŁMETEK W ATMOSFERZE SKANDALU

Donald Trump zawiesił działalność rządu i grozi ogłoszeniem stanu wyjątkowego

Rozmowy prezydenta z demokratami w Białym Domu były tak napięte, że w pewnym momencie gospodarz uderzył pięścią w stół, po czym wstał i nie pożegnawszy się z gośćmi, m.in. z przewodniczącą Izby Reprezentantów Nancy Pelosi i liderem demokratycznej mniejszości w Senacie Chuciem Schumerem, opuścił gabinet.

Idąc na ostre starcie z demokratami, Trump równocześnie chwalił się, że ma niesamowite poparcie ze strony republikańców. Nie było to w pełni prawdziwe, ponieważ wielu republikańców w Kongresie również wyrażało wątpliwości odnośnie do nieprzejednanej postawy prezydenta. W tej sytuacji Trump postanowił przedstawić swój pogląd społeczeństwu. Mimo że już dwa lata zasiada

da to prawdzie, ponieważ miliony imigrantów pracują i płacą podatki. W 2018 r. o prawo azylu w Stanach Zjednoczonych ubiegało się 93 tys. imigrantów, ale 90% spotkało się z odmową. Meksykanów Trump oskarżył o handel narkotykami, z powodu nadużycia których w 2017 r. śmierć poniosło w USA 70 327 osób, a imigrantów z Ameryki Południowej o wiele innych aktów przestępczych. Tym właśnie uzasadniał swoją stanowczość w sprawie budowy muru na południowej granicy – mur jest potrzebny, aby zapobiec przedostawaniu się do Stanów Zjednoczonych „handlarzy narkotyków, handlarzy ludźmi i kryminalistów”.

CAŁE ŻYCIE JEST ZWYCIĘSTWEM

Amerykańska opinia publiczna w sprawie budowy muru jest podzielona. Według najnowszego sondażu CNN 57% ankietowanych jest przeciwnych budowie, natomiast 38% popiera ten pomysł. Notowania samego prezydenta są w miarę stabilne, choć znacznie niższe od tego, co osiągał jego poprzednicy. Z aprobatą o Trumpie wyraża się niespełna 40% Amerykanów, 54% ma o nim negatywną opinię.

Trump tym się nie przejmując, jest pewny swojej silnej pozycji. Przeciwników politycznych ostrzegał, że jeżeli podejmą próbę usunięcia go ze stanowiska w drodze impeachmentu, załamię się gospodarka rynkowa i każdy Amerykanin znajdzie się w trudnej sytuacji. Ma też oczywiście zwolenników. Jego czołowym obrońcą jest Rudy Giuliani, były burmistrz Nowego Jorku.

Dokąd zaprowadzi USA Donald Trump swoją nieustępliwością w sprawie budowy muru na granicy z Meksykiem?



Poza tym Trump podkreśla, że jest osobą niepolityczną i dlatego został wybrany na prezydenta. Zapewnia wyborców, że o nic się nie martwi. „Moje całe życie jest zwycięstwem. (...) Prawie nigdy nie przegrywam – chwali się. – Kiedy wygrywasz, wszystko, co robisz, jest uzasadnione”.

To nie pierwsze jego wypowiedzi świadczące o pewności siebie, a nawet o bufonadzie Oto kilka innych: „Wystawiam sobie ocenę A+”, „Odnieśliśmy triumf nad złem jak nikt inny”, „Zwyciężymy w przestrzeni kosmicznej”, „Kiedy masz dobre notowania, możesz mówić cokolwiek”, „Nikt nie dokonał więcej w ciągu dwóch pierwszych lat prezydentury niż moja administracja. Nikt, nikt”.

SAMOTNOŚĆ W BIAŁYM DOMU

W rzeczywistości w połowie kadencji Trumpa w Białym Domu panuje niesamowity chaos. Od początku tej prezydentury odeszło ok. 20 bliskich współpracowników amerykańskiego przywódcy. Kilku zostało skazanych za różne przestępstwa. Wobec 16 współpracowników prokurator specjalny Robert S. Mueller III prowadzi dochodzenie w spra-

wie ich kontaktów z Rosją i Rosjanami. Prokurator Mueller bada związki gospodarcze Trumpa z Rosją i podejrzewa Moskwę o ingerencję w amerykańskie życie polityczne. Trump stanowczo zaprzecza, jakoby wiedział cokolwiek na temat mieszania się Rosji w politykę jego administracji. Nie można oczywiście wykluczać, że niektórzy współpracownicy Trumpa działali bez wiedzy prezydenta.

Obiektem dochodzenia są nie tylko współpracownicy prezydenta, ale także założone przez niego organizacje gospodarcze i charytatywne m.in. Trump Organization, Trump Foundation i Trump University. Władze stanów, w których rządzą demokraci, zarzucają Trumpowi, że będąc prezydentem, nie wyłączył się całkowicie z zarządzania swoim biznesem, więcej – wykorzystuje obecnie swoje hotele do robienia interesów, co jest sprzeczne z konstytucją amerykańską.

W połowie kadencji Trump znalazł się w trudnej sytuacji i na okres świąteczny postanowił zostać w Białym Domu. Żona Melania z synem udali się do rodzinnej rezydencji na Florydzie. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów rodzina prezydenta spędziła święta Bożego Narodzenia

osobno. Trump był sfrustrowany: „Jestem biedny i samotny w Białym Domu, czekając na demokratów, aż powrócą i zawrą pilnie potrzebne porozumienie w sprawie bezpieczeństwa na granicy”. Niedawno w rozmowie z pracownikami uskarżał się, że czuje się całkowicie opuszczony.

Donald Trump wkroczył do Białego Domu bez doświadczenia politycznego. Objął urząd w warunkach dobrej koniunktury gospodarczej, która na jego szczęście utrzymuje się do dnia dzisiejszego. Dlatego na początku prezydentury zajął się głównie sprawami zagranicznymi. Szybko jednak okazało się, że przyczynił się do chaosu na arenie międzynarodowej, m.in. wystąpił z wielu porozumień, pogorszył stosunki USA z Unią Europejską i Chinami, wycofał Stany Zjednoczone z UNESCO. Wyrażnie brakuje mu obycia politycznego, zarówno krajowego, jak i międzynarodowego. Jest nieprzewidywalny w poglądach i podejmowanych decyzjach. Dlatego z jego ust często wychodzą dziwne i sprzeczne wypowiedzi.

Longin Pastusiak jest byłym marszałkiem Senatu (2001-2005). Obecnie profesorem Akademii Finansów i Biznesu Vistula

TABLETOWA KONSPIRACJA

Opinie na temat zakazu używania smartfonów we francuskich szkołach są podzielone, zarówno w samej Francji, jak i w Niemczech



Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Pod koniec lipca 2018 r. francuskie Zgromadzenie Narodowe przeforsowało ustawę przewidującą zakaz używania w szkołach telefonów komórkowych, tabletów oraz zegarków z dostępem do internetu. Realizacja tej regulacji była jedną z kampanijnych obietnic Emmanuela Macrona, choć właściwie stanowiła jedynie pewne zaostrezenie już istniejących przepisów. Zakaz używania smartfonów i podobnych urządzeń dotyczy wszystkich szkół od pierwszej do dziesiątej klasy, a także przedszkoli oraz żrówek. Przeforsowana głośno partii La République en marche (LREM) inicjatywa obejmuje więc dzieci i młodzież w wieku od trzech do ok. 15 lat. Natomiast dyrektorzy liceów mają prawo wyboru. W pozostałych szkołach ustawa przewiduje zupełny zakaz używania komórek oraz tabletów, zarówno podczas lekcji w budynkach, jak i na boiskach szkolnych. Wyjątki dotyczą np. urządzeń mobilnych, które są potrzebne do przeprowadzenia zajęć bądź stanowią pomoc naukową dla niepełnosprawnych uczniów.

Regulacja zakazująca używania telefonów komórkowych na terenie szkół istnieje we Francji właściwie już od 2010 r., ale obecny minister ds. młodzieży i edukacji, Jean-Mi-

chel Blanquer, był przekonany, że nie sprawdzała się ze względu na rozliczne w niej luki. Przede wszystkim jednak nie obejmowała ogółu szkół. – Smartfony przeszkadzają na lekcji, rozpraszają uczniów i zmniejszają aktywność fizyczną na boiskach szkolnych – argumentuje polityk LREM.

Niepokojącym zjawiskiem stało się też nadużywanie komórek jako instrumentów mobbingu i cyberprzemocy. Francuscy uczniowie bywali przez rówieśników dręczeni, nagrywani i następnie upokarzani w internecie. Według informacji Agence France

go przybliży. Gdy odbiera się uczniom na kilka godzin telefony komórkowe, ich głowy mogą trochę odpocząć i być bardziej otwarte na ważniejsze informacje – uważa znany francuski psychiatra Serge Tisseron. – Zaostrezenie było niepotrzebne. Cyfryzacja ma coraz większe znaczenie w życiu zawodowym i należałoby młodzież na nią przygotować – przekonuje z kolei Sabine Rubin z lewicowej partii La France insoumise (Niepokorna Francja). – Smartfony są prawdziwą trucizną dla młodzieży, dla jej zdrowia i psychiki. Uważam nową regulację

Regulacja zakazująca używania telefonów komórkowych na terenie szkół istnieje we Francji już od 2010 r.

Presse dziewięcioro z dziesięciorga francuskich dzieci w wieku 12-16 lat ma smartfon. Obowiązujące od września 2018 r. zakazy mają tymczasem wielu przeciwników, nie tylko wśród młodych, których „wujek Emmanuel” odciął od świata. Również sporo dorosłych Francuzów krytykuje nową regulację, podkreślając np. koszty związane z przechowywaniem urządzeń. Argumentów jest jednak znacznie więcej.

BEZLUDNE WYSPY

– Zaostrezenie ustawy jest jak najbardziej na miejscu. Ona nie odcina młodzieży od świata, tylko ją do nie-

nawet za zbyt liberalną. Wolałbym, aby używanie telefonów komórkowych i tabletów bez nadzoru dorosłych było dozwolone dopiero od 18 lat – żąda Tisseron. – To bzdura! – kontruje niemiecki pedagog mediów Jöran Muuss-Merholz. – Smartfony i tablety w szkołach są wielką szansą dla dzieci, ponieważ przygotowują je do życia zawodowego, które rzadko odbywa się na bezludnej wyspie.

A co sądzą francuscy uczniowie? – Zakazy jedynie nakłaniają dzieci do dalszego kombinowania. Uczniowie często mają już dwie komórki. Jedną oficjalną, którą przed lekcją oddają, i drugą, ukrytą w kieszeni, której używają potajemnie pod biurkiem – zdra-

dza 13-letnia Océane z Paryża. Można odnieść wrażenie, że w tej kwestii panuje we francuskich szkołach jednomyślność. – W ustawie są wpisane wyjątki, np. pozwolenie używania smartfona jako pomocy naukowej w trakcie lekcji. Nie trzeba być wielkim pedagogiem, aby dostrzec, że młodzi z tej luki będą korzystać z nadatkiem i częściej wchodzić na Instagram niż na aplikację z kalkulatorem – sądzi 15-letnia Jacqueline, również paryżanka. – Dla naszego pokolenia te nowe zakazy ocierają się o groteskę, bo wielu polityków nic nie wie o dzisiejszej rzeczywistości w szkołach podstawowych – dorzuca.

– Niektórzy rządzący w Europie tęsknią do „starych czasów”, kiedy w ich szkołach rzekomo nie istniało nic, co mogło odwrócić uwagę. Tak naprawdę już 50 lat temu uczniowie znajdowali dziesiątki powodów, by nie skupiać się na lekcji. Bo to po prostu jest częścią okresu dojrzewania – wyjaśnia Muuss-Merholz. A Jacqueline zaznacza: – Jeśli pan minister Blanquer przyszedłby do naszej klasy i porozmawiał z nami o dzisiejszych realiach w szkołach, byłby zaskoczony żywą dyskusją i przekonałby się, że i tak nikt z nas nie używa na lekcjach telefonów komórkowych. Politycy nie powinni podejmować decyzji ponad naszymi głowami jedynie dlatego, że zatęsknili do swojej młodości.

Niemniej jednak Blanquer jest przekonany, że nowa ustawa przenosi Francję w XXI w., będąc zarazem „przesłaniem dla całego świata”. Tymczasem w Niemczech opinie na ten temat również są podzielone. Nie tylko Muuss-Merholz przekonuje, że nowa ustawa raczej cofa francuski system edukacyjny do minionego wieku.

BAWARSKI WZÓR

W federalistycznych Niemczech zasady używania smartfonów i tabletów ujęte są w landowych przepisach oświatowych, a następnie indywidualnie w regulaminach każdej szkoły. W berlińskim gimnazjum, do którego chodzi moja starsza córka, w trosce o niezakłócony przebieg zajęć używanie telefonów komórkowych jest zabronione, albo raczej niepożądane, jako że nie ma żadnych postanowień, które można uznać za prawomocne. Jednocześnie niemieccy politycy nie chcą odcinać młodych od świata.

Minister edukacji Anja Karliczek planuje w tym celu strategię edukacji w cyfrowym świecie, która ma wyznaczyć sposoby włączenia mobilnych urządzeń elektronicznych w proces naukowy. – Internet to nie tylko gry i świństwa, ale także kopalnia wiedzy, która jest dzieciom potrzebna – powiedziała polityk CDU. Co ciekawe, również niektórzy niemieccy związkowcy oceniają francuski model krytycznie. – Pierwsze reakcje we Francji pokazują, że zaostrzony zakaz nic nie da, a nawet przynosi odwrotne skutki, ponieważ dzieci trwonią czas i energię na przemykanie telefonów do szkół. Ale na pewno potrzebne są niemieckim szkołom inicjatywy i jasno wyznaczone granice, aczkolwiek przy równoczesnym kształceniu kompetencji medialnej uczniów – uważa Udo Beckmann, członek zarządu Niemieckiego Zrzeszenia Urzędników i Unii Taryfowej (dbb). Według niego zaostrzone regulacje mogą zostać zastąpione większymi inwestycjami

Cyfryzacja ma coraz większe znaczenie w życiu zawodowym i trzeba młodzież na nią przygotować – mówią przeciwnicy zakazu.

na wyposażenie niemieckich szkół w nowoczesne komputery, bo w tym zakresie na tle Europy Niemcy nie wypadają dobrze: – Dopóki nasze szkoły nie będą miały odpowiednich urządzeń zakupionych przez państwo, uczniowie muszą korzystać ze swoich.

Jasne zasady regulujące kwestię używania smartfonów i tabletów obowiązują tylko w Bawarii. Jedynie tam ustawa nakazuje wyłączyć komórki oraz inne nośniki cyfrowe na całym terenie szkoły, choć podobnie jak we Francji nauczyciele lub osoby prowadzące zajęcia mogą wyjątkowo udzielić pozwolenia. Inne kraje związkowe w Niemczech odwołują się do indywidualnych regulaminów szkolnych oraz projektów pedagogicznych, które mają informować uczniów o skutkach nadużywania gadżetów. Manfred Spitzer, psychiatra z badeńskiego Ulm, utrzymuje, że dzieci kupujące komórki często robią to na prośbę rodziców, a nie tylko kierują się odruchem stadnym. – W większości przypadków rodzice na pewno nie chcą im szkodzić, ale bywają też nieświadomi efektów decyzji wynikających właściwie ze szczerzej troski. Myślą, że dziecko uzbrojone

w komórkę mniej się naraża na niebezpieczeństwa, bo w nieprzyjemnych sytuacjach może szybciej nawiązać z kimś kontakt. Jednak nie zdają sobie sprawy z tego, jakie zniszczenia powoduje w młodych mózgach nadużywanie smartfonów – ostrzega Spitzer.

POMOC NAUKOWA

Według ustaleń berlińskiego Stowarzyszenia Informatyki, Telekomunikacji i Nowych Mediów (bitkom) już ponad dwie trzecie dzieci i młodzieży w Niemczech w wieku 6-18 lat ma telefon z dostępem do internetu. W grupie 14-latków, szczególnie podatnych na te gadżety, komórką dysponuje ok. 85%. Niemal każdy (ponad 90%) zabiera ją ze sobą do szkoły. Co znamiennie, prawie nikt nie używa telefonów mobilnych w ich pierwotnym celu, czyli do rozmawiania. Najczęściej komórki sprawdzają się w dziecięcych rękach jako nośniki mp3 oraz aparaty fotograficzne (np. gdy uczniowie nie

palą się do tradycyjnego odpisywania z tablicy). Ulubionym sposobem komunikacji pozostaje nieodmiennie czatowanie oraz wysyłanie wiadomości i zdjęć przez aplikację WhatsApp. Z badań bitkomu wynika, że co dziesiąty uczeń przyznaje się do wykorzystania komórki jako „pomocy naukowej”, czyli ściąg. Używanie komórek na lekcjach w niemieckich szkołach jest na ogół niepożądane, chociaż przeważnie dozwolone na boiskach.

W przeciwieństwie do wielu związkowców z dbb przedstawiciele Niemieckiego Związku Nauczycieli (DL) żądają zastosowania bawarskich przepisów we wszystkich szkołach. – Różne rozporządzenia administracyjne w krajach związkowych wprowadzają chaos. Dlatego domagamy się centralnej regulacji, która obejmie cały kraj, smartfony przeszkadzają w prowadzeniu zajęć i hamują rozwój kompetencji społecznych – tłumaczy Heinz-Peter Meidinger, przewodniczący DL. Meidinger powołuje się na badania z Wielkiej Brytanii, gdzie porównanie świadectw 15-latków wskazało, jakoby uczniowie pozbawieni gadżetów osiągalni lepsze wyniki w nauce. – Komunikacja przez

► WhatsApp powiększa stres, a zbyt częste przebywanie na portalach społecznościowych wykrzywia ogląd rzeczywistości i ludzi – tłumaczy Meidinger. Podkreśla, że coraz więcej dzieci pada ofiarą cyberprzemocy lub pornografii, która dziś jest dostępna za jednym kliknięciem. Jeśli politykom nie uda się uchwalić ustawy zakazującej używania komórek we wszystkich niemieckich szkołach, to Meidinger apeluje o wprowadzenie od dziesiątego roku życia dodatkowych lekcji, na których dzieci mogłyby poznać skutki nadużywania smartfonów i tabletów, a także zasady bezpieczeństwa w internecie.

TRADYCYJNE KOMPUTERY

Podobnego zdania jest Simone Fleischmann, nauczycielka i szefowa Bawarskiego Związku Nauczycieli i Nauczycielek (BLLV), aczkolwiek odrzuca pomysł zakazu telefonów komórkowych. – Dzieciaki muszą w szkołach zajmować się internetem, ponieważ jest niewymazywal-

ną częścią naszego życia. Nie mogą zapoznawać się z nim dopiero jako dorośli, to nieodpowiedzialne. Ale my, nauczyciele, musimy je nauczyć racjonalnego korzystania z tych gadżetów, to z kolei nasza odpowiedzialność – zaznacza.

Nie zgadza się z nią jej kolega Arne Ulbrecht, 46-letni nauczyciel historii

15-letnia uczennica: Dla naszego pokolenia nowe zakazy ocierają się o groteskę, wielu polityków nic nie wie o rzeczywistości w szkołach.

i języka francuskiego: – Całkowity zakaz używania komórek w niemieckich instytucjach edukacyjnych miałby prawie wyłącznie zalety. Na boiskach uczniowie wreszcie mogliby znów zacząć rozmawiać, zamiast oglądać filmy pornograficzne lub zabójstwa więźniów w Arabii Saudyjskiej. Może wówczas zrozumieliby, że połowa treści w internecie to śmieci, na które trwonią cenny czas.

Według Ulbrechta niemieccy uczniowie uczą się rozsądnego używania internetu właśnie bez smartfonów czy tabletów. – Te urzą-

dzenia tylko przeszkadzają. Nawet Steve Jobs utrzymywał, że telefony komórkowe i tablety mają służyć wyłącznie rozrywce dorosłych. Sprzeciwiał się ich zastosowaniu w ramach lekcji, bo doskonale wiedział, że w gadżetach przeznaczonych do bezkablowego dostępu do sieci przepływ danych jest niekontrolowalny.

Moim zdaniem w szkołach powinny być używane wyłącznie zwykłe, za to nowe komputery oraz laptopy, z zabezpieczonym dostępem do internetu. Pomijam tu zastrzeżenia lekarzy, że skutki zdrowotne korzystania przez dzieci z bezkablowych urządzeń elektronicznych nie są jeszcze do końca zbadane. W ogóle sędzę, że wiedzę o internecie można przekazywać też w znakomity sposób bez jakichkolwiek komputerów. Francuzi mają szczęście, że ich pierwsza dama jest nauczycielką.

Wojciech Osiński

ROWAN ATKINSON
JOHNNY ENGLISH
NOKAUT

STUDIOCANAL WORKING TITLE

UNIVERSAL
© 2019 Universal Studios and StudioCanal SAS. All Rights Reserved.

JUŻ NA BLU-RAY™ I DVD

Oko w oko



Tomasz Jastrun

NA OSTRZU NOŻA

Zacząłem pisać dziennik, gdy miałem 12 lat. Daję ten pierwszy zeszyt do czytania synkowi, który jest w tym wieku. Tak możemy nagle się spotkać jako równolatki. A mój chłopczyk uczy się współczesnej historii Polski. Hasła: stalinizm, PRL, Stocznia Gdańska, Wałęsa (jeszcze jest w podręcznikach), Solidarność, stan wojenny, internowani, Mazowiecki (zdumiony jestem, bo nie ma jeszcze Kaczyńskiego jako przywódcy strajku i twórcy Solidarności). Zostałem wydelegowany, by to wszystko wytłumaczyć i przybliżyć dziecku. Zadanie okazuje się karkołomnie trudne. W tym wieku nie ma się narzędzi, by to pojąć, a ja się okropnie męczę, by mówić przystępnie językiem jego myśli, ale wtedy wszystko zupełnie się udziecinia. Inna sprawa, że upływ czasu zawsze udziecinia przeszłość. A przy tym poczucie, że stałem się nie wiedzieć kiedy świadkiem historii. Lizałem skrawek stalinizmu, żyłem intensywnie w PRL, w czasie słynnego strajku byłem w stoczni gdańskiej, ukrywałem się przez rok w stanie wojennym, byłem internowany, znałem osobieście Tadeusza Mazowieckiego, ścisłałem dłoń Lecha Wałęsy. I jak dzisiaj pamiętam, gdy w 1978 r. Helena Łuczywo, nasza wtedy sąsiadka – w jej mieszkaniu robiono nielegalne pismo „Robotnik” – powiedziała mi: „Wiesz, w Gdańsku pojawił się taki ciekawy, energiczny robotnik, nazywa się Lech Wałęsa”. Mówię o tym wszystkim Antosiowi, ale nie robi to na nim wrażenia.

Język w Polsce jest pełen jadu, od lat mordujemy się słowami.

Sprawa Adama Glapińskiego i jego dwórek – w tym określeniu nie ma żadnego seksizmu, gdyby to byli faceci, napisałbym dworzan – musi robić na narodzie wielkie wrażenie, kto by nie chciał zarabiać 65 tys. miesięcznie. Zawieść i zazdrość, szpetne dwie siostry, są matkami niechęci, a nawet nienawiści. Adama Glapińskiego poznałem, to rok bodaj 1992, gdy byłem w Sztokholmie szefem Instytutu Polskiego, moim gościem miał być Andrzej Olechowski, nawalił w ostatniej chwili i przysłano mi z wykładem Glapińskiego. To było dziwne uczucie, mówiliśmy tym samym językiem, ale miałem wrażenie, że mieszkamy na dwóch różnych planetach.

Najdziwniejsze, że ten mord tak długo wisiał w powietrzu jak siekiera, która jakimś cudem się utrzymuje. Aż w końcu spadła. I małe ma znaczenie, czy morderca był

przy zdrowych zmysłach; nawet chorzy, a może oni szczególnie, czują napięcie, które jest w powietrzu. PiS szczerło na Adamowicza przez lata, a teraz leje krokodyle łzy, bo wielki strach, jak to wpłynie na wynik wyborów parlamentarnych. Nie znałem Pawła Adamowicza, wiem, że był na spotkaniu ze mną w kościele w Sopocie, to czas po stanie wojennym, on młody wtedy chłopak.

Wszedłem na chwilę na TVP Info, od dawna tego konsekwentnie unikam, jak unika się strefy skażonej przez skunka. Słyszę, jak jakiś pisowiec głosem nabożnego księdza mówi: „Nie wolno ze złem walczyć złem”, Adamowicz więc jako zło, z którym trzeba było walczyć. Słuchając przez kilka minut tej telewizji, miałem wrażenie, że jest zrobiona z innej materii niż telewizje prywatne: odmiennie brzmiące głosy, inny tembr, brak profesjonalizmu, skrajna tendencyjność. Winni zbrodni są opozycja i Owsiak. I jakże znamienne, że od razu po zamachu politycy PiS pisali, jak Duda, w tym stylu: nie było nam politycznie po

drodze, ale tak nie wolno. To zastrzeżenie ujawnia stan rzeczy, dzieli nas otchłań. Ta śmierć jest ukoronowaniem trzech lat rządów PiS, nie – kilkunastu lat, od kiedy ta partia istnieje. Dziennikarz Krzysztof Leski, bohater, który od trzech lat ogląda codziennie „Wiadomości”, wyliczył, że tylko w zeszłym roku jedynie w głównym wydaniu było co najmniej sto materiałów o Adamowiczu. Przedstawiało go jako oszusta majątkowego, współautora afery Amber Gold, polityka walczącego z polskością oraz promującego nazizm i komunizm. Telewizja publiczna oskarżała go także o ściągnięcie na Gdańsk katastrofy ekologicznej. Krzysiu, to ty tak od trzech lat tam wchodzisz i ciągle żyjesz, nie zatrueś się? Język zabił prezydenta Gabriela Narutowicza, zaszczuła go endecja. Język w Polsce jest teraz pełen jadu, od lat mordujemy się słowami.

Powiem teraz, jak mówi dziecko: oni są źli, są dowodem na istnienie diabła w polityce i w życiu społecznym. Pomyje publicznej telewizji, omamy Macierewicza, obłąd smoleński, atak na sądy, sojusze z faszystami, obłąd i cynizm Kościoła, monstrualne kłamstwa, gra na najniższych instynktach. Miliony Polaków zostały zarażone złem. Bardzo trudno będzie z tego wyjść, ten kraj czeka praca na pokolenia.

Dwa miesiące po ukończeniu studiów w 2009 r. na Uniwersytecie Zielonogórskim (kierunek elektrotechnika) we dwóch postanowili założyć firmę. Nie wiedzieli, jak rozwinie się ich działalność, bo przed 10 laty nie było w Polsce mody na samochody elektryczne. W Europie mówiło się o tego rodzaju pojazdach częściej niż u nas, ale też nie był to taki trend jak dzisiaj.

Bartosz Kubik (pochodzi z Sieradza) i Maciej Wojeński (z Pity) przez przypadek znaleźli się na Uniwersytecie Zielonogórskim. Maciej chciał studiować matematykę na uniwersytecie w Poznaniu, nie dostał się jednak, co dziś uważa za wielkie szczęście, bo gdyby studiował matematykę, nie założyłby firmy.

Na uczelni trafili do studenckiego koła naukowego PESUZ, którym opiekował się prof. Grzegorz Benysek. Zachęcał studentów do wykorzystania wiedzy teoretycznej w praktyce. Pod jego kierunkiem grupa z PESUZ, w tym Kubik i Wojeński, pracowała nad przebudową spalinowego volkswagena jetty na samochód elektryczny.

– Auto zostało zbudowane i zarejestrowane, w latach 2007-2008 było jednym z niewielu samochodów elektrycznych w Polsce. A na pracę dyplomową robiliśmy stację ładowania do tego samochodu, także w grupie kolegów. Naszym promotorem był prof. Benysek – wspomina dziś Maciej Wojeński.

Gdy już mieli dyplomy w kieszeni, wymyślili firmę, która zajmie się technologią ładowania pojazdów elektrycznych, to znaczy produkcją ładowarek. Byli wówczas pionierami w tej dziedzinie. Dochodziły do nich głosy z Europy o początkach produkcji samochodów elektrycznych, pojawiały się nawet pytania, co należy najpierw produkować – samochody czy ładowarki. Otwierał się rynek dla samochodów elektrycznych, czyli także dla ich ładowarek.

Wynajęli pomieszczenie w akademickim inkubatorze przedsiębiorczości na uniwersytecie. Znalazło się tam miejsce i na biuro projektowe, i na produkcję ładowarek, czyli całą firmę, którą nazwali Ekoener-

AUTOBUSY POD ZIELONYM NAPIĘCIEM

Producenci ładowarek do pojazdów elektrycznych podbili rynek polski, podbijają europejski



Ładowarki pantografowe są przeznaczone do szybkiego ładowania dużą mocą na pętlach autobusowych.

getyka. W jej organizacji i prowadzeniu pomagał im Artur Hołodok, nieco starszy od nich elektronik, który już wówczas prowadził własną działalność gospodarczą. Artur Hołodok jest z nimi do dziś. Wsparcia finansowego na początku udzielili im rodzice.

ROMANS ZE SKANDYNAWIĄ

Maciej Wojeński, jeszcze jako student, wybrał się z namiotem i plecakiem do Norwegii. Nie miał tam ani znajomych, ani sponsorów, wędrował przez norweskie wsie, mieszkańcom proponował swoją pracę, czyli malowanie stodoł. Na brak zajęcia nie narzekał, zarobek też był, przyglądał się ludziom – byli mili, życzliwi, uśmiechnięci. Spodobały mu się schludne, czyste obejścia i... czyste powietrze. Tak poznawał Skandynawię.

Gdy już obaj z Bartoszem Kubikiem mieli firmę i prototyp swojej ładowarki (Wojeński podkreśla: – Nie kopiowaliśmy żadnego wzoru, nie posłużyliśmy się żadnym modelem, po prostu ją wymyśliliśmy, jest zupełnie inna niż ta, którą zrobiliśmy na pracę dyplomową), pojechali na targi przemysłowe do Hanoweru.

– Tam pokazaliśmy nasz produkt i poznaliśmy przedstawicieli fińskiego koncernu energetycznego Fortum. Zainteresowali się naszą produkcją. Mieli taki plan – u nas kupić ładowarki samochodowe, a my będziemy je w Finlandii instalować. Zamówili kilkadziesiąt stacji ładowania – opowiada Wojeński.

Z targów wracali szczęśliwi, bo ktoś docenił ich pomysł i produkt, ktoś chciał za to zapłacić, dostali konkretne zamówienie, ofertę uznali za sukces. Na dalszy rozwój firmy nie mieli jednak środków, szukali partne-

ra strategicznego. Znalazł się chętny do zakupu pakietu kontrolnego, były to fundusze inwestycyjne. Od razu odrzucili propozycję, bo to tak, jakby zdecydowali się sprzedać swoje marzenia, plany, duszę, po prostu wszystko. Na kształt i rozwój firmy nie mieliby większego wpływu. Szukali nadal, dopiero pod koniec 2017 r. znaleźli partnera w firmie farmaceutycznej Polfarmex, której właściciele są entuzjastami samochodów elektrycznych. Polfarmex kupił 24,98% udziałów w Ekoenergetyce.

Ale mamy lata 2010 i 2011, twórcy Ekoenergetyki produkują i instalują ładowarki samochodowe w całej Finlandii. Konkurencji wielkiej nie mają. Rok 2011 okazał się bardzo szczęśliwy. Na konferencji w Warszawie poznali przedstawicieli poznańskiego Solarisa, którzy prezentowali prototyp nowego autobusu elektrycznego. Solaris wyspecjalizował się w tej dziedzinie, rocznie produkuje 1,5 tys. autobusów, startuje w przetargach na rynku europejskim.

– Przykleiliśmy się do Solarisa, uzgodniliśmy, że do ich autobusów będziemy produkować ładowarki dużej mocy. Oni stawali do przetargów w całej Europie jako producenci autobusów, a my jako producenci ładowarek – opowiada Maciej Wojeński.

Związek Solarisa z Ekoenergetyką okazał się korzystny, ładowarki dużej mocy z Zielonej Góry pojawiły się w miastach wielu państw europejskich, m.in. w Oslo, Helsinkach, Malmö, Barcelonie, Berlinie, Warszawie i jedna w Moskwie.

W 2013 r. dla Ekoenergetyki otwiera się nowy rozdział. Firma przenosi się do Inkubatora Przedsiębiorczości Miasta Zielona Góra. Mieści się tu kilka firm, Ekoenergetyka zajmuje pomieszczenia o powierzchni 350 m kw. Już wówczas wiadomo, że zwiększy się liczba pracowników. Dziś to 120 osób.

SZANSE PRZETARGOWE

Ekoenergetyka nie produkuje ładowarek taśmowo. Każdy wygrany przetarg uwzględnia potrzeby i warunki klienta. Każda ładowarka to produkt

indywidualny, pojedynczy, nie ma go w zapasach magazynowych.

W styczniu 2017 r. media doniosły, że na ul. Spartańskiej na Mokotowie w Warszawie zainstalowana została pierwsza pantografowa stacja ładowania autobusów. Gabaryty ładowarki małe: u podstawy zajmuje powierzchnię 1,3 x 0,8 m, jej moc to 200 kW. Producent – Ekoenergetyka z Zielonej Góry.

Ładowarki z Zielonej Góry pojawiły się m.in. w Oslo, Helsinkach, Malmö, Barcelonie, Berlinie, Warszawie i Moskwie.

Krzysztof Burda, menedżer i nieformalny rzecznik prasowy firmy, pokazuje mi na ekranie telewizyjnym zdjęcia archiwalne. Nagle radośnie woła: – Warszawa jest nasza! A na ekranie widzimy rząd autobusów w zajezdni przy ul. Woronicza, które podłączone są do ładowarek z Zielonej Góry. Warszawa kupiła 27 ładowarek.

Twórcy firmy wiedzą, że podstawą ich egzystencji są wygrane przetargi. Żeby być dobrze notowanym na rynku i mieć szanse w przetargach, trzeba uczestniczyć w konferencjach

branżowych, pokazywać się w całej Europie. Umówić się na rozmowę z Maciejem Wojeńskim czy Bartoszem Kubikiem jest bardzo trudno, bo ciągle są w rozjazdach, nie tylko krajowych. – Maciej Wojeński jest dzisiaj w Madrycie – informował mnie telefonicznie Krzysztof Burda. Wcześniej był w Amsterdamie, potem zahaczył o Kopenhagę, w końcu dotarł do Madrytu. Przed wizytą

w Madrycie przebywał w Paryżu, bo przewoźnik francuski jest teraz dla firmy wielką szansą. Ale ta szansa nie pojawiła się nagle.

Grunt do rozmowy z francuskim przewoźnikiem przygotowywała Natalia Kozdra, była pracownica firmy, która mieszka pod Paryżem, jej mąż jest Francuzem. Wojeński poznał Natalię na targach branżowych, jej wielkim atutem jest biegła znajomość języka francuskiego i tamtejszego rynku. – Poszliśmy oboje na spotkanie z przedstawicielami RATP. Francuzi zdziwili się, gdy usłyszeli, że w Polsce produkuje się ładowarki. Zrobiliśmy prezentację – mówi współwłaściciel Ekoenergetyki.

RATP to państwowe przedsiębiorstwo transportu publicznego. Podlega mu transport autobusowy, tramwajowy, metro. Obsługuje Paryż i region podparyski, gdzie mieszka 18% ludności Francji.

Po trzech latach od pierwszej rozmowy i negocjacjach, w listopadzie ub.r. w Paryżu odbył się przetarg, w którym wzięła udział Ekoenergetyka. RATP zamierza do 2025 r. wymienić wszystkie autobusy z silnikiem Diesla, a ma ich 4,5 tys., na elektryczne.

Do przetargów zgłaszają się nie tylko małe firmy, takie jak Ekoenergetyka, lecz również rynkowe rekiny, m.in. Siemens i ABB, obydwa obecne w Polsce. Paryski przetarg Polacy wygrali jako jeden z trzech dostawców ładowarek. Pozostali zwycięzcy to lokalna firma francuska oraz koncern ABB. ▶

Jesienią ub.r. właściciele Ekoenergetyki wmurowali akt erekcyjny pod budowę Centrum Badawczo-Rozwojowego.



► Zderzyć się w przetargu z ABB to wielka sprawa. Grupa ABB jest światowym liderem w energetyce i automatyce, wytwarza m.in. urządzenia do reaktorów elektrowni jądrowych, produkuje też silniki elektryczne i ładowarki, jest notowana na giełdach w Zurychu, Nowym Jorku i Sztokholmie. W latach 90. zaistniała na rynku polskim, zatrudnia u nas ponad 5 tys. osób i także oferuje ładowarki.

Twórcy Ekoenergetyki nie boją się jednak rekinów. Wprawdzie konkurenci mają górę pieniędzy, są znani w świecie, ale brakuje im tego, za co w przetargach zbiera się punkty. – My jesteśmy elastyczni, dostosowujemy się do potrzeb klienta, nie mamy stałych, niezmiennych modeli, jak to jest w koncernach, produkujemy takie ładowarki, jakich życzy sobie kontrahent. Nawet kolor obudowy mają taki, jak chce nabywca – podkreśla Maciej Wojeński.

Wygrana w tym przetargu to wielki sukces. Polacy podpisali umowę, w ramach której w ciągu dwóch lat mają dostarczyć Paryżowi 90 ładowarek o mocy 100 kW. Wartość kontraktu – 50 mln euro.

Twórcy Ekoenergetyki nie boją się rynkowych rekinów. Są elastyczni, dostosowują się do potrzeb klienta.

Zanim doszło do przetargu, Francuzi dostali na miesiąc autobusy i ładowarki do przetestowania. Zielonogórskie wyroby nie wzbudziły zastrzeżeń.

DWA KROKI DO PRZODU

Przed trzema laty na rynku europejskim wprowadzone zostały ujednolicone normy obowiązujące producentów autobusów elektrycznych i producentów ładowarek. Ekoenergetyka nie musi już się wiązać z producentem, może samodzielnie oferować ładowarki, bo nadają się one do autobusów różnych marek. Dzięki temu w sierpniu ub.r. wzięła udział w przetargu, który ogłosił hamburski przewoźnik, największy na północy Niemiec (Verkehrsbetriebe Hamburg-Holstein GmbH), i go wygrała. Umowa ramowa podpisana została na osiem lat.

Ciekawym doświadczeniem dla pracowników był wygrany jesienią ub.r. przetarg w szwedzkiej Lulei,



Pierwszy autobus elektryczny pojawił się na ulicach Zielonej Góry ubiegłej jesieni.

45-tysięcznym mieście pod kołem podbiegunowym. Ekoenergetyka zainstalowała tam dwie zajezdniowe stacje ładowania (20 kW i 40 kW) oraz dwie pantografowe o mocy 400 kW każda. Ładowarki pantografowe przeznaczone są do szybkiego ładowania dużą mocą na pętlach

autobusowych. Z powodu ciężkich warunków atmosferycznych Polacy musieli wymyślić taką konstrukcję, która byłaby odporna na niskie temperatury i duże opady śniegu.

Maciej Wojeński ma osobisty stosunek do produktu powstającego w Ekoenergetyce. – Ładowarka ma mózg i serce – mówi. – Sercem ładowarki jest układ energoelektryczny, który przekształca energię z drutów na prąd stały, działa podobnie jak prostownik samochodowy. Natomiast mózgiem jest układ kontrolno-sterujący, który czuwa, by ładowarka generowała moc o dopuszczalnych parametrach.

Autobusami elektrycznymi zainteresowanych jest coraz więcej polskich miast. Firma najchętniej nawiązuje kontakty z zakładami komunikacji miejskiej. One ogłaszają przetargi na autobusy, a Ekoenergetyka startuje wtedy z ofertą ładowarek.

Do operatorów miejskich nie tylko w kraju, lecz i w Europie, trzeba dotrzeć. Potrzebny jest do tego sztab

ludzi. Takich, którzy dbają o kontakt z klientami, m.in. dział sprzedaży i serwis, znają języki obce. Ekoenergetyka to firma głównie inżynierska. – 60% naszej załogi to inżynierowie. Pracują w biurach konstruktorów, projektantów układów elektrycznych, w biurze informatycznym, mamy dział rozwoju, dział sprzedaży. Najpierw projektujemy, robimy dokumentację, potem produkujemy. I cały czas coś wymyślamy. A co wymyślimy, to realizujemy – tłumaczy Wojeński.

Zarząd Ekoenergetyki nie zmienił się od początku. Jest młody, prezesi przekroczyli trzydziestkę. Prezesem jest Bartosz Kubik (ciągle jeździ po kraju), wiceprezesem Maciej Wojeński, członkami Artur Hołodok i od 2010 r. Urszula Przeglasińska-Kubik, żona Bartosza.

Wiosną br. planowane jest otwarcie Centrum Badawczo-Rozwojowego, wymyślonego przez twórców Ekoenergetyki. Realizację pomysłu wspiera finansowo Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju. Centrum zlokalizowane zostało na terenie Lubuskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego w Nowym Kisielinie. – W centrum będziemy ulepszać dostępne obecnie produkty, a także rozwijać zupełnie nowe technologie i systemy dla transportu publicznego – wyjaśnia Maciej Wojeński, dodając, że Ekoenergetyka nie jest przedsiębiorstwem skończonym. Firma się rozwija, rodzą się nowe pomysły, są też plany, by w przy-

szłości było tu miejsce pracy dla 250 osób.

EKOLOGICZNA ZIELONA GÓRA

Barbara Langner, absolwentka Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze, przyszła do pracy w MZK na chwilę w lutym 1980 r. Dyrektorem MZK została w roku 1992. Dziś o miejskim transporcie publicznym wie prawie wszystko. Pomysł na utworzenie ekologicznej sieci transportu miejskiego rodziły się od dawna. W 2011 r. Barbara Langner pojechała na targi do Kielc i tam zobaczyła autobus elektryczny. Bardzo jej się spodobał, głównie z powodu zalet ekologicznych.

Porozmawiała na ten temat z prezydentem miasta Januszem Kubickim. Jego także zainteresował pomysł sprowadzenia do Zielonej Góry taboru elektrycznego. Napisał o tym do ówczesnego ministra transportu Sławomira Nowaka. Minister pomysł zaakceptował, a chodziło m.in. o fundusze unijne na ten cel. Zaczęły się przygotowania do sporządzenia

projektu. Prace nad nim trwały od 2015 r. do 2017 r.

– To niezwykle trudna i absorbująca praca. Wprowadziliśmy tzw. dialog techniczny, rozmawialiśmy z wieloma producentami autobusów elektrycznych i ich wyposażenia, potrzebne nam też były ekspertyzy fachowców – mówi Barbara Langner. – Umowę na realizację całego projektu podpisaliśmy 30 października 2017 r. Jest w nim wiele zadań, najważniejsze to zakup autobusów, budowa tzw. centrum przesiadkowego (powstaje przy dworcu, otwarcie nastąpi w kwietniu br.), zakup ładowarek oraz budowa infrastruktury do ładowania.

Zadań jednak pojawiło się znacznie więcej. Cała zajezdnia musi być przebudowana, bo to miejsce nie tylko na autobusy elektryczne, lecz również na stacje ładowania.

Gdy projekt był już gotowy i zaakceptowany, MZK ogłosił kolejno dwa przetargi, pierwszy został unieważniony, drugi doszedł do skutku. W przetargu na autobusy tłoku nie było, uczestniczyły dwie firmy –

poznański Solaris i lubelski Ursus. Wygrał Ursus, bo był tańszy, ale nie gorszy. W przetargu wygrała też Ekoenergetyka.

Maciej Wojeński mówi, że zazwyczaj miasta kupują od kilku do kilkunastu ładowarek. Zielona Góra poszła na całość, kupiła 47 autobusów elektrycznych za kwotę 96,487 mln zł brutto, do tego infrastrukturę, czyli ładowarki. Na 11 pętlach autobusowych stanie 29 stacji szybkiego ładowania, a w zajezdni 25 o mocy od 40 kW do 80 kW i jeden pantograf.

Pierwszy autobus elektryczny pojawił się na ulicach Zielonej Góry jesienią ub.r. Ma barwy miasta, czyli zielono-żółto-białe. Jeździ cicho, nie wydziela spalin. Do końca zeszłego roku Ursus dostarczył 37 autobusów elektrycznych, pozostałe pojawią się do końca stycznia.

15-letnia Emilka wysiadła z autobusu elektrycznego zadowolona. Jest cichy, nie trzęsie jak te poprzednie, no i najważniejsze – nie jeździ spalinami.

Regina Dachówna

EKRANIZACJA POWIEŚCI AUTORA BESTSELLERÓW
BYŁ SOBIE CHŁOPIEC I WIERNOŚĆ W STEREO

TEŻ GO KOCHAM

WSPANIAŁY.
POWRÓT DO DOBRZYCH
KOMEDI ROMANTYCZNYCH
NEW YORK MAGAZINE

"MĄDRY,
ZABAWNY,
CZARUJĄCY"
LOS ANGELES TIMES

ZACHWYCAJĄCA
OBSADA
HOLLYWOOD REPORTER

ETHAN HAWKE ROSE BYRNE CHRIS O'DOWD

KINO ŚWIAT

ETHAN HAWKE ROSE BYRNE CHRIS O'DOWD

Twórcy hitów „Druhny”, „Wpadka” i „Orange Is the New Black”
przedstawiają ekranizację powieści Nicka Hornby'ego,
autora światowych bestsellerów
„Był sobie chłopiec” i „Wierność w stereo”.

TEŻ GO KOCHAM

JUŻ NA DVD

WP FILMWEB P DEMOTYWATORY.PL KING empik

Dariusz Łukasiewicz

W XVII w. więcej niż 65 lat miało zaledwie 5-6% populacji. W kolejnych stuleciach wraz z postępem medycyny, poprawiającą się jakością żywności i przemianami gospodarczymi spadała liczba urodzeń, przybywało zaś dziadków i babć, którzy żyli coraz dłużej. Obecnie więc seniorzy stanowią niemal jedną piątą społeczeństwa. Według Eurostatu w roku 2017 więcej niż 65 lat miało 19% ludności Unii Europejskiej, a we Włoszech, Niemczech i Grecji – nawet ponad 20%. W Polsce seniorzy to 17% społeczeństwa. Mówi się już nie tylko o trzecim wieku po sześćdziesiątce, ale i o czwartym po osiemdziesiątce.

Dziadkowie i babcie odgrywają w społeczeństwie coraz bardziej znaczącą rolę. Maleje przecież liczba dzieci. Skończyły się też nieliczne roczniki emerytów przetrzebione przez wojnę. Dawniej odsuwani na boczny tor jako ramole i zawałdrogi, dziś seniorzy przestają się odróżniać od młodych archaicznym strojem i stylem bycia. Żyją coraz dłużej i dysponują pokazną gotówką. Widoczne staje się zatem coraz większe zainteresowanie seniorami przedsiębiorców, sieci sklepów,

Pamięć starców stanowiła skarbnicę bezcennej wiedzy.

biur turystycznych, mediów i reklamodawców oraz służby zdrowia – rośnie liczba geriatrów. Ale dziadkowie i babcie napędzają gospodarkę w zamożnych społeczeństwach Zachodu, na biednym Wschodzie są problemem ze względu na konieczność wypłacania im emerytur, rent i z powodu dolegliwości zdrowotnych, powodujących wzrost kosztów służby zdrowia. O poparcie seniorów zabiegają partie polityczne, które odwołują się do ich tęsknoty za przeszłością i młodością. Na wzór Dnia Matki pojawił się także Dzień Babci. Pomysł odnotowano w tygodniku „Kobieta i Życie” w 1964 r. Później powstała tradycja Dnia Dziadka. W różnych okresach to święto rozwijało się też w innych krajach, ale zawsze w związku ze zwiększaniem się emocjonalnego znaczenia dziadków

w rodzinie. We Francji święto obchodzone było regularnie od 1987 r.

MIT RODZINY WIELOPOKOLENIOWEJ?

Żyjemy w świecie lukrowanego konserwatywnego mitu tradycyjnej rodziny wielopokoleniowej, mieszkających w jednym domu: dziadków, rodziców, dzieci, jakiejś zagubionej w życiu ciotki, no i służby. Miało to być podstawą większej trwałości i siły rodziny, mocniejszych więzi, uczuć, większej solidarności i wzajemnej pomocy. Dodatkowe spoiwo miała stanowić religia podtrzymująca rodzinę. Te bardzo powszechne wyobrażenia umacniały się w epoce industrializacji i urbanizacji oraz wielkich migracji w XIX i XX w., kiedy robotnicy dusili się w suterrenach

BOGOWIE, MĘDRCY I ZRZĘDY

Przez wieki seniorów uważano za kogoś niezwykle. Dziś stanowią oni 20% społeczeństwa. Co to dla nas oznacza?



Dziś seniorzy znają swoją wartość i potrafią cieszyć się życiem. III Ogólnopolska Parada Seniorów pod hasłem „Dojrzali! Wspaniali!”, Warszawa, czerwiec 2016 r.

i kłitkach kamienic czynszowych. Owszem, rodzina wielopokoleniowa z dziadkami, rodzicami i dziećmi istniała w Europie Południowej i Środkowej, ale uznanie jej za rdzeń naszych europejskich wzorów kulturowych to legenda. W rzeczywistości ludzie starzy często mieszkali nie z dziećmi, ale osobno, i młode pokolenie słabo odbierało ich jako babcie i dziadków.

Warto pamiętać, że w dawnych czasach stosunek do dzieci, ze względu na ich ogromną śmiertel-

ność, w ogóle był znacznie chłodniejszy niż obecnie. Podobnie było z wnukami. W pewnym sensie poświęcano im więcej uwagi, dopiero kiedy podrosły. Dziadkowie troszczyli się bardziej o stan rodzących córek, bo śmiertelność okoloporodowa kobiet była duża. Ludzi starych postrzegano nie tyle jako babcie i dziadków, ile raczej jako gospodarzy i pracowników oraz jako starych małżonków. Niemiecki historyk Erhard Chvojka zwraca uwagę na ówczesną demografię, utrudniającą



Dziadek z wnuczką, Bronowice Małe koło Krakowa, listopad 1932 r.

umocnienie pozycji dziadków. Czas życia naszych przodków był krótki i tylko część dziadków mogła się cieszyć wnukami. Wiek, w jakim zawierano małżeństwa, wbrew stereotypom był w Europie późny. W XVI i XVII stuleciu dla kobiet wynosił 25-27 lat, dla mężczyzn 26-29 lat. Odpowiednio dziadkami zostawali oni w wieku 50-55 i 55-60 lat. Jednak 55-60 lat dożywało nie więcej niż 10% społeczeństwa. Z drugiej strony w epoce braku antykoncepcji między pierwszym a ostatnim dzieckiem mogła być różnica nawet 20 lat i te najmłodsze miały bardzo małą szansę poznania swoich dziadków. W jednej z francuskich parafii w latach 1701-1800 przeciętny wiek zawarcia małżeństwa wynosił 27,5 roku. 62% zawierających małżeństwo miało nieżyjących już ojców, podobnie 38% zostających matkami, a więc i ich potomstwo nie miało możliwości poznania dziadków. W miastach seniorzy też często nie mieszkali z dziećmi. Dopiero osoby powyżej 80. roku życia – częściej zniedołężniałe – mieszkaly razem z młodszym pokoleniem. Ale było ich bardzo niewiele. Dziadkowie często natomiast wychowywali osierocone albo na pół osierocone wnuki. W Anglii w latach 1650-1749 3% wnuków było wychowywanych przez dziadków, zwykle z powodu częściowego lub całkowitego osiero-

cenia. Działo się tak, kiedy np. matki umierały w połogu czy przy porodzie, a osamotniony ojciec nie był w stanie sprostać sytuacji.

DOŻYWCIE I WYCUG

Kryzysy związane ze starością w społeczeństwie przednowoczesnym miały postać zupełnie odmienną od dzisiejszej. Nie było zabezpieczeń emerytalnych po okresie aktywności zawodowej, a ta nierzadko trwała aż do śmierci, chyba że pracę uniemożliwiały dolegliwości zdro-

w nim jeszcze pomagał, ale już nie na prawie gospodarza. Kiedy syn przejmował gospodarstwo od ojca, ten tracił uprzywilejowane miejsce w domu. Podczas posiłku centralne miejsce zajmował teraz syn i to on kroił chleb, dzielił mięso. Niektórzy seniorzy zastrzegali sobie wymowę, czyli prawo do użytkowania kawałka ziemi, do izby i sprzętów w niej, od tej pory byli na wycugu. Kiedy rodzice byli chorzy, należało nimi się zająć, kiedy nie mogli już dojść do kościoła – dowieźć. W dożywociu gwarantowano własną izbę, a gdy dom był mały, własne miejsce, np. przy piecu. W umowach zastrzegano sobie takie detale jak prawo korzystania z toalety na podwórku, z możliwości wejścia na strych i zejścia do piwnicy. Nie świadczy to o wielkim zaufaniu. Tomasz Skorupka z powiatu gostyńskiego wspomina, że ok. 1870 r. „dziadziusiowie byli teraz na wycugu u rodziców. Mieszkali w drugiej mniejszej izbie, na prawo od sieni. Przy jednym ogniu jeść gotowali. Wycugu nie brali wszystkiego, jeno tyła, co zjedli”. Bogatsi dziadkowie mieli własne domki, tak było np. na Śląsku. Model zachodnioeuropejski polegał na tym, że dziadkowie mieszkali osobno.

Częste były jednak konflikty, wymówki, gniew, obelgi i brutalne traktowanie. Motyw złego traktowania starych rodziców przez dzieci obficie pojawiał się w XIX-wiecznej literaturze. U Emila Zoli w „Ziemii” przekazanie majątku dziadków dzieciom

Pomysł ustanowienia Dnia Babci odnotowano w tygodniku „Kobieta i Życie” w 1964 r. Później pojawił się Dzień Dziadka.

wotne. Na ziemiach polskich, np. w XIX w., szczególnie na wsi, popularne było zjawisko dożywocia. Polegało ono na tym, że po przejściu od starego ojca gospodarstwa syn zapewniał mu do śmierci dach nad głową i utrzymanie. Jeżeli syn przejmował gospodarkę, córka dostawała od rodziców przy wyjściu z domu wiano. Pościel, naczynia kuchenne, odzież, żywy inwentarz.

Kiedy gospodarz stawał się coraz mniej sprawny i zdawało się, że młode pokolenie lepiej poradzi sobie z obowiązkami, rosła presja całej rodziny na przekazanie gospodarstwa młodszemu. Dziadek później często

ukazane jest jako awantura o rentę, którą należy wypłacać rodzicom. Stary wieśniak z żoną otrzymali pokój, ale rentę płacono nieregularnie i traktowano ich bardzo podle. U Maupassanta po śmierci syna jego ojciec powiesił się, kiedy do domu zamieszkanego przez synową wprowadził się jej drugi mąż. U Turgeniewa stary ojciec wygnany przez córki burzy dom. Dochodziło nawet do morderstw w afekcie – syn mordował starego ojca, kiedy nie mógł żywić własnych dzieci. Gdzie indziej czytamy: „Oj, córko, córko, dałem ci, żywże mnie teraz do śmierci! Córka do sieni skoczyła i ojcu powróz ▶

► rzuciła: masz ojciec powróż, powieś się, I do mnie żyć nie chcesz!”.

Znane było zjawisko odejścia starych mężczyzn na komorników do innych gospodarzy (XVI-XVIII w.). Także wiele starych kobiet dożywało dni jako komornice, ale były to wdowy, które rzadziej niż mężczyźni wchodziły w powtórne związki małżeńskie. Oprócz tego starsi znajdowali schronienie w bardzo licznych, prowadzonych zwykle przez Kościół szpitalach oraz w klasztorach. Zajmowały się nimi również władze komunalne. Opieka społeczna odnosiła się w znacznym stopniu do ludzi, którzy ze względu na wiek nie byli już zdolni do pracy. Szczególnie wielu ludzi starych było wśród włóczęg i żebraków.

BOLAĆZKI I MĘKI STAROŚCI

Dziadkowie i babcie pozostawali więc niedocenieni, ale starość, rozumiana jako okres w życiu, była widoczna. Już w XII w. występowały powszechnie tablice okresów ludzkiego życia, podzielone na cztery, siedem czy dziewięć i dziesięć stacji, gdzie starość poświęcono stosowne miejsce. Była tam mowa o ostatnim, „zgrzybiałym” okresie egzystencji, ale tablice te nigdy nie odnosiły się do ról babć i dziadków. W przeszłości starość ukazywana była zwykle przez pryzmat jej wad. W prymitywnych technicznie czasach seniorom brakowało komfortu. Iżby były zbyt wielkie i słabo ogrzewane, hulały przeciągi,

obrazy starości, obnażające upodlenie, samotność i odrzucenie, fizyczną zgrzybiałość i duchową nędzę, wreszcie złośliwość starości i szaleństwo. U Balzaka pełno jest starych wdowców, takich jak Goriot, i starych służących przywiązanych do pana. Nie była to sielanka dziadków bawiących się z wnukami. Starość ukazywana jest tu jako anachroniczna i śmieszna. Kuzyn Pons u Balzaka w 1844 r. ubiera się według mody z roku 1806, przez co ma „wartość archeologiczną”. Przystano go zapraszać, bo jest stary i razi w towarzystwie swoim zachowaniem. Pons zamieszkał z innym starcem i pędził razem życie starych kawalerów, zajętych partyjkami bostona, tryktraka, wista i pikietę, dobrym trawieniem obiadków, zażywaniem tabaki, spokojnymi przechadzkami. W „Kuzynce Bietce” stary milioner szuka pociechy w ramionach kurtyzan, które wyciągają mu z kieszeni tysiące franków. Ojciec Goriot wszystko oddał córkom, które opuściły go i pozwoliły, aby ginął w nędzy: „Zdawał się 70-letnim starcem, ogłupiałym, chwiejącym się na nogach, wypętlonym (...). W jednych budził grozę, w drugich litość”.

STARZY BOGOWIE

Wprawdzie wspomniany literacki trop starca o zrujnowanym zdrowiu był bardzo popularny, ale nie budził też zdziwienia imponujący biblijny wizerunek siwowłosego Boga Ojca. Wpływy starców w dawnym świecie

Ludzie starzy stali i stoją na czele rodów i przedsiębiorstw. W powieści Tomasza Manna z 1901 r. „Buddenbrookowie” widzimy kwitnącą starość w północnych Niemczech. 70-letni Johann ukazany jest w stroju z czasów swojej młodości, obydwójce z żoną Antoniną są dostojni. Zmienia się to, kiedy Johann zostaje wdowcem i przekazuje firmę synowi – wówczas następuje zmierzch jego świetności.

Bardziej nowoczesne pojmowanie starości przyszło według francuskiego historyka Jeana-Pierre’a Bois w Oświeceniu, kiedy odkryto znaczenie i emocjonalność dziadków i babć. Więcej też myślało się wówczas o starości i zapewnieniu bezpieczeństwa w późnym wieku. Wraz z sekularyzacją powoli znikała dotychczasowa opieka kościelna nad seniorami, a zaczęły się pojawiać projekty organizowanych przez państwo uposażeń emerytalnych. Pierwsze emerytury wprowadzono dla żołnierzy. Zbudowany został paryski Pałac Inwalidów, pojawiły się również środki na wypłacanie emerytur starym żołnierzom poza domami inwalidów. W 1772 r. wprowadzono emerytury dla francuskich pracowników poczty. W okresie rewolucji powstawały kolejne projekty, takie jak emerytury dla duchowieństwa. Książę de la Rochefoucauld projektował nowoczesny system składkowy, który przy odkładaniu przez całe życie zapewniał emeryturę. W Anglii w 1882 r. otwarto przytułek dla weteranów w Chelsea, dawano środki na emerytury; w Austrii Maria Teresa w 1750 r. utworzyła komisję przydzielającą renty kilku tysiącom inwalidów. W Prusach emerytury dla wojskowych pojawiły się w 1797 r., a dom dla inwalidów w Berlinie wzniesiono już w 1748 r.

Emerytury w tych czasach były jednak bardzo skromne. System emerytalny długo uważano za pomysł niebezpieczny. Obawiano się, że ludzie z zapewnioną emeryturą nie będą zakładać rodzin i płodzić dzieci, tylko pograżą się w rozpuście i chwilowych przyjemnościach. Rozwiązania emerytalnych dopracowano się dopiero na przełomie XIX i XX w., najpierw w Niemczech w 1889 r., potem w Anglii w 1908 i we Francji w 1910 r.

Dariusz Łukasiewicz jest profesorem w Instytucie Historii PAN

Mówi się już nie tylko o trzecim wieku po sześćdziesiątce, ale i o czwartym po osiemdziesiątce.

a podróże powodowały niewygodę. Nie radzono sobie z chorobami. Zapis o starości z 1757 r. mówi, że starość jest portem, do którego zawijamy: „Liny pozrywane, żagle podarte falami, załoga wyczerpana, statek cały przecieka (...). Starość to czas jałowości i niedostatku”. Była postrzegana jako drugie dzieciństwo: zepsuty wzrok i smak, brak zębów utrudniający spożywanie posiłków. Oznaczała kalectwo i samotność. Starców niepotrzebnych i zawadzających nierzadko się pozbywano. W czasach niedoboru żywności stanowili oni zbyt duże obciążenie dla grupy.

W XIX w. w tekstach Balzaka i Zoli pojawiły się inne, lecz także mroczne

były ogromne. Cieszyli się szacunkiem wśród niepiśmiennych plemion Afryki, bo zmiany technologiczne nie były zbyt wielkie ani szybkie i seniorzy nie zostawali w tyle. Przy braku kultury pisma zdawano się na pamięć starców, która stanowiła skarbnicę bezcennej wiedzy. Było ich niewielu. Nasi paleolityczni przodkowie żyli krótko, odnalezione szkielety wskazują, że nie dożywali trzydziestki. W neolicie sytuacja się poprawiła, ale nadal ludzi starych było mało. Dlatego w starożytności często przypisywano im właściwości nadprzyrodzone, a niektórym oddawano boską cześć. Informacje o wieku starców byłyby legendarne i fantastyczne.

BEZ BOHATERA NIE MA TEATRU

Niektórzy twórcy uważają, że widza trzeba wziąć pod but, zmęczyć, dać mu w kość, wtedy poczuje, że był w teatrze

Tomasz Miłkowski

Minął rok, co jak zwykle prowokuje do przeglądu, zwłaszcza w PRZEGŁĄDZIE. Jak zawsze pojawiają się jakieś sygnały, nowe mody, może trendy. Co przeminie, a co wzrośnie, czas pokaże. Tymczasem zebrałem po kilka plusów i minusów minionego roku teatralnego.

PLUSY

MARCOWE GRANIE

Polski teatr z odwagą mierzył się z dramatem Marca 1968 r. W warszawskich teatrach pojawiło się kilka ważnych premier, którym towarzyszyły równie znamienne spotkania i akcje. Prologiem do marcowego grania był wieczór (5 marca) zorganizowany w 50. rocznicę zdjęcia z afisza inscenizacji „Dziadów” w reżyserii Kazimierza Dejmka. Teatr Narodowy przygotował z tej okazji specjalne wydanie odnalezionej ścieżki dźwiękowej tego spektaklu. Ukazała się też książka Janusza Majcherka i Tomasza Mościckiego „Kryptonim »Dziady«”, poświęcona pamiętniej inscenizacji. Mocnym akcentem był spektakl plenerowy Teatru Żydowskiego „Spakowani, czyli skrócona historia o tym, kto czego nie zabrał” w reżyserii Agaty Dudy-Gracz, z gościnnym udziałem aktorów niezwiązanych na co dzień z Żydowskim, a także studentów warszawskiej Akademii Teatralnej.

Potem ruszyły premiery: „Zapiski z wygnania” według Sabiny Baral w wykonaniu Krystyny Jandy w Teatrze Polonia (reż. Magda Umer), „Sprawiedliwość” Michała Zadary w Teatrze Powszechnym, „Kilka obcych słów po polsku” Teatru Żydowskiego gościnnie i we współpracy z Teatrem Polskim (reż. Anna Smolar), monodram Joanny Szczepkowskiej „Ida Kamińska” w reżyserii Gołdy Tencer, spektakl TR Warszawa „Dawid jedzie do Izraela”. Wszystkie one miały swoją wagę. Szczególne jednak znaczenie miały monodramy Krystyny Jandy i Joanny Szczepkowskiej. Wstrząsające „Zapiski z wygnania” przekroczyły zwykłą miarę przyjętą dla przedstawienia teatralnego, łącząc zamysł misyjny z najwyższej klasy aktorstwem i dopracowaną w szczegółach oprawą sceniczną. Monodram Szczepkowskiej zaś przywrócił do scenicznego istnienia legendę żydowskiego teatru w Polsce, wielką Idę Kamińską.

FEMINISTKI WALCZA

Świat stworzony przez mężczyzn dla mężczyzn dobiega kresu. To nie żadne prorocstwo, ale wniosek narzucający się po fali premier teatralnych, w których feministyczny



obraz rzeczywistości silnie dochodzi do głosu. Dowodzą tego choćby premiery teatrów warszawskich: „Miłość od ostatniego wejrzenia” Vedrany Rudan w reżyserii Iwony Kempy w Teatrze Dramatycznym, „Bachantki” według Eurypidesa w reżyserii Mai Kleczewskiej w Teatrze Powszechnym i „Kilka dziewczyn” Neila LaBute’a w reżyserii Bożeny Suchockiej w Teatrze Narodowym, a także w jakiejś mierze „Cząstki kobiety” Kornéla Mundruczó w TR Warszawa, rzecz o prawie do wyboru własnej drogi cierpienia, a nawet „Wędrówka na Zachód. Dwa miliardy sekund” (reż. Jakub Kasprzak) na Scenie Przodownik Teatru Dramatycznego. We wszystkich tych spektaklach najsilniej wybrzmiewa głos kobiet, choć nie zawsze czysto. Najmocniej – mimo że to nie jest manifest, a może właśnie dlatego – słychać ten głos w spektaklu według powieści Vedrany Rudan.

W „Miłości od ostatniego wejrzenia” w adaptacji Iwony Kempy mowa o przemocy w rodzinie. O agresji uprawianej przez mężczyzn. Zaczyna się to w latach dzieciństwa, kiedy dziewczynka spotyka się z brutalnością ojca. Biernie przygląda się tej tresurze zastraszona matka (przejmująca rola Małgorzaty Niemirskiej). Potem przychodzi kolej na wyśnionego księcia z bajki, który okazuje się despotą. Wreszcie kobieta się buntuje. Kocha męża, ale i coraz bardziej nienawidzi. Towarzyszy mu w myśliwskich eskapadach. Kiedy podczas polowania zabija sarnę, jest już gotowa zabić prześladowcę.

MISTRZOWIE WRACAJĄ

Zmarły w tym roku nestor polskiej krytyki Henryk Bieniewski, kiedy chciał okazać rezerwę do jakiegoś przedstawienia, zwykł mawiać: „No dobrze, ale tu brak postaci”. Bieniewski uważał, że bez bohatera nie ma teatru. Nie ▶

► tylko on. Nie zanika bowiem tęsknota za mistrzami, mimo ostatecznego, wydawałoby się, zerwania więzów z tzw. teatrem tradycyjnym. To znaczy takim, który lubi portretować postacie i opowiadać jakieś historie, zawsze jednak jako metafory czy parabole. Rzecz ciekawa, ale to właśnie czołowy reprezentant wielkiej zmiany w polskim teatrze, Krzysztof Warlikowski, wystawił w tym roku „Wyjeżdżamy” według komedii Hanocha Levina „Pakujemy manatki”, w której rojno od soczystych postaci. Robert Gliński dwukrotnie pokusił się o telewizyjną realizację tekstów zaliczanych do klasyki XX w., czyli „Biesiady u hrabiny Kotlubaj” Gombrowicza i „Chłopców” Grochowiaka. Oba



spektakle zaludnił postaciami o bogatej osobowości. Maciej Wojtyński w nowych sztukach zadbał o intrygę i rysunek postaci („Deprawator” w Teatrze Polskim o spotkaniu Gombrowicza z Miłoszem, z Herbertem w tle, i „Fantazja polska” w Ateneum o Ignacym Paderewskim i jego udziale w restytucji polskiej państwowości). Czy to oznacza powolny, ale wyraźny zwrot w stronę literatury? Kto wie, nie byłoby najgorzej.

ADOPCJA WYRYPAJEWA

To był rok Iwana Wyrupajewa, rosyjskiego reżysera, który został adoptowany przez polski teatr. Wyrupajew z sukcesem wyreżyserował w tym roku dwie swoje sztuki: „Irańską konferencję” (premiera na Scenie na Woli) i „Osy” (w Och-Teatrze), obie produkowane przez firmę Weda założoną wspólnie z Karoliną Gruszką. Pierwsze przedstawienie modelowane jest na debatę popularnonaukową. Europejscy intelektualiści poszukują porozumienia z ludźmi wywodzącymi się z innych kultur. Czy to w ogóle możliwe? A jeśli możliwe – to jak, pyta Wyrupajew. W „Osach” wraca do swojej – jak powtarza – najlepszej sztuki, aby szukać sposobu na życie bez Boga, z Bogiem albo z zachwianym poczuciem obecności Boga.

Teatr Dramatyczny w Warszawie dał premierę jeszcze innej sztuki Wyrupajewa – „Pijanych” w reżyserii Wojciecha Urbańskiego. Tę samą sztukę w szczecińskim Teatrze Współczesnym przedstawił Norbert Rakowski. Jeśli do tego dodać „Tlen” w gdyńskim Teatrze Muzycznym (reż. Rudolf Ziota) i „Iluzje” w Akademii Teatralnej (reż. Woj-

ciech Urbański), doliczymy się w minionym roku sześciu premier sztuk Wyrupajewa. Należy on w Polsce do najbardziej wziętych autorów dramatycznych i reżyserów – wystawiony przez niego „Wujaszek Wania” Czechowa w stołecznym Teatrze Polskim (został za niego nominowany do Nagrody im. Norwida) cieszy się niestąpnym powodzeniem.

GOMBROWICZ WCIĄŻ ŻYWI

Gombrowicza ciągle się nosi. Po niedawnym „Ślubie” Anny Augustynowicz w Szczecinie/Opolu powstała w Teatrze Narodowym świetna – choć utrzymana w zupełnie innej stylistyce – inscenizacja Eimuntasa Nekrošiusa. Ten błyskotliwy spektakl miał być kolejnym (po „Dziadach”) krokiem w zacieśniającą się współpracę Nekrošiusa z Narodowym – niestety, przedwczesna śmierć wielkiego reżysera przekreśliła te plany. Gombrowicz zaistniał też na innych scenach stołecznych – w Ateneum Artur Tyszkiewicz przygotował drapieżny „Trans-Atlantyk”, obfitujący w liczne osiągnięcia aktorskie, a na scenie kameralnej Polskiego Maciej Wojtyński wystawił „Deprawatora”, którego głównym bohaterem okazał się Gombrowicz (Andrzej Seweryn). Jeśli dorzucimy do tego trzy adaptacje „Ferdynanda” (w Warszawie w Dramatycznym, w Gnieźnie i w Radomiu) oraz Międzynarodowy Festiwal Gombrowiczowski w Radomiu, okaże się, że moda na króla ironistów trwa. Oby tylko nie upuściła mistrza.

RECHNITZ OSKARŻA

Ta zbrodnia miała miejsce na pograniczu austriacko-węgierskim. Na zamku Rechnitz pod koniec wojny hitlerowcy, goście baronowej Margit Batthyány wymordowali niemal 200 jeńców, robotników przymusowych. Ten wstrząsający epizod z czasów pogardy wzięła na warsztat twórczyni Elfriede Jelinek. Jej dramat „Rechnitz (Anioł Zagłady)”, utrzymany w formie monologu bez didaskaliów, z którym musi sobie poradzić reżyser, jest opowieścią o postać, którzy nie tyle mówią o tym strasliwym wydarzeniu, ile zacierają ślady zbrodni.

Na tej podstawie powstało dzieło „Rechnitz. Opera” Wojtki Blecharza w reżyserii Katarzyny Kalwat. Pierwsze pokazy performatywne tego dzieła, przygotowane dla widzów festiwalu Warszawska Jesień, prezentowane na scenie TR Warszawa, wywołały silne wrażenie. Jelinek nie od dzisiaj oskarża austriackie społeczeństwo o wyparcie win, o tuszowanie przeszłości. Ale, jak wiemy, to nie tylko problem Austriaków.

MINUSY

STRACONY SEZON W POLSKIM WE WROCŁAWIU

Pod koniec roku pojawiło się światło w tunelu – mianowany p.o. dyrektor artystyczny Krzysztof Kopka podjął próbę przywrócenia we wrocławskim Polskim stanu normalności. Ale cały rok poszedł na straty. Prawie jak w Starym,

gdzie, jak się zdaje, kryzys przygaś. Za to wybuchł nowy konflikt wokół konkursu na dyrektora Instytutu Teatralnego. Mimo że znaczna część środowiska opowiadała się za pozostawieniem IT pod dyktando Doroty Buchwald, konkurs i tak rozpisano. Powołana przez ministra kultury komisja konkursowa nie zdołała jednak wyłonić kandydata. Powstała sytuacja patowa. Słowem, biurokracyjno-polityczna kręciola.

NEONATURALIZM W NATARCIU

Niezależnie od tego, jak to nazwiemy: naturalizmem, neonaturalizmem czy hipernaturalizmem, jedno nie ulega wątpliwości – pełno na naszych scenach przedstawień, które imitują życie. Niektórzy powiadają o nich, że to świat seriali przeniesiony na scenę, ale nie mają racji – świat seriali z reguły niewiele ma wspólnego z życiem, jest czystą kreacją, tyle że nieudolną albo koślawą. Spektakle neonaturalistyczne próbują tworzyć iluzję rzeczywistości, naśladować prawdziwe dialogi i zachowania, a ostatnio nawet akt narodzin dziecka. Tak było podczas „Cząstek kobiety” Kornéla Mundruczó w TR Warszawa. Wzruszyło to wielu wrażliwych widzów, jeden z recenzentów przyznał się, że płakał. Sukces to jednak wątpliwy, bo ze sceny – mimo głośnego nazwiska reżysera i dobrego zespołu aktorskiego – zalatuje banałem. Neonaturalizm nie jest w stanie niczego odkryć ani sformułować nowych pytań, raczej sprawia, że kręcimy się w kółko, nawet jeśli z piecyka na scenie wydobywa się dym przypalanej kaczki, a w innym przedstawieniu ktoś smaży jajecznicę.

PAPLANIE NA SCENIE

Neonaturalizmowi towarzyszy zazwyczaj paplanie na scenie. To dialogi pisane na kształt i podobieństwo rozmów czy monologów wymuszanych (podczas prób) przez reżyserów na aktorach. Rzadko zdarza się, aby miały jędrność i nośność poetycką języka Szekspira. Zazwyczaj kończy się na gaworzeniu, powtarzaniu, oczywistościach, czyli przejmującej nudzie, jak to się dzieje we wspomnianym przedstawieniu „Wędrówka na Zachód. Dwa miliardy sekund”. Skądinąd sympatyczna gawęda o Układzie Słonecznym, pewnie przydatna przedszkolakom, w teatrze dla dorosłych brzmi irytująco. Jest jeszcze kilku innych autorów poza Szekspirem, którymi warto się zainteresować, niekoniecznie musi to być klasyka, ale koniecznie literatura.

MIKROPORTY RZĄDZA

Pewno to moje starcze ograniczenie, ale nie przyzwyczaję się do mikroportów, które zresztą mają skłonność do awarii, a wtedy naprawdę jest okropnie. Nie myślę tu o spektaklach muzycznych czy z rozbudowaną warstwą śpiewaną – ale o innych, gdzie żywy kontakt z aktorem zastępowany jest sprzętem audiowizualnym. Wprawdzie za jego pośrednictwem też można ów żywy kontakt ustanawiać, ale trzeba być takim mistrzem jak Piotr Lachmann, który dowodził tego w swoim Videoteatrze prowadzonym wspólnie z Jolantą Lothe. Zamiast wykorzystać jego wyobraźnię i ogromne doświadczenie, zaprosić do prowadzenia warsztatów z tej wymagającej techniki teatralnej, cofnięto dotację na teatr Lachmanna i pozbyto się niewygodnego fachowca.

GASNĄCY POŻAR W BURDELU

Może to przejściowe, ale chwalony powszechnie (także przeze mnie) kabaret Pożar w Burdelu przechodzi kryzys. Jego nowe produkcje nie mają już tego płomienia, energia rozchodzi się na boki, a całość nie bardzo składa się w... całość. Tak było ze „Zwierzoczekoupiorami. Horrorrem musicaliem o Tadeuszu Konwickim” w Teatrze Studio, którego nie uratowała nawet maestria Ireny Jun. Może „pożarowców” wykańcza nadprodukcja pomysłów i programów, może bohaterowie są zmęczeni i trzeba zwolnić tempo? Liczę na to, że jeszcze wrócą do formy.

NIEDOUCZENI?

Trudno tu o trafne uogólnienie, może to tylko wycinkowa obserwacja, ale coraz częściej odnoszę wrażenie, że absolwenci szkół teatralnych opuszczają je nieprzygotowani do zawodu, a przynajmniej do pracy w teatrze dramatycznym. Widać to jak na dłoni w przedstawieniach, w których spotykają się twarzą w twarz z aktorami starszych generacji. Tych starszych słyszać, widzieć, wiadomo, po co są na scenie. Ci młodszy giną na dalekim planie, co najwyżej uprawiają gimnastykę, ale trudno mówić o pro-



wadzeniu ról. Do takich niewesołych wniosków prowadziły ostatnie realizacje „Snu nocy letniej” w warszawskim Dramatycznym i „Antygony” w Ateneum. Te dwa wartościowe przedstawienia bardzo traciły wskutek aktorskich niedoróbek w wykonaniu młodzieży.

ODROBINA KOMFORTU

Teatry publiczne, a nawet komercyjnie, nie pamiętają, że trzeba zadbać o komfort widza. Niektórzy twórcy uważają, że trzeba go wziąć pod but, zmęczyć, dać mu w kość, wtedy poczuje, że był w teatrze. Kazimierz Dejmek napominał, że widz, który zapłacił za bilet, musi widzieć i słyszeć, ma do tego święte prawo. Pewnie też musi wygodnie siedzieć (nie od rzeczy jest zrobić przerwę, którą ostatnimi czasy teatry się brzydzą), ale o tym coraz częściej może tylko pomarzyć. Wiele jest przedstawień „chodzonych”, gdzie o siedzeniu (zwłaszcza wygodnym) w ogóle nie ma mowy. Taki trend. Niech i tak będzie, ale o odstępstwach od reguły minimalnego komfortu trzeba widza uprzedzić, a nie wszyscy to robią. Warto pamiętać o widzach niepełnosprawnych, starszych, którym nie powinno się utrudniać korzystania z „usługi”. Bo teatr jest nie tylko świątynią sztuki, ale także przedsiębiorstwem usługowym.

Tomasz Miłkowski



BUNT AKOMPANIATORA

Sztuka Anny Burzyńskiej atmosferę zawdzięcza dramatom zagrożenia Harolda Pintera. Zaczyna się świetnie, rozwija obiecująco, ale najwyraźniej słabnie w puencie – autorce zabrakło już oddechu, aby inteligentnie rozegrać psychodramie dać efektowny finał. Nie zmniejsza to jednak autentycznego sukcesu aktorów, Edyty Olszówki i Piotra Polka, którzy stworzyli pełne napięcia zdarzenie,

istny thriller psychologiczny. Oto akompaniator pracujący od 20 lat z artystką operową eksploduje i wreszcie odśladania kotłujące się w nim uczucia. Okazuje się, że diwa stała się jego obsesją, wymagowaną kobietą jego życia, z którą w marzeniach spędza dnie, wieczory i noce. Gotów jest zrobić dla niej wszystko i, o zgrozo, być może zrobić wszystko, zbrodni nie wykluczając. Świetnie to zagrał Polk, który jak kulomiot wypłuka swoje monologi, zaskakując wciąż narastającym napięciem i przełamywaniem wszelkich wzorców zachowań nobliwego sługi muzyki. Edyta Olszówka jako diwa zrazu nie może ukryć zdumienia, z kim pracuje. Próbuje powściągnąć niesforemego współpracownika, nim zda sobie sprawę, że znalazła się w śmiertelnej pułapce. Przechodzi więc do kontrofensywy, kiedy już nie tylko jej występ w operze staje pod znakiem zapytania, ale nawet życie wydaje się zagrożone.

Kawałek dobrego teatru psychologicznego, od którego majstrem jest Adam Sajnuł. Perfekcyjna robota aktorska spotkała się z precyzją reżysera, umiejętnie akcentującego wzmagający się klimat zagrożenia. Artyści jeżdżą z tym spektaklem po całej Polsce (i to nie żadna chałtura!), jest więc nadzieja, że znajdą się także blisko was.

Tomasz Miłkowski

Anna Burzyńska, „Akompaniator”, reżyseria Adam Sajnuł,
Teatr Muzyczny w Toruniu

MIEDZY OKŁADKAMI

Maja Wolny POWRÓT Z PÓŁNOCY

Czarna Owca, Warszawa 2018

Grzybów w tym barszczu całe mnóstwo. W czasie teraźniejszym Olga Forsy wyrusza pociągiem do Chabarowska, a im dalej, tym dziwniejsza staje się jej podróż. W czasie przeszłym, w roku 1913, dla inżyniera Michała Forsy wyjazd do Chabarowska to nie tylko intratny kontrakt na budowę mostu nad Amurem, ale też okazja, by mieć żonę i kochankę pod ręką oraz spłacić szantażystę. Ale cofamy się w przeszłość głębiej, do wieku



XVII i czasów Nicefora Czernichowskiego, polskiego jeńca wojennego i zesłańca, który nad Amurem założył własne państwo. A jeszcze dochodzi do tego młody Stalin, poeta i ognisty kochanek, i narracja z wielu perspektyw. Całkiem zgrabnie jednak to wszystko się zazębia, przy czym część historyczna będzie dla tych, którzy lubią konkrety, a dla tych, których pociąga tajemnica – strona metafizyczna, wędrówka, która może być ucieczką udręczonej psychiki, wytworem ostatnich impulsów mózgu albo czyścącym błękaniami się duszy.

Aleksandra Pańko

ZAJRZYJ TU

KUNST IV. KOLEKCJA OROŃSKA

Bielska prezentacja „Kunst IV” jest kolejną wersją nowego spojrzenia na kolekcję Centrum Rzeźby Polskiej. Na wystawę kuratorka Eulalia Domanowska, krytyczka sztuki, dyrektor CRP, wybrała kilkadziesiąt rzeźb, obiektów, instalacji i filmów wideo, będących dziełami artystów różnych generacji, zarówno klasyków XX w., jak i młodszych twórców współpracujących z CRP. Oglądać można prace takich artystów jak Magdalena Abakanowicz, Wojciech Fangor, Władysław Hasior, Thorsten Goldberg, Jacek Jagielski, Jerzy Januszkiwicz czy Natalia Lach-Lachowicz.



**BIELSKO-BIAŁA,
GALERIA
BIELSKA BWA,
DO 17 LUTEGO**

HIWA K: WYSOCE NIEPRAWDOPODOBNE, CHOĆ NIE NIEMOŻLIWE

Słowo *hiwa* w języku kurdyjskim oznacza nadzieję. Na wystawie prezentowane są prace irackiego Kurda, który kilkanaście lat temu dostał się jako uchodźca polityczny do Europy, a dziś jest w czołówce światowej sztuki. „Jego wyjątkowa taktyka artystyczna polega na tworzeniu formy z wykorzystaniem praktyki życia codziennego, wspomnień z dzieciństwa, dorastania czy rodzinnych anegdot. Twórczość Hiwy K, w której elementy biograficzne mieszają się z tym, co zasłyszane i co fikcyjne, stawia w nowym świetle problematykę uchodźstwa”, czytamy we wprowadzeniu do wystawy.

WARSZAWA, ZACHĘTA, DO 26 KWIETNIA



NA EKRANACH

**POWRÓT BENA**

reż. Peter Hedges, prod. USA, już w kinach

Przy wigilijnym stole Burnsów puste nakrycie nie czeka na niespodziewanego gościa. A już na pewno nie na Bena, najstarszego syna, który walczy z nałogiem w ośrodku dla nar-

komanów. Kiedy w przeddzień Bożego Narodzenia chłopak pojawia się na podwórku, truchleją wszyscy poza matką o przewrotnym imieniu Holly (w angielskim *holly* to ostrokrzew, ale *holly* to święty). „Powrót Bena” koncentruje się nie na narkomanii, naj-

częstszej przyczynie śmierci młodych Amerykanów, ale na współzależności. Opętana pragnieniem wyciągnięcia chłopaka z nałogu Holly poświęca nie tylko spokój, wygodę i pieniądze, ale też bezpieczeństwo reszty rodziny. Reżyser Peter Hedges (pamiętacie kultowy „Co gryzie Gilberta Grape’a?”, do którego napisał scenariusz?) stawia matkę i syna obok siebie. Obojgu wydaje się, że panują nad sytuacją, ale oboje działają destrukcyjnie na siebie i tych, na których zależy im najbardziej. Rewelacyjnie odegrana przez Julię Roberts Holly idzie jak taran. A my z nią, bo przecież kochamy nieustępliwe, twarde bohaterki, które stawiają światu własne warunki. Nawet jeśli tylko tak im się wydaje.

Artur Zaborski



ZAJRZYJ TU

**MAGDALENA HAJNOSZ
SWOJĄ DROGĄ**

„Po fascynującym, lecz męczącym zgiełku miasta wzrok z rozkoszą gubi się w dalekich horyzontach. Mam niemal namacalne wrażenie spokoju i oddalenia od spraw codziennych (...). Moje obrazy są niemal abstrakcją. Niemal, bo ich punktem wyjścia są rzeczywiste widoki, które pró-



buję sprowadzić do mojego wymiaru. Zachęcam widza, aby wszedł niejako do środka obrazu, dając mu jako nic przewodnią kolor i kompozycję, które budują nastrój niezbędny do snucia własnych historii”, mówi Magdalena Hajnosz.

**WARSZAWA,
MUZEUM ZIEMI PAN,
DO 28 LUTEGO**

GRAFIKA I RYSUNEK

W zbiorze jeleniogórskiego Biura Wystaw Artystycznych znajduje się ok. 800 prac wybitnych polskich twórców. Na wystawie zobaczymy kilkadziesiąt grafik, m.in. Władysława Czystczonia, Edwarda Dwurnika, Stanisława Filipczuka, Tadeusza Jackowskiego, Tadeusza Kaczmarka, Jerzego Kryszpina, Marka Lerchera, Marka Likszeta, Janusza Lipińskiego, Zbigniewa Martina, Henryka Płóciennika, Witolda Turkiewicza, Andrzeja Urbanowicza.

JELENIA GÓRA, BWA, 25 STYCZNIA-11 LUTEGO



Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

JAKBY WYGUMKOWANA

Przez 25 lat Irena Dziedzic była ikoną polskiej telewizji.
Zmarła w zapomnieniu



„Tele-Echo” było pierwszym talk-show w polskiej telewizji. Na antenie ukazywało się w latach 1956-1981.

Ewa Rogowska

Była tak piękna, że mężczyznom odbierało mowę. I tak mądra, byskotliwa, cięta, że trochę się jej bali. Zrobiła w Telewizji Polskiej wielką karierę. Zaproszenie do programu „Tele-Echo” w czasach PRL było splendorem. Wystąpiło w nim 12,5 tys. rozmówców, ale ani jeden polityk. Program był prekursorem formatu talk-show. Gościł na antenie przez 25 lat, od 1956 r. do 1981 r., i był to wówczas światowy rekord.

Irena Dziedzic zmarła w wieku 93 lat, 5 listopada 2018 r. Żadne media nie podały informacji o jej śmierci. Dopiero 12 stycznia na portalu kwartalnika „Więź” o odejściu dziennikarki i o pogrzebie poinformował ks. Andrzej Luter, który miał celebrować tę uroczystość. Telewizja Polska zafundowała dziennikarce wieniec z 44 białych róż. Choć w TVP jest mnóstwo dyrektorów i wicedyrektorów, na pogrzeb wysłano prezentera ze stacji

TV Polonia. Tak rozprawiono się z perełkową historią mediów. Internauta o nicku alfons (!) napisał: „Komuszy los, sprawiedliwość dziejowa”.

ZŁAMANE UDO

Kilka lat temu media donosiły, że Irena Dziedzic żyje w ubóstwie. Dlatego zdecydowała, że należące do niej mieszkanie przejmie po jej śmierci osoba, która będzie płacić jej za życia kilkutyśniczną miesięczną

Latem ub.r. Irena Dziedzic złamała kość udową, mimo że była pod nadzorem opiekunki. Trafiła do szpitala. W październiku mężczyzna, który z Ireną Dziedzic zawarł umowę, złożył do Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga zawiadomienie o narażeniu dziennikarki na niebezpieczeństwo utraty życia, a odnosząc się ono do jej opiekunki. Drugie zawiadomienie dotyczyło niekorzystnych rozporządzeń mieniem, jakich miała dokonać Irena Dziedzic. Postępowanie

Przez 25 lat w „Tele-Echu” wystąpiło 12,5 tys. rozmówców, ale ani jeden polityk.

pensję, zapewniającą godne warunki. Było to rozsądne posunięcie, bo bliskiej rodziny nie miała. Zawarła umowę cywilnoprawną dotyczącą tzw. odwróconej hipoteki z mężczyzną, który zobowiązał się nie tylko do płacenia dziennikarce comiesięcznych kwot na utrzymanie, ale także do dbania o nią.

wszczęto, kiedy dziennikarka już nie żyła. Prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci. Dziennikarka zmarła w szpitalu. Sekcja zwłok wykazała, że powodem była niewydolność krążeniowo-oddechowa.

Jak informuje rzecznik Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga Marcin

Saduś, po śmierci dziennikarki prokuratura postanowiła ustalić rodzinę zmarłej. Ogłoszenia ukazały się w prasie. Udało się znaleźć jej dalekich krewnych, z którymi od ponad 40 lat nie utrzymywała kontaktu. Nie podjęli się zorganizowania pochówku. Współorganizatorem pogrzebu był mężczyzna, który miał przejąć na mocy umowy lokal Ireny Dziedzic. Nadal są prowadzone czynności związane z jego zawiadomieniem, że dziennikarka niekorzystnie rozporządziła swoim mieniem.

CZASEM DROGIE PERFUMY, CZASEM CZOSNEK

Niewiele wiadomo o jej życiu prywatnym. Nie wiadomo, kto należał do grona jej przyjaciół. Osiem lat temu pojawiła się na pogrzebie Zofii Nasierowskiej. Zapewne zmarła była dla niej osobą bardzo ważną. Być może fotograficzkę i jej męża Janusza Majewskiego łączyły z Ireną Dziedzic przyjacielskie stosunki. Może reżyser i dziennikarka znaleźli wspólny język, bo ona przed wojną chodziła do szkoły we Lwowie, a on – dużo młodszy – w tym mieście się urodził?

– Znajomość mojej żony i pani Ireny zaczęła się od tego, że ona, jak większość znanych wówczas pań, przyszła do Zofii na zdjęcia – wspomina Janusz Majewski. – Żona zwykle zaprzyjaźniała się szybko ze swoimi modelkami. Ale nigdy pani Irena nie była u nas w domu prywatnie ani my nie byliśmy z wizytą u niej. Spotykaliśmy się w telewizji, bo często bywałem przy Woronicza. Mówiliśmy sobie po imieniu, co w tamtych czasach nie było tak oczywiste. Tylko raz przyszła do nas, ponieważ miałem uczestniczyć w programie „Tele-Echo”. Kiedy zaproponowała mi wystąpienie w tym programie, oczywiście się zgodziłem, bo wtedy to była nobilitacja.

Majewski, który wtedy, pod koniec lat 70., miał już na koncie kilka filmów i przedstawień w Teatrze Telewizji, opowiada: – Przyszła do naszego domu na Żoliborzu z małą maszyną do pisania. Dwie kartki rozdzieliła kalką i wkręciła w maszynę, po czym zaczęła ze mną wywiad. Pytania i odpowiedzi od razu zapisywała na maszynie. Trwało to chyba ponad dwie godziny. Na koniec dała mi kopię maszynopisu. Powiedziała,

że mam się tego nauczyć na pamięć. W ten sposób ubezpieczała się przed wybrykami rozmówcy. Oczywiście nie mogłem się tego nauczyć, bo nie jestem aktorem. W tym czasie „Tele-Echo” nagrywano wcześniej, więc była możliwość korekty w czasie montażu, ale początkowo transmitowane było na żywo, więc może pozostał jej taki nawyk.

Reżyser pamięta, że przed wywiadem Irena Dziedzic zwierzyła się, że ktoś jej poradził fantastyczną kurację czosnkową. Czosnek należało gotować w mleku, dzięki temu tracił uciążliwy dla otoczenia zapach. Po zakończeniu wywiadu Majewski odprowadził gościa do furty. Kiedy zaś wrócił i otworzył drzwi swojego gabinetu, buchnął na niego zapach... czosnku. To klóciło się z obrazem damy zawsze dbającej o *image*, dobrze ubranej i pachnącej drogimi perfumami.

Uważała, że nauka dziennikarstwa telewizyjnego możliwa jest jedynie w relacji mistrz-uczeń. Sama wybierała ucznia.

– Irena Dziedzic była żelazną pozycją telewizji przez kilkadziesiąt lat – uważa reżyser. – Jej liczna widownia chroniła ją przed zdjęciem programu z anteny lub zwolnieniem. W końcu jednak wygryzły ją inne panie, młodsze od niej. To hańba i brak elementarnej kultury, że na jej pogrzeb nie przyszedł nikt z kierownictwa TVP. Przysłano prezentera, żeby pokazać, że w telewizji wprawdzie ją pamiętają i szanują, ale nie za bardzo.

PANI JUŻ TU NIE PRACUJE

Ks. Andrzej Luter, duszpasterz i publicysta, poznał Irenę Dziedzic na pogrzebie Zofii Nasierowskiej. Poprosiła go o rozmowę. Spotkali się na Saskiej Kępie, w jakiejś restauracji. Dom traktowała jak twierdzę. – Rozmawialiśmy długo, pięć albo sześć godzin, i pani Irena bardzo wiele mi o sobie opowiedziała – przyznaje ksiądz. – Jednak nie mogę o tym mówić, bo uważam, że obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi, choć to nie była spowiedź *sensu stricto*. Potem jeszcze rozmawialiśmy wielokrotnie w kościele środowisk twórczych. Pani Irena nie była dewotką, ale prawie w każdą niedzielę przychodziła na mszę. Potem

siadaliśmy przy herbachie, czasem pani Irena krytycznie oceniała kazanie. Wiedziałem, że była samotna, bo nie miała rodziny i odizolowała się do środowiska. Często wypowiadała się bardzo krytycznie na temat obecnego dziennikarstwa. O rozmowach w telewizji mówiła: wywiadziki. To już nie był jej świat.

Jej sztandarowy program „Tele-Echo” miał kilkaset odcinków. Niewiele z nich się zachowało w archiwum telewizji. Część zniszczono. Jej maestrię poznali więc tylko ci, którzy mieli okazję je oglądać. A ich liczba maleje. Wystąpiła w kilku filmach. Zazwyczaj grała samą siebie. Prowadziła przez wiele lat Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie, a potem od 1977 r. do 1980 r. Międzynarodowy Festiwal Interwizji. W latach 1983-1991 miała w telewizji publicznej kolejny autorski program „Wywiady Ireny Dziedzic”. Ale nie zdobył

on już takiej popularności jak „Tele-Echo”. Po ośmiu latach – jak wyjaśnia – pozbyto się jej telefonicznie z telewizji.

Jej żywiołem były wywiady, ale ona sama nie chciała ich udzielać. Na emeryturze zmieniła zdanie. Pewnemu wydawnictwu zaproponowała formułę wywiadu – pytania miało przygotować kilku dziennikarzy. Wydawnictwo wskazało sześciu. Ona obruszyła się, że trzech nie zna nawet z publikacji, więc dołożyła trzech następnych. Dla „swoich” była wyrozumiała i życzliwa, pozostałym odpowiadała nawet niegrzecznie. Na przykład na pytanie: „Jak powstawał scenariusz rozmowy w »Tele-Echo«? Na ile spotkanie przed kamerą było improwizowane?”, odpowiedziała: „Daruję pan, ale nie umawiałam się z wydawcą, że napiszę podręcznik. Sprywatyzowałam moją wiedzę w tym zakresie”. Tak było. Irena Dziedzic uważała, że nauka dziennikarstwa telewizyjnego możliwa jest jedynie w relacji mistrz-uczeń. Sama wybierała ucznia. Były to m.in. Edyta Wojtczak i Bożena Walter.

W 2002 r. zgodziła się na cotygodniowe felietony w Programie I Polskiego Radia „Punkt widzenia”. Paweł Królikowski, obecny prezes ZASP, mówi, że te felietony były

► bezkompromisowe i przewiercające. A Irenę Dziedzic nazywa „dziedziczką polskiej telewizji”. Felietony były emitowane do 21 maja 2006 r. Wtedy bowiem w prasie ukazała się informacja, że Irena Dziedzic jest kłamcą lustracyjnym – że zataiła współpracę z SB w latach 1958-1966. Dziennikarka wygłosiła w radiu felieton „Czy lustrować dziennikarzy?”. Okazało się, że to jej ostatni występ w tym medium. Przeniosła się do internetu. Przez dwa lata publikowała felietony na blogu irenadziedzic.blox.pl. Bardzo mądre. Ostatni, z 30 kwietnia 2008 r., skierowała do Mariusza Szczygła. Zaczęła go od słów: „Szanowny Panie, Młodszy Kolego, Mariuszu Sz.”. Paweł Królikowski uważa, że właśnie Mariusz Szczygł ma taką rzadką umiejętność jak Irena Dziedzic – potrafi być jednocześnie gwiazdą i tłem dla swoich rozmówców.

Irena Dziedzic wystąpiła o auto-lustrację. W listopadzie 2010 r. Sąd Okręgowy Warszawa-Praga uznał, że była tajną i świadomą współpracowniczką SB w latach 1958-1966. Orzekł zakaz zajmowania przez nią stanowisk publicznych oraz utratę biernego prawa wyborczego na trzy lata. Miała wówczas 85 lat i mogła mieć to w nosie, ale walczyła o dobre imię. Sąd apelacyjny wydał wyrok na jej korzyść. IPN złożył kasację w Sądzie Najwyższym. Ten w 2013 r. potwierdził, że Irena Dziedzic nie jest kłamcą lustracyjnym. Jednak dla mediów wyroki sądu apelacyjnego i Sądu Najwyższego nie były interesujące, bo opluwanie ma więcej czytelników niż wybielanie. Dlatego niewiele osób wie, że dziennikarka została oczyszczona.

U NAS SIĘ NIE STRZYGAŁA

Budziła skrajne emocje. Jedni ją uwielbiali, drudzy nienawidzili. Ci

pierwsi cenili ją za umiejętność posługiwania się słowem mówionym, za profesjonalizm, wysoką kulturę. Ci drudzy uważali, że jest zarozumiała, niedostępna, zimna i zaborcza. Krążyły opowieści o tym, że pojawiała się w różnych zakładach i naciskała, by od ręki sprzedano jej sprzęt AGD czy meble, a potem zwlekała z zapłatą. Na korytarzach telewizyjnych bez przerwy o niej plotkowano. A ona była na wierzchołku życia towarzyskiego. Kupiła mieszkanie albo dom na Saskiej Kępie.

Nie wiadomo, gdzie faktycznie mieszkała. Jeden z moich rozmówców twierdzi, że w szeregowcu na południe od Trasy Łazienkowskiej, w pobliżu wjazdów na nią. Typuję ulicę Genewską. Trzeci segment od prawej jest w marnym stanie. Może to jej? Sąsiadka z prawej mówi tylko po rosyjsku, nie rozumie pytania. Wiekowy sąsiad po lewej nie kojarzy nazwiska Dziedzic. Następna sąsiadka, pani Ewa, jest tu kilkadziesiąt lat. Twierdzi, że Irena Dziedzic nie mieszkała w tych szeregowcach, ale kiedyś widywała ją w okolicy, w sklepie spożywczym, którego już nie ma. Być może mieszkała w szeregowcach przy Rapperswilskiej.

Rapperswilska. Mężczyzna wychodzący przez furtkę twierdzi, że Irena Dziedzic tam nie mieszkała. Szeregowce przy Bułgarskiej. Dzwonię do kolejnych drzwi. Nowi lokatorzy są młodzi, nie wiedzą, ani kim była Irena Dziedzic, ani czy tam mieszkała. Pytam ludzi na ulicy. Może znali, może widzieli? Kobieta w średnim wieku twierdzi, że kiedyś widziała ją w okolicy, starsza kobieta z psem – że od kasjerki w Carrefourze przy Paryskiej usłyszała, że kupowała u nich Dziedzic.

Ruszam Paryską. Pytam przechodniów. Nie znają albo nie widzieli. Komis z odzieżą. Tu nie bywała. Fryzjer

trochę staroświecki. Tu się nie strzygła. Drugi o podobnym wystroju kilkaset metrów dalej – tu też nie bywała. W Carrefourze obsługa nie kojarzy dziennikarki. Podobno miała ulubiony lokal – ciastkarnię noszącą jej imię. Młode kelnerki nie wiedzą, kim była. Ale sprawdzają w internecie. Widzą zdjęcie na portalu – wiekowa kobieta w czarnym kapelusiku. Mówią, że chyba przychodziła do nich po ciasta. Legendarny bar Bistro, o którym opowiadała powojenna piosenka „Na Francuskiej” i w którym bywała przed laty Irena Dziedzic, już nie istnieje. Teraz robią tam pizzę. Młoda załoga nie ma pojęcia, kim była Dziedzic. Podobnie jest w pobliskiej dawnej herbaciarni, dziś sieciowej kawiarni. Tylko kobieta w sklepie z rajstopami twierdzi, że dziennikarka u niej bywała. Zwykle kupowała niezbyt drogie rajstopy. Po ponad dwóch godzinach rezygnuję z poszukiwania śladów Ireny Dziedzic. I przypominam sobie słowa usłyszone od Czesława Niemena (17 stycznia minęło 15 lat od jego śmierci): „Moje ślady powoli zaczną się zacierać”. Dziennikarka już została wygumkowana.

DOBRE SĄSIEDZTWO

Na pogrzeb legendarnej dziennikarki przyszło ponad 30 osób. Obok wieńca z białych róż od TVP spoczął wieniec z czerwonych róż od ZASP. W imieniu ZASP przemawiał były prezes tej organizacji Krzysztof Kumor. Mówił pięknie. Z Ministerstwa Kultury nikt nie przybył, choć dziennikarka jest w pewnym sensie dobrem narodowym. Jedynie Siostry Franciszanki Służebnice Krzyża doceniły jej wkład w polską kulturę. Wyraziły zgodę na jej prośbę, by na leśny cmentarz znajdujący się na terenie Zakładu dla Niewidomych w Laskach sprowadzić z Ukrainy prochy ojca, a z Krakowa prochy matki. Potem obok nich miała spocząć Irena Dziedzic. Nie zdążyła zrealizować planów. Ale za towarzystwo ma postacie najznamienitsze, m.in. Tadeusza Mazowieckiego, Aleksandra Małachowskiego, Franciszka Starowieyskiego, Antoniego Słonimskiego i Jana Lechonia. Ona, jak powiedzieli twórcy filmiku wrzuconego 13 stycznia na YouTube, prawie ikona polskiej telewizji.

Ewa Rogowska

Spółki skarbu państwa tuczą pisowską fabrykę nienawiści. Więcej w nowym numerze tygodnika „NIE”.



Tak, ale



Agnieszka Wolny-Hamkało

OBCY

Kiedy Jean Baudrillard napisał w swoim „Requiem dla Twin Towers” o ataku na WTC jako o medialnym spektaklu, część publicystów i czytelników poczuła się głęboko dotknięta. Ale filozof trafnie zdiagnozował zmianę naszego pojmowania rzeczywistości i jej przedstawień. Cały świat oglądał atak na żywo, a zaraz potem materiały rejestrowane nie tylko przez kamery, ale też przez amatorskie aparaty fotograficzne i telefony, zostały zreprodukowane nieskończenie wiele razy. Przekazywany w kółko przerażający obraz i jego znaczenie na zawsze zmieniły nasz *zeitgeist*, ducha epoki. Chociaż mówimy o czasach po Holokauście i wiemy, że ludzie czasem tylko udają ludzi, naruszono jednak i zdemastrowano symbol, a masowa śmierć ofiar z WTC poruszyła nie tylko mieszkańców Stanów Zjednoczonych, ale też filozofów, etyków, pisarzy i artystów na całym świecie.

Jedną z najbardziej przejmujących książek, które pokazują traumę zamachów i ich psychologiczne konsekwencje, jest „Spadając” Dona DeLillo. Angielski tytuł „Falling Man” pochodzi od zdjęcia, na którym fotograf uchwycił mężczyznę spadającego z wieży WTC. Jeden z bohaterów powieści, performer, wielokrotnie odtwarza ten skok w innych częściach miasta. 15 lat temu na Biennale Sztuki Mediów WRO kuratorzy pokazali pracę wideo pewnego Amerykanina, który wymontował z wiadomości telewizyjnych na całym świecie zbitkę *weapons of mass distraction* (w wolnym tłumaczeniu: broni masowego wrażenia) i zestawił w jeden film.

Artyści na różne sposoby próbują sprostować temu, z czym nie potrafimy sobie poradzić, ponieważ przemoc, gwałt, agresja wydają się w czasach względnego pokoju (przynajmniej w tej części świata) absurda i odległe. Na co dzień naszą czujność usypia polaryzacja, którą media społecz-

nościowe nagradzają liczbą odsłon i udostępnień. Każda wypowiedź, dzieło sztuki, zdjęcie może stać się pretekstem do publicznego linczu, w którym najbardziej liczy się to, za co tak kochamy seriale: brutalne, absolutne i spektakularne poniżenie bohatera. Hejt nasz codzienny zrósł się z sieciowym krajobrazem. Wzruszamy ramionami, mówiąc: to tylko Facebook, to tylko internet. Dopóki nie dotknie to nas albo naszych bliskich. Ale na rzeczywistość wirtualną, rzeczywistość tekstu czy zapośredniczonego obrazu, nasz mózg reaguje tak samo jak na realne zdarzenie.

To banał, o którym na co dzień zapominamy: słowa zmieniają świadomość. 13 stycznia cała Polska oglądała w telewizji i internecie atak nożownika na prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Surrealizm zła sprawił, że obecni na finale WOŚP ludzie przez kilka minut wypierali to, co się stało. Zabójca prezydenta tańczący na scenie z nożem to już postać z porządku

koszmaru, nie mieści się w logice egzystencji. Ale obelgi rzucane pod adresem sędziów, Jerzego Owsiaka czy właśnie Pawła Adamowicza mieszczą się jak najbardziej. Dziwne, że w kraju, który prowadzi katolicką edukację w szkołach – kraju wyznaniowym, a zatem w „kraju Księgi” – przejście od słowa do czynu wydaje się niektórym politykom tak odległe.

Ten cały jad podrzucany ludziom przez rządowe informacje, rozpowszechniany z domu do domu, w przychodniach, taksówkach, będzie miał swoje kumulacje. Zaczyna się od słowa na forum, od kłamstwa, które, jak mówił Goebbels, powtarzane wielokrotnie wreszcie się przebija i wzbudza najpierw lęk, a potem agresję. Nawet jeśli to tylko szum, staje się tłem, szczególnym nastrojem, w którym żyjemy. To jest ten legendarny obcy, który w nas mieszka, osłabia i próbuje przejąć ciebie, mnie. Możemy się przed nim bronić. Na początek wystarczy pilnować słów.



Rozmawia Bronisław Tumitowicz

Czy na podstawie zachowania ptaków można prognozować pogodę albo zmiany klimatyczne?

– Do zmian klimatycznych bym się nie odnosił, ale z zachowań ptaków można wywnioskować krótko-terminowe zmiany w pogodzie. Na przykład w październiku każdego roku, kilka dni przed nadejściem fali mrozów ze wschodu, stonki starają się uciekać na zachód. Energicznie lecą przez Warszawę, a niektóre nawet rozbijają się o wysokie budynki. Podobnie jest z rudzikami. Po prostu lecą zbyt nisko, a przy padającym deszczu jest słaba widoczność.

Skąd wiedzą, że idzie mróz?

– Być może dżdżownice, którymi się żywią, zaczynają już przymarzać i ptaki nie mają nic do jedzenia. Obserwacje migracji ptaków dają wiele do myślenia. Zwiastują przyjście zimna lub ciepła. Dla przykładu bociany pojawiają się w kwietniu kilka dni przed wiosennym ociepleniem. Lecą z południa na swoje lęgowiska, ale ostatni odcinek pokonują dosyć niespokojnie, wyraźnie się śpieszą i już nie czekają na ciepłe prądy z południa, które pomagają im szybować bez wysiłku. Samce w locie mocno machają skrzydłami, by pokonać opór powietrza i przed samicami przybyć do gniazd. Wyraźnie zwiastują ciepłą wiosnę, która raz przychodzi wcześniej, raz później.

Ludowe przysłowie mówi, że jedna jaskółka nie czyni wiosny. Lepiej obserwować bociany?

– Tak. Spośród jaskółek zwykle jako pierwsze przylatują dymówki, które są najbardziej odporne na zimno. One też najdłużej zostają u nas przed zimą. Widać je jeszcze w październiku. Pozostałe odmiany – oknówka i brzegówka – są bardziej ciepłolubne. Doświadczenie mówi, że kiedy jaskółki latają nisko, zbliża się deszcz.

– Być może latają niżej z powodu owadów, które przed deszczem schodzą niżej. Rzecz w tym, że owady trudniej obserwować niż ptaki.

Czy odloty bocianów zwiastują także nadejście zimy?

– W mniejszym stopniu, bo odbywają się wcześniej. Tutaj obowiązuje ścisły kalendarz. Jest koniec lata, zwykle początek trzeciej dekady sierpnia. Wtedy nietrudno o ciepłe prądy



PTASI KALENDARZ

Kawki, gawrony, sroki, wrony są elitą intelektualną wśród ptaków, potrafią świetnie się dostosowywać do warunków

wstępujące, które pomagają ptakom wznieść się wysoko. Jeszcze bardziej rygorystycznie traktują datę odlotu jerzyki. One odlatują z miast bez względu na pogodę, nie czekają jak bociany na kominy termalne, nawet pozostawiają swoje nie dosyć jeszcze odchowane dzieci w gniazdach, i już ich nie ma.

Teraz częściej mamy do czynienia z anomaliami klimatycznymi spowodowanymi globalnym ociepleniem. Co i raz więcej u nas np. huragany i wiatry. Co na to ptaki?

– Ostatnio pojawia się u nas coraz więcej ptaków przyniesionych z Ameryki, ale nie wiemy, czy ma to związek z wicherami, czy po prostu coraz więcej jest różnych hobbystów obserwujących zachowanie ptaków. Być może wpływ ma jedno i drugie. Są też zjawiska niekorzystne, bo np. znikają głuszce i cietrzewie, charakterystyczne dla lasów iglastych. Kon-

kretną przyczynę ich znikania trudno podać. Podejmowane są oczywiście próby powstrzymania tego procesu, choćby poprzez hodowle w Puszczy Augustowskiej czy w górach. Niby jest ocieplenie klimatu, a znika z naszej przyrody dzierlatka, ptak ciepłolubny. Najwyraźniej dzieje się coś niedobrego. Przybywają natomiast inne ciepłolubne – żołą, a przed kilkoma tygodniami fala ochłodzenia na wschodzie przyniosła do nas orzechówki, które zwykle mieszkają w tajdze. A dlaczego żurawie przebywały na bagnach biebrzańskich nawet do pierwszych listopadowych przymrozków? Może nie śpieszyły się, bo wciąż miały dobre żerowisko.

A jak reagują na nasz klimat ptaki egzotyczne w warszawskim zoo?

Czy jakoś dostosowują się do naszych warunków, czy kompletnie się gubią?

– Te zamknięte w ogrzewanych pomieszczeniach żyją w oderwaniu od rzeczywistości, przez cały rok nie wychodzą na zewnątrz. Ale mamy tutaj aż tysiąc ptasich osobników i trafiają się także lepiej przystosowane do naszych warunków. Jednak wiele gatunków przystępuje do lęgów zgodnie z własnym kalendarzem. Te z Ameryki Południowej czy z Australii właśnie szykują się do lęgów, bo u nich jest teraz wiosna. Także pingwiny przylądkowe z Afryki tak się zachowują.



DR ANDRZEJ KRUSZEWICZ

Pomagacie im jakoś w podtrzymaniu gatunku?

– Rozmnażamy mnóstwo gatunków, nawet te wymarłe w naturze. Gołębiak kasztanowaty, szpak balijski i paw kongijski występują już tylko w ogrodach zoologicznych. Nikt takiego pawia nie widział w Kongu i istnieje podejrzenie, że może go już w ogóle nie ma. Szpak balijski jest przywracany, także gołębiak kasztanowaty. Do meksykańskiego ogrodu zoologicznego Africam Safari trafiły pierwsze trzy pary uratowane dzięki zoo. Cała populacja tych gołębiaków w Europie liczyła 100 osobników, z czego 17 urodziło się w Warszawie. Rozmnaża się u nas także wymarły w naturze bażant annamski. Na szczęście w Wietnamie powstanie stacja reintrodukcji tych ptaków.

Moglibyście otworzyć sklep i sprzedawać co ciekawsze okazy.

– To niemożliwe. Ptaki należące do ginących gatunków objęte są specjalnymi programami hodowlanymi. Każdy osobnik jest wpisany do księgi rodowej, istnieje też komitet hodowlany. Prowadzimy w naszym zoo 10 takich ksiąg. Aby sprzedać ptaka objętego programem, potrzebna jest zgoda koordynatora. Zdarzają się jednak sytuacje wyjątkowe.

Na przykład?

– Zgłosił się wódz plemienia indiańskiego i poprosił o pióro jedne-

go z rzadkich ptaków. Otrzymał je, ale uprzedziłem, że i tak nie wyjedzie z nim z Polski, bo wywóz obejmuje zakaz zawarty w międzynarodowej konwencji.

Wyjechał?

– Nie śledziłem dalszych losów wodza.

Dlaczego najpopularniejszymi ptakami w Warszawie są teraz krukowate – kawki, gawrony, sroki, wrony?

– Jeszcze niedawno w samym Lasku Bielańskim zimowało ich aż 250 tys. Teraz jest tyle w całej Warszawie. Mam nadzieję. Są także w Parku Praskim i na terenie zoo. To typowe dla wielkich miast. Krukowate są elitą intelektualną wśród ptaków, potrafią świetnie się dostosowywać do warunków, wynajdywać pożywienie, obsiadać wysypiska śmieci i osiedla ludzkie. Te, które teraz zimują w Warszawie, przyleciały z Białorusi i z Rosji, a nasze krukowate na zimę przenoszą się do Niemiec i są tam masowo zabijane. W Niemczech dopuszcza się również odstrzał kilku tysięcy łabędzi, które my chronimy, zresztą tak samo jak krukowate. Przepisy unijne są w tej kwestii niespójne. Oni za pieniądze Unii Europejskiej strzelają, a my za jej pieniądze chronimy.

Absurd?

– Napisałem książkę „Ornitologia nie tylko dla myśliwych”, w której

ujawniam wszystkie bzdury, jakie się dzieją w Europie. Na przykład Francuzi na ludowych festynach pieką w gorącym oleju skowronki i ortolany. To się dzieje w XXI w. W tej samej cywilizowanej Francji strzela się do kulików, których każde jajo jest u nas otoczone szczególną troską. U nas nie ma wielkiej tradycji polowań na ptaki, ale wiele z nich ginie przez brak dbałości i złe przepisy. W sieciach bałtyckich rybaków przy ujściach rzek ginie ok. 200 tys. dzikich kaczek. Nie są nawet kierowane do kuchni, ale jako niepotrzebny „przyłów” po prostu się je wyrzuca. Podobnie ginie wiele fok, które zaplątują się w sieci. Łapczywość wykańcza przyrodę.

A smog nie działa odstraszająco na ptaki?

– Na pewno odczuwają skutki zanieczyszczenia powietrza, bo wiele ma objawy pylicy płuc i worków powietrznych. Widzimy to podczas sekcji niektórych padłych osobników. Ptaki zjadają też dzikie owoce w miastach pokryte warstwą kurzu i osadu smogowego. Ale w sumie żyją dużo krócej od ludzi i nie widać, by masowo przedwcześnie ginęły.

Ponoć kruki żyją nawet 100 lat.

– Po pierwsze, kruki żyją raczej poza miastami, a po drugie – 100 lat to przesada.

Czy może pan na podstawie badania ptaków powiedzieć, czy zima będzie śnieżna i mroźna?

– Tak, ale nie wiemy jeszcze gdzie.

A wiosna będzie wczesna, czy się spóźni?

– Będzie wczesna, ale także nie wiemy jeszcze, gdzie to będzie. Do Barcelony przyjdzie już w lutym. A u nas jak zwykle w lutym będzie pewnie kilka mroźnych dni, a potem gwałtowne, krótkotrwałe ochłodzenie przyjdzie w maju. Sadownicy będą się skarżyć, że wszystkie zawiązki owoców zamrzęły, a potem będzie klęska urodzaju i jabłka po 30 gr za kilogram.

Może do przepowiadania pogody przydałby się w zoo taki amerykański świstak, którego przebudzenie jest w Stanach Zjednoczonych odbierane jako zwiastun wiosny?

– Nie mamy i nie chcemy mieć nieświszcza, bo taka jest jego poprawna nazwa. Kopie norki i pół roku śpi, nie jest przy tym gatunkiem zagrożonym wymarciem.

Czekamy zatem na pierwsze bociany.

Profesor Weigl i karmiciele wszy

Gestapowcy nie palili się do wchodzenia na teren instytutu.

Hasła: „tyfus” i „wszy” odstraszały skutecznie

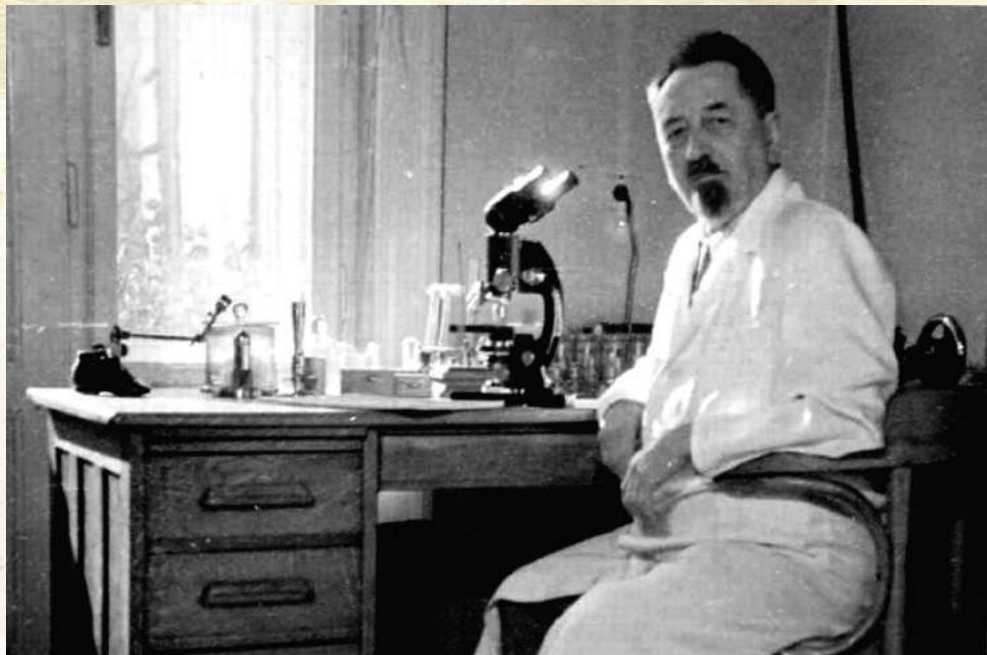
Mariusz Urbanek

Działalność konspiracyjna odbywała się w instytucie niemal jawnie. Za wiedzą Rudolfa Weigla, z jego półoficjalnym przyzwoleniem, wreszcie z udziałem uczzonego. Jedni wykorzystywali instytut jako bezpieczną skrzynkę kontaktową, inni jako przykrywkę dla pracy w podziemiu, część produkcji szła na potrzeby Armii Krajowej i do gett we Lwowie, w Krakowie i Warszawie. „Ta działalność była niejednokrotnie tak słabo zakamuflowana, że do cudów należy zaliczyć, że jakichś poważniejszych wpadek nie było”, wspominał Marek Zakrzewski.

Pracowali u Weigla ludzie ze wszystkich podziemnych organizacji działających we Lwowie, opowiadała preparatorka i działaczka Rady Pomocy Żydom „Żegota” Halina Szymańska-Ogrodzińska: „to było jak arka Noego”.

Wśród karmicieli najwięcej było łączników i żołnierzy AK, napisał Andrzej Nespiak. Pracowali niepełną godzinę dziennie, a mieli dokładnie takie same pomarańczowe ausweisy co etatowi strzykacze i preparatorki, spędzający w instytucie po sześć-osiem godzin każdego dnia. Pozostawało mnóstwo czasu „na zajęcia nie całkiem legalne lub całkiem nielegalne”, wspominał jeden ze strzykaczy, którego anonimowe wspomnienia przechowywane są w Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej. „Żadna obława gestapo – a zdarzały się takowe – nie była w stanie ich wyłapać”, dodał Nespiak.

Ale nie brakowało też wśród karmiących wszy specjalistów od tzw. legalizacji dokumentów. „Korzystając ze sprzyjających okoliczności, moi koledzy wystawiali najprawdziwsze ausweisy znajomym i nieznanym izraelitom, a następnie wyprowadzali ich, uzbrojonych w urzędowe dowody fałszywej tożsamości, z obskurnych murów getta, i to bezczelnie, obok wachy sterczącej u bram tego



padółu rozpacz”, wspominał „fabrykę na św. Mikołaja” Adam Hollanek, po wojnie publicysta i autor popularnonaukowych powieści. (...)

Karmicielami wszy „u Weigla” byli szef sztabu Lwowskiego Okręgu Armii Krajowej Karol Borkowiec („Zen”), Tadeusz Garliński z Delegatury Rządu i Stanisława Grabska, bratanica Władysława Grabskiego, dwukrotnego premiera i ministra skarbu w kilku rządach Drugiej

Pracowali u Weigla ludzie ze wszystkich podziemnych organizacji działających we Lwowie.

Rzeczypospolitej. Grabska przyjechała do Lwowa jeszcze w okresie okupacji sowieckiej jako wysłanniczka Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej w Warszawie, aby nawiązać współpracę ze strukturami ZWZ działającymi po drugiej stronie granicy, którą podzielili kraj okupanci. Była lwowianką, ojciec przed woj-

ną wykładał na Uniwersytecie Jana Kazimierza, miała w mieście kontakty. Największym problemem było przedarcie się przez zieloną granicę, a potem... przeżycie. „O misji Grabskiej wiedziało w instytucie wiele osób. Mimo to nie miały miejsca przecieki informacji w niepożądanym kierunku”, napisał Jerzy Gardynik.

„Być od Weigla, to był tytuł szlachectwa. Prawie całe kierownictwo konspiracji tam było”, wspominał Mirosław Żuławski. Sam co rano karmił wszy z delegatem rządu na Lwów, a kiedy delegat nie mógł przyjść osobiście, zastępowała go najbliższa współpracownica o imieniu Wanda. Była zdrową dziewczyną i nie bała się panieńskich anemii, zapamiętała Żuławski.

Wśród strzykaczy mniej więcej połowa związana była w jakiś sposób z konspiracją, potwierdził Gardynik. Rudolf Weigl wspólnie z Anną Herzig i Henrykiem Mosingiem stworzyli taki system selekcji pracowników, że ludzi z podziemia systematycznie przybywało. Byli wśród nich przedwojenni oficerowie i podoficerowie oraz młodszy, którzy wchodzili w dorosłość

już w czasie okupacji. Część z nich nie musiała nawet przychodzić do pracy.

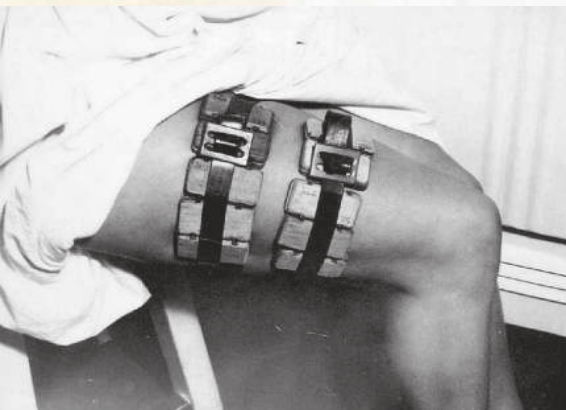
– Oczywiście to byli karmiciele fikcyjni. Byli na liście płac, ale nigdy nawet nie byli w zakładzie – opowiadał w filmie „Sprawa profesora Weigla” Stefan Kryński.

Profesorowie Andrzej Alexiewicz i Jerzy Albrycht w spisanym po latach wspomnieniu informują o ogromnej liczbie szczepień ludności cywilnej, wykonywanych w oddziale instytutu kierowanym przez Henryka Mosinga. „Pod pozorem przeprowadzania doświadczeń wykonywano bezpłatnie masowe szczepienia społeczeństwa polskiego szczepionką najwyższej jakości, nieosiągalną nawet na terenie Reichu, a co dopiero w tzw. Generalnej Guberni”, napisali.

Trafiali do instytutu ludzie, których Rudolf Weigl wyciągał z najcięższych opresji.

Strzykacze w „boksie zakaźnym”.

Klateczki z wszami przypięte na udzie jednej z karmicielek.



Potwierdził to bp Jan Nowicki, w czasie okupacji ksiądz we Lwowie, po wojnie rektor seminarium diecezjalnego, a od 1964 r. administrator apostolski polskiej części archidiecezji lwowskiej z siedzibą w Lubaczowie. Duchowni z diecezji lwowskiej mogli zawsze liczyć na bezpłatne szczepienia w instytucie Rudolfa Weigla. Wspominał: „Tego samego dobrodziejstwa doznawały całe szeregi siostr zakonnych, zwłaszcza tych, które pracowały w szpitalach”.

Konieczność szczepień dość łatwo było uzasadnić. Jeden ze strzykaczy już pierwszego dnia pracy dowiedział

się od Henryka Mosinga, że może zgłosić do bezpłatnego szczepienia członków swojej rodziny, ludzi, z którymi mieszka, oraz wszystkich, z którymi często się kontaktuje. Ich liczba była więc praktycznie nieograniczona. „Dopiero później zrozumiałem, że była to zamaskowana forma szczepień sporej grupy polskiej ludności miasta”, wspominał.

„W samym tylko Lwowie pod różnymi pretekstami zaszczepiono ponad 50 tys. ludzi”, napisał Bolesław Nagay. Nawet jeśli Niemcy podejrzewali, że jakaś część produkcji wycieka poza instytut, nie mieli pojęcia, że może chodzić o dziesiątki tysięcy



amputek: „[Weigl] nie wahał się podpisywać fałszywych sprawozdań produkcyjnych, byle tylko pokryć znikające ilości szczepionki”. Potrafił przekonać Niemców, że produkcja szczepionki wymaga dużego grona zaufanych ludzi, których dobierał osobiście. Próby ingerencji skutecznie torpedował.

„Niemcy niczego tak się nie bali jak tyfusu”, tłumaczył Marek Zakrzewski. Już sama nazwa Fleckfieberinstitut działała na nich odstraszaюще. Wymagali umieszczania na drzwiach mieszkań zajmowanych przez pracowników instytutu godła zakładu i ostrzeżenia po niemiecku o zagrożeniu sanitarnym. Komendant miasta informował dodatkowo, że wejście do takiego mieszkania lub budynku wymaga każdorazowo jego zgody.

Przesiedlając ludzi z lepszych dzielnic miasta na peryferie, Niemcy umieszczali pracowników instytutu, karmicieli i ich rodziny w są-

siednich mieszkaniach, zapamiętała Anna Fabiańska. Zajmowana przez weiglowców klatka w bloku stawiała się natychmiast „strefą zagrożoną”. „Stan taki skrzętnie wykorzystywało dowództwo Armii Krajowej, lokując w tych domach osoby poszukiwane, »spalone«, prześladowane przez okupanta”, wspominał Nagay.

Mirosław Żuławski był przekonany, że nic w instytucie nie działa się bez wiedzy Rudolfa Weigla. Profesor był przez kierownictwo podziemia poinformowany, że ma u siebie kwiat podziemia cywilnego oraz wojskowego i z pełną świadomością ryzyka godził się na to. Może tylko częściej

koił nerwy, kryjąc się w uniwersyteckim ogrodzie, by postrzelać z łuku. „Niemcy wiedzieli, że bez niego cały ten instytut nie wart byłby funta kłaków, myśmy też o tym wiedzieli i nasze uwielbienie dla profesora nie miało granic”, dodał Żuławski.

Kiedy Weigl dowiedział się, że w warszawskim getcie przebywa wybitny lekarz i bakteriolog Ludwik Hirszfild, wystąpił mu kilkadziesiąt tysięcy szczepionek. Wieźli je Henryk Mosing, Emil Czuchraj i Wiktor Weigl. „Osoby te, jadąc do Warszawy, zabrały ze sobą dwie flaszki nierozcieńczonej szczepionki, która wyglądała jak czarna kawa”, zapamiętał Jan Reutt. Było oczywiście, że gdyby o przemyśle dowiedziało się gestapo, całej trójce groziłby obóz, a być może nawet śmierć. Instytutowym Niemcom Weigl wytłumaczył, że prawdziwym celem misji jest pozyskanie nowych szczepów bakterii wywołujących tyfus, które pojawiły się w getcie. ▶

► Są jeszcze groźniejsze niż dotychczas. Trzeba je zbadać, by podjąć skuteczną walkę. Skojarzenie Żydów, wszy i tyfusu było dla Niemców tak oczywiste, że zgodzili się na eksperyment i nie kontrolowali, co wystannicy Weigla naprawdę wwożą do getta.

„Profesor Weigl ze Lwowa i Państwowy Zakład Higieny przysłali na moje imię większą ilość szczepionki przeciwko durowi plamistemu. Szczepionki te w wolnym handlu kosztowały około tysiąca złotych”, wspominał Ludwik Hirszfild. W innym miejscu dodał: „przysłał potajemnie”. Hirszfild przekazał szczepionkę Radzie Zdrowia Judenratu, a przedstawiciele żydowskiego samorządu rozprawdzali ją wśród chorych w getcie za niewielką opłatą.

Ile znaczyła w warszawskim getcie szczepionka przemycana ze Lwowa opisał Władysław Szpilman we wspomnieniach, które stały się kanwą dla nagrodzonego trzema Oskarami filmu Romana Polańskiego „Pianista”.

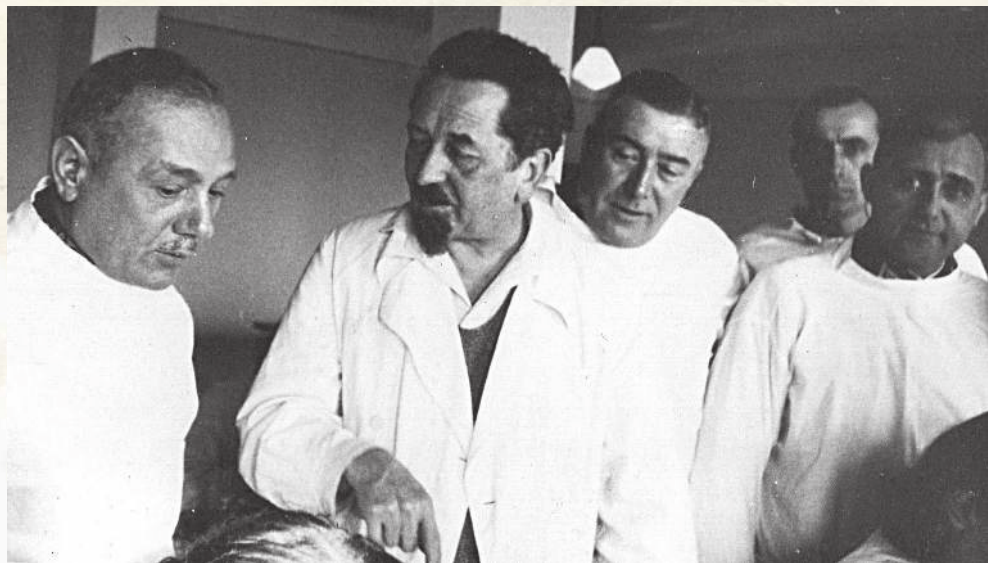
Szpilman, znany przed wojną kompozytor muzyki filmowej, po zamknięciu w getcie pracował jako akompaniator podczas koncertów w kawiarniach. Zapamiętał plagę wszy, które opanowały dzielnicę żydowską na przełomie lat 1941 i 1942. Były wszędzie, w sklepach, w tramwajach, spadały z sufitów urzędów, wędrowały tysiącami

rało na dur plamisty 5 tys. ludzi. Służby Judenratu nie nadążyły z ich grzebaniem. Nagie, owinięte tylko w papier zwłoki układano na chodnikach w sterty. Ubrania były zbyt cenne, żeby grzebać je razem z ludźmi. Trupy leżały czasem po kilka tygodni, zanim grabarze je zabrali i wywieźli do masowych grobów na cmentarzu.

Walka Niemców z epidemią polegała na tym, że – „z właściwym sobie brakiem poczucia humoru”, napisał Jurandot – rozwiesili w getcie plakaty ostrzegające przed kontaktem... z Żydami, którzy roznoszą wszy i tyfus. Mieszkańców kamienic, w których wykryto przypadki tyfusu, poddawano kwarantannie. Byli obowiązkowo kąpani i dezynfekowani, ale następnie chorych i zdrowych zamykano razem, więc po dwóch tygodniach chorzy

Między Lwowem a Warszawą zaczęli kursować szmuglerzy. „Ludzie sprzedawali często ostatnie rzeczy, żeby kupić zastrzyk. Zaczęła się dzika spekulacja”, zapamiętał Jerzy Jurandot.

Ceny leku rosły z dnia na dzień, zatrzymały się dopiero wtedy, gdy na tyfus zaczęli zapadać także już zaszczepieni. Powody były różne. Bardzo szybko pojawiły się w getcie fałszywki. Zwykła woda zamknięta w ampułce sprzedawała się równie dobrze jak prawdziwy lek. Coraz wyższa cena z kolei powodowała, że ludzie kupowali szczepionkę na spółkę. A jedna dawka podzielona na dwie osoby przestawała być skuteczna. „Psychoza zastrzykowa ustała ostatecznie przy pierwszych przypadkach śmiertelnych”, wspominał Jurandot. (...)



Gdyby profesor traktował Niemców źle, skończyłoby się to katastrofą.

po chodnikach i schodach kamienic. „Wszy znajdowały się w załamaniach gazet, na monetach, a nawet pokrywały skórę zakupionego właśnie chleba, a każde z tych żyłatek było nosicielem tyfusu plamistego”, wspominał Szpilman. Kursujące na terenie getta konne omnibusy nazywano „chata ze wszą”, dodał Jerzy Jurandot, dramaturg i satyryk, dyrektor artystyczny jednego z działających w getcie teatrów. Przypominające cyrkowe pojazdy były zwykle niemilosierdzie zatłoczone, więc trudno było uniknąć ocierania się o innych pasażerów.

W tych warunkach epidemia w getcie musiała wybuchnąć. Tyfus stał się głównym tematem rozmów wszystkich bez wyjątku, bogatych i biednych. Każdego miesiąca umie-

byli już wszyscy. Niektórzy trafiali do szpitala, ale to wcale nie było lepsze rozwiązanie. „Chorzy na ogół umierali w szpitalu z głodu, zanim zdążyli umrzeć na tyfus”, wspominał Jerzy Jurandot. Jeśli więc było to możliwe, rodziny ukrywały chorych przed oddziałami żydowskiej policji tropiącej przypadki tyfusu.

Śmiertelna choroba podzieliła Żydów w getcie. Biedni mogli tylko czekać, kiedy nadejdzie ich kolejka, i mieć nadzieję, że dożyją szczepienia, bogaci zastanawiali się, jak zdobyć ampułki z preparatem doktora Weigla poza kolejnością. „Ten wybitny bakteriolog stał się teraz najpopularniejszą obok Hitlera postacią: dwa skrajne symbole – dobra i zła – obok siebie”, pisał Szpilman.

Mogło się wydawać, że Weigl, zainteresowany wyłącznie swoimi badaniami, stoi na uboczu dziejącej się wojny, wspominał Krawczyński. Prawda była inna. Nie zaakceptował okupacji, uważał za swój obowiązek pomaganie ludziom zagrożonym śmiercią: „Rzecz nawet można, że wyznawał on zasadę, że człowieczeństwo nie jest człowiekowi dane, lecz zadane”.

Nie wszyscy jednak wytrzymywali napięcie. Jedna z preparatorek (koleżanki podejrzywały, że była Żydówką) przepracowała w instytucie tylko kilka dni. Potem nagle zniknęła. Po jakimś czasie ktoś przyniósł wiadomość, że się powiesiła i to razem ze swoją matką czy ciotką. Na inną, zwykle elegancko ubraną i dobrze odżywną,



W Krościenku Rudolf Weigl uczył strzelania z łuku szwagierkę Olgę Weiglową, brata Fryderyka i bratanicę Olgę Weigl-Lebedyńską, 1946 r.

Niemieccy lekarze nie musieli Weigla lubić, ale musieli go znosić, bo był im potrzebny, Kraków 1941 r.

pozostałe dziewczyny spoglądały podejrzliwie. Też zniknęła. „Czy była »kapusiem«? Co się z nią stało – nie wiem”, napisała Anna Fabiańska. (...)

Bo mimo wszystko było oczywiste, że wśród kilku tysięcy karmicieli, którzy przewinęli się przez instytut, a nawet wśród etatowych pracowników laboratoriów nie brakuje donosicieli i instytutowi Niemcy są świetnie zorientowani, co dzieje się „u Weigla”. A jeśli czegoś nie wiedzą na pewno, mogą się łatwo domyślić, że w zakładzie ukrywa się wielu ludzi współpracujących z podziemiem.

– Wiedzieli doskonale, co się dzieje – przekonywał w filmie „Sprawa profesora Weigla” Stefan Kryński. – Opowieści o nieskazitelnym Polaku, którzy nie donosili, to legendy. Donosy o tym, co się dzieje w instytucie, płynęły do naszych oberarztów strumieniem.

Tylko dzięki temu, że profesor był z nimi w dobrych kontaktach i że oberarztowie bywali u niego w domu, wiedział, kto jest szpiclem. A Niemcy prosili jedynie, żeby uważał i żeby gestapo niczego nie wywęszyło, bo wtedy problemy będą mieli wszyscy.

– A przecież tam się odbywały rady wydziału, obrony doktoratów, całe podziemie pracowało – dodał Kryński. – Gdyby profesor traktował Niemców źle, skończyłoby się to katastrofą dla niego i dla całego zakładu.

„Wiem, że po wojnie znaleźli się ludzie, którzy śmieli oskarżać Profesora o współpracę z okupantem”, napisał wiele lat po tych wydarzeniach Jan Reutt. On nigdy w to nie uwierzył. Nieraz był świadkiem przekazywania szczepionki dla podziemia. Widział też, jak często Weigl bronił swoich współpracowników przed Niemcami. Uważał, że uczony świadomie dawał

Być od Weigla, to był tytuł szlachectwa.

w instytucie schronienie ludziom związanym z Szarymi Szeregami, Związkiem Walki Zbrojnej, a później z Armią Krajową. Ci, którzy zarzucali mu kolaborację, sami mieli nieczyste sumienia, napisał Reutt: „Wiadomo, że dla tego pokroju ludzi atak był najlepszą obroną”.

Gestapowcy niespecjalnie palili się do wchodzenia na teren instytutu. Hasła: „tyfus” i „wszy” odstraszały skutecznie, a jeśli któryś upierał się, żeby osobiście skontrolować, czy w pracowniach nie ukrywa się poszukiwany Polak, pomagały sposoby bardziej drastyczne. W instytucie – wspominał Andrzej Nespiak – „o umiętnie

rozsypaną klatkę z zakażonymi wszami nie było trudno”. Gestapowcy na wszelki wypadek zatrzymywali się już na portierni. Dalej posyłali kogoś z dyżurujących podoficerów. Poszukiwany miał dość czasu, żeby się ukryć gdzieś w zakamarkach laboratorium. A Maria Bronarska, kierowniczka działu hodowli wszy, spokojnym głosem oznajmiała: – *Er hat schon seine Lausse gefüttert* (On już nakarmił swoje wszy).

To wystarczyło, żeby Niemcom przechodziła ochota, by szukać dalej. „Byliśmy wszyscy niesforą, dla naszych własnych polskich przełożonych, i niemalże nieuchwytną dla wrogów grupą”, wspominał Nespiak.

Weigl swoim spokojem rozbrajał strach młodych pracowników. Albrycht i Alexiewicz napisali: „Ten jeden człowiek, Profesor dr Rudolf Weigl, potrafił ocalić nas siłą swej cywilnej odwagi i autorytetu naukowego”. „Choć pochodzenia niemieckiego, nigdy nie zaparł się polskości, mimo wielu kuszących propozycji ze strony okupanta”, uzupełnił Nagay.

Trafiali do instytutu ludzie, których Rudolf Weigl wyciągał z najcięższych opresji. „Niejednokrotnie interweniował, prawie wyrывая ludzi z więzienia”, wspominał Alfred Jahn. Był bohaterem, dodał. (...)

Wśród tych, których Weigl wyciągnął z opresji, był także Stefan Banach. Po donosie jednego z „życzliwych”, których w okupowanych polskich miastach nie brakowało, gestapo zatrzymało w mieszkaniu matematyka ludzi zajmujących się przemysłem marek niemieckich. „Kilka tygodni spędził w więzieniu”, wspominał Hugo Steinhaus, zdołał nawet w tym czasie udowodnić jakieś nowe twierdzenie, w końcu jednak wyszedł i wrócił do pracy w instytucie. „Dzięki dzielnej i mądrze przemyślanej interwencji Weigla, który natychmiast ruszył na odsiecz”, zapamiętał Wacław Szybalski. „Do dzisiejszego dnia nie mogę bez dreszczu wspominać tego strasznego czasu”, mówił tuż po wojnie Banach. Jedynym wytchnieniem był sen, dodał. (...)

Fragmenty książki Mariusza Urbanka *Profesor Weigl i karmiciele wszy*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2018



PIĘKNA TWARZ WEGANIZMU

Kalendarz można kupić na www.vegetariancalendar.com



12 kobiet dzielących się pięknem swojego ciała w słusznej sprawie. Wegetarianki i weganki. Kobiety inspirujące, świadome, dbające o siebie i innych. „Vegetarian Calendar” to cykliczny projekt Rolanda Okonia, wrocławskiego fotografa, który w ten sposób od czterech lat promuje ideę alternatywnego żywienia. Udział w sesji wzięły m.in. Paulina Holtz, Agata Buzek, Monika Dryl i Betty Q.

Radio na bakier z zegarem

Edward Mikołajczyk

Kiedy byłem telewizyjną małą, pytano mnie, co pijam i czy słucham radia. Dzisiaj sam sobie stawiam pytania, na które chcę odpowiadać. Otóż słucham radia TOK FM.

Oświadczam i natychmiast czuję się nabywcą prawa do zabierania głosu, a nawet recenzowania oferty programowej tej stacji. Mam do tego historyczne upoważnienie. Dawno temu spotkałem w pociągu z Krakowa do Warszawy naczelnego „Polityki” Jerzego Baczyńskiego (jadł kanapkę w przedziale drugiej klasy) i pogratulowałem mu, że trafnie zainwestował, bo to będzie bardzo dobre radio. Usłyszałem: „No tak, ale strasznie dużo kosztuje”.

Szczęśliwie po latach radio gra, więc właściciele mają się chyba dobrze. Przybywa częstotliwości i słuchaczy, audycje kontaktowe mają kłopoty z obsługiwaniem wszystkich chętnych do zabrania głosu na antenie. Nie będę wymieniał wszystkich przewag i słabości nadawcy, bo nie chcę za dużo zdradzić z projektu, nad którym pracuję, a który mam zamiar komercyjnie oferować takim firmom jak stacje radiowe i telewizyjne, a nawet wydzielone pasma lub pojedyncze audycje. Chodzi o format w typie „Kuchennych rewolucji”, ale bez tłuczenia porcelany. Będę sprzedawać nie rewolucję, ale raczej – mówiąc po kibicowsku – remontadę.



Kuchenna stylistyka zapowiedzi o dopiekaniu politykom, przypiekaniu i podobnych torturach jest niegodna dorosłego radia.

Po tak wypiętrzonym barokowo wstępie przedstawiam za darmo kilka uwag do ulubionego radia.

Pochwalam za oczekiwane, pierwsze potrząśnięcie ramówką weekendową: odjazd „Skołowanych” w sobotę i powrót do radia Daniela Passenta w niedzielę. Dobry ruch to także przeniesienie „Wyborów w TOK-u” Dominiki Wielowieyskiej z niedzieli na sobotę, połączone ze zmianą godziny nadawania. O dziewiętej rano, przynajmniej na początku, słuchacze będą mieli dylemat, co włączyć – Trójkę czy TOK. W obu audycjach chodzi o to samo, polityczną naparzanek mianowicie. Wszystkim dobrze zrobi konfrontacja.

Odnotałem dwa zwiastuny przynosin i oceniam, że jeden jest niestosowny, a drugi bałamutny. „Wybory w TOK-u” mają swoją publiczność, której wystarczyłby prosty komunikat o zmianie w rozkładzie jazdy, zamiast kuchennej zapowiedzi o dopiekaniu politykom, przypiekaniu i podobnych torturach. To jest stylistyka niegodna dorosłego radia i od 13 stycznia tego roku wielce niestosowna.

Zmianę pory audycji zapowiada radiowy sygnał czasu (znany słuchaczom Polskiego Radia, nieużywany w TOK FM) z informacją, że jest godzina dziewiąta. Nabrałem się kilka razy na ten trik, dlatego zaraz powiem, co myślę o radiu z zegarem na bakier.

Jeszcze przed świtem, w „Pierwszym śniadaniu w TOK-u” Piotr Maślak podaje czas z pedantyczną dokładnością do kilku sekund. Nieważne, czy tak zabija czas, czy kokietuje. W ciągu całego dnia zegarem rządzą 20-minutowe moduły narracji na żywo, obetkane kitem reklamowym na złączach, jak chałupy góralskie obtyka się warkoczami słomy. I właściwie wszystko jest w porządku. Stacja się sprawdza jako żywy zegar, który mówi i pogrywa.

Bezczas zaczyna się w niej po północy i trwa do piątej. Radio podaje serwisy o pełnych godzinach, ale nie informuje, która jest godzina. Emisją steruje sztuczna

inteligencja z deficytem pamięci, chyba okazynie kupiona na chińskim pchlim targu. Bot nie zna się na zegarze i nie umie

przetwarzać newsów z drugiej półkuli, która zaczyna żyć po północy.

Czas między serwisami wypełniają powtórki, na szczęście bez reklam, ale tak nonszalancko przycinane, że tuż po północy dowiadujemy się co chwila, ile jest minut po siódmej, a od godziny pierwszej jesteśmy informowani, ile jest minut po ósmej.

Automatowi zdarza się, że po północy zamienia numery modułów, powtarza poprzedni albo nawet wczorajszy. W nocy można maszynie wybaczyć, tak jak odpuszcza się zaspanemu stróżowi. Ale kiedy w niedzielę w samo południe żywe radio nadaje pierwszy odcinek audycji „Homo Science”, po godzinie powtarza go jako drugi, a po zakończeniu ponownie zapowiada drugi odcinek o godzinie, która już dawno minęła, można się zgubić. Na dodatek nie ma przed mikrofonem nikogo, kto by powiedział: przepraszamy.

PS Podobnie jak wszyscy wiem, kto zamordował prezydenta Gdańska. I jak wszyscy czekam na zmiany personalne w TVPiS. ■

Ntailan Lolkoki

Nasza starsza siostra przeprowadziła się do ciotki. Ciocia Ngoto Kisa, siostra mojego ojca, zawsze bardzo o nas dbała i wiedziałyśmy, że bardzo nas kocha. Teraz, kiedy matka odeszła, stała się dla nas jeszcze ważniejszą osobą.

Stosownie do okoliczności wzięta na siebie obowiązek przygotowania mojej siostry do *muratare*. Esther skończyła 14 lat. Wprawdzie nie miała jeszcze wyjść za mąż, ale nadszedł czas, by zgodnie z obyczajami Samburu poprzez inicjację stała się prawdziwą kobietą. Od każdej młodej dziewczyny oczekiwano, by poprzez *muratare* stała się kobietą, wyszła za mąż i rodziła dzieci. Jak wszystkie dziewczynki od małości słyszałyśmy o tym od naszych ciotek. Gdyby tak się nie stało, ściągnęłoby to klątwę na rodzinę. Taki był naturalny bieg rzeczy i tylko nielicznym dziewczętom przychodził do głowy pomysł, by to kwestionować. Dzień inicjacji dziewczęta uważały za jeden z najważniejszych w ich życiu, dzień świąteczny, na który powinny się cieszyć.

Mimo to przepełniało mnie osobliwe uczucie, podobne do tego, jakie miałam, kiedy obserwowałam małe Somalijki z mojej szkoły w mieście w czasie wakacji. Wbrew temu, co opowiadała Ngoto Kisa i inne ciotki, nie odczuwałam radości, jedynie smutek. Widziałam także po mojej siostrze, że najchętniej by uciekła.

Miałam dopiero dziewięć lat i dlatego nie zostałam jeszcze we wszystko wtajemniczona. Pewne

Wojownicy interesowali się coraz młodszymi dziewczętami.

rzeczy wyparłam, ponieważ były zbyt straszne. Mimo to bardzo dobrze pamiętam ten dzień. Matka zjawiała się, aby wziąć udział w ceremonii. Podczas gdy kilka kobiet przygotowywało Esther do rytuału, inne gotowały herbatę w manyatcie.

Tego dnia Esther była ubrana w tradycyjny strój *njapukur*. Starsze kobiety Samburu wykonywały *njapukur* z bydlęcej skóry dla swoich

IM GŁĘBSZE CIĘCIE, TYM LEPIEJ

Dzień obrzezania jest niczym święto i wiele dziewcząt nawet się na niego cieszy. Do czasu



Somalia, sześciolatka dziewczynka po obrzezaniu.

córek lub siostrzenic i przekazywały go dziewczynom, kiedy osiągnęły stosowny wiek, by otrzymywać od wojowników paciorki. *Njapukur* był seksowny, ponieważ pozostawiał odsłonięte nogi. Miał czynić dziewczęta atrakcyjnymi, żeby podołały się wojownikom. (...)

Wcześniej rano kilka ciotek zaprowadziło moją siostrę do jednego ze strumieni tuż przy lesie, gdzie została umyta. Przyglądałam się, jak gładko ogolono głowę Esther. Przypuszczałam, że wcześniej sama ogoliła się między nogami, by nie narazić się na wysmianie z powodu włosów łonowych.

Otrzymała wielką tykwę z wodą, która miała służyć do tego, by po rytuale przemywać ranę. Esther sama niosła tykwę, kiedy kobiety prowadziły ją w głąb lasu. (...)

„Naturalny” bieg rzeczy, inicjacja czyniąca dziewczynkę kobietą, oznaczał dla Esther, tak jak dla większości dziewcząt Masajów i Samburu, że została jej usunięta cała techtaczką. Im głębsze było cięcie, tym lepiej. (...)

Kilka dni później, kiedy nasza matka już dawno ponownie zniknęła, kilka kobiet zaczęło ubolewać, że cięcie nie było wystarczająco głębokie. Chciały obejrzeć Esther, ale ona odmówiła. Zgodziła się tylko na to, by przebadaną ją ciotka Ngoto Kisa. Kobiety chciały ponownie obrzezać Esther, jednak ta broniła się ze wszystkich sił. Wołała umrzeć niż pozwolić, by ponownie jej to zrobiono.

Kiedy miałam 10 lat, a Hellen 12, pewnego razu spałyśmy obie podczas ferii szkolnych w chacie naszej ciotki. Naturalnie było tam tylko jed-

no łóżko: wykonane z drewna, liści i skóry i bardzo wygodne. Według nas było całkiem normalne, że wszyscy razem spali w tym jednym łóżku. Jednak owej nocy zjawił się z wizytą wojownik Samburu i położył się obok Hellen. W ciemności mogłam raczej usłyszeć niż zobaczyć, że wojownik nie zostawił mojej siostry w spokoju. Nie wiedziałam zbyt dokładnie, co robił, ale było dla mnie jasne, że ją dotykał. Zazdrościłam mojej starszej siostrze. Sądziłam, że jej się to podobało i że z powodu zainteresowania mężczyzny była kimś wyjątkowym. Ja też pragnęłam być kimś wyjątkowym, również chciałam zwrócić na siebie uwagę wojownika. Dopiero jako dorosła, kiedy rozmawiałam z Hellen o tym przeżyciu, odkryłam, że ta noc była dla niej straszna, ponieważ wojownik po prostu wykorzystał ją seksualnie, i wszyscy to słyszeli, z moją ciotką włącznie. Wtedy jednak nikt tego nie skomentował. Natomiast Hellen bardzo długo nie mogła zapomnieć o tym, co ją spotkało.

Jako dziecko i młoda dziewczyna myślałam, że starsze dziewczęta miały szczęście, kiedy przynajmniej w okresie bycia paciorkową dziewczyną mogły korzystać ze swojego ciała i ze swojej seksualności, zanim nie zostały obrzezane. Z czasem zauważyłam, że dziewczęta, którymi interesowali się wojownicy, były coraz młodsze. Nie byłam w stanie sobie wyobrazić, co wojownicy ze swoimi wielkimi, silnymi ciałami robili tym drobnym dziewczętom. 14-letnia dziewczyna, która mnie, dziecku, wydawała się już stara, najwyraźniej także według wojowników była już za stara. Bo w wieku 14 lat dziewczyny już wydawano za mąż za starszych mężczyzn, a więc dziewczyny dla wojowników musiały być o wiele młodsze. W czasie dzieciństwa nie kwestionowałam tego, co się działo wokół mnie, ale jako dorosła, która musiała zmagać się z własną traumą, zrozumiałam, że los paciorkowych dziewcząt to jedno z najgorszych okrucieństw na świecie: wykorzystywanie seksualne dzieci, które u Samburu jest na porządku dziennym. (...)

Dziewczęta Samburu musiały poddać się temu bez słowa protestu, bo gdyby się nie podporządkowały, wszyscy by to zauważyli. Kto nie usługiwał wojownikom, nie miał paciorków. Nawet jeśli paciorki ciąży-

ły, jeszcze bardziej ciążyło nieposiadanie żadnych.

Nasza rodzina nie otrzymywała już żadnego wsparcia od naszego ojca i wydawało mi się, że byliśmy biedni. W każdym razie nie mieliśmy dostatecznie dużo pieniędzy, by zaprosić krewnych i sąsiadów, żeby świętować dzień obrzezania Hellen i mojego. Mimo że nie byliśmy pa-

W wieku 14 lat dziewczyny już wydawano za mąż za starszych mężczyzn.

ciorkowymi dziewczętami i z okazji naszego obrzezania nie odbyłyby się tańce wojowników i dziewczyn, w Maralal być może zostałoby dla nas zarżnięte zwierzę. I chociaż sąsiedzi by przyszli, żeby w tym ważnym momencie być z nami.

Tymczasem w dniu naszego obrzezania nie przyjechała nawet ciocia Ngoto Kisa z Maralal, u której spędziłyśmy wiele godzin naszego dzieciństwa. Tylko siostra matki, Ngoto Nkaka, przyjechała z Embakasi, żeby być z nami. Ciotka, matka i babcia mówiły o tym, jak one same podczas obrzezania, pomimo wielkiego bólu, nie mrugnęły okiem. Opowiadały o kobietach, których nie obrzezano i przez to zostały wykluczone ze wspólnoty i praktycznie straciły szansę na zamążpójście. Wyjaśniły nam, że obrzezanie da nam prawdziwą tożsamość kobiety: dzięki niemu staniemy się stuprocentowymi Masajkami, prawdziwymi kobietami Samburu. Po obrzezaniu miałyśmy wyjść za mąż, a potem urodzić pierwsze dziecko. Jako obrzezane kobiety miałyśmy być postulsze przyszłemu mężowi, być mu wierne, być dobrymi żonami i urodzić dużo zdrowych dzieci. (...)

Po wysłuchaniu tego wszystkiego udałyśmy się do kliniki, by poddać się obrzezaniu. Od naszego domu do centrum Ongata Rongai były 3 km. Matka, Hellen i ja musiałyśmy przebyć tę drogę pieszo. Przechodziłyśmy obok nowo wybudowanego osiedla, w którym mieszkali przede wszystkim Kikuj. Szłam i stawiałam się coraz bardziej spokojna i smutna.

Kiedy wreszcie doszłyśmy do kliniki, osiągnęłam stan, jakby już coś we mnie obumarło.

Z zewnątrz budynek sprawiał wrażenie małego i obskurnego, trudno byłoby go uznać za szpital z prawdziwego zdarzenia i zapewne wcale nim nie był. Po ulicy chodzili tradycyjnie ubrani Masajowie. Do kliniki swoje córki przyprowadzili wykształceni Somalijczycy, a także kilku członków plemienia Meru. Zobaczyłam nawet kilku Kikuj, którzy chcieli zafundować ten koszmar swoim córkom.

W środku było chłodno i stało tylko kilka krzeseł. Hellen i ja usiadłyśmy, podczas gdy matka poszła nas zameldować. Wysoka, gruba pielęgniarka z plemienia Kikuj przeszła obok i rzuciła nam nieprzyjazne spojrzenie.

– Ty będziesz pierwsza. Wejdź do środka – powiedziała matka do mojej siostry i usiadła koło mnie. Hellen wstała i podeszła do w połowie otwartych drzwi, za którymi zniknęła pielęgniarka. Zajrzała do środka, po czym odważyła się wejść. Kilka sekund później wystawiła głowę na zewnątrz i spojrzała na nas.

– Ona twierdzi, że jestem już dorosła, że jestem kobietą. Chcą zrobić mi zabieg jak u kobiety, a więc za cenę dorosłej kobiety – powiedziała Hellen z mieszaniną złości, oburzenia i wstydu w głosie.

Chociaż byłam obrzezana, wciąż jeszcze nie byłam wystarczająco dobra.

Matka wstała i podeszła do niej.

– Musi cię przebadać, wtedy zobaczy, że jeszcze nie jesteś kobietą! – Matka mówiła na tyle głośno, że pielęgniarka musiała ją usłyszeć. Następnie zamknęła drzwi i znów usiadła obok mnie. Obie wiedziałyśmy, że moja siostra nigdy nie miała przyjaciela, chociaż miała już 14 lat.

Kiedy Hellen wyszła z pomieszczenia, nie spojrzała ani na mnie, ani na matkę.

– Teraz twoja kolej, wejdź do środka – powiedziała mama.

Wstałam, przeszłam kilka kroków do drzwi i weszłam. Pielęgniarka czekała na mnie (...). Chwyciła mnie i dała mi zastrzyk.

► – Połóż się na plecach – nakazała. O tym, że procedura okaleczenia żeńskich narządów płciowych jest torturą i że kobiety takie jak ja nazywa się pozostałymi przy życiu, przeczytałam dopiero wiele lat później. (...).

W drogę powrotną znów ruszyliśmy pieszo, nie miałyśmy pieniędzy na przejazd samochodem. Nie wiem, jak udało mi się przebyć te kilka kilometrów. Przypuszczalnie zastrzyk w końcu zadziałał i mnie znieczulił. Moje ciało, umysł i duszę ogarnęło odrętwienie. (...) Ból rozlewający się między moimi nogami po kilku dniach ustał, odrętwienie pozostało. Ból był straszny, jednak o wiele straszliwsza była pustka, która po nim nastąpiła.

Trzy dni po wizycie w klinice Hellen i ja siedziałyśmy w cieniu pod drzewem, kiedy Hellen powiedziała, że chciałaby spróbować znów normalnie chodzić. Do tej chwili, odkąd przestało działać znieczulenie, ruszałyśmy się tylko, kiedy było to konieczne. Teraz Hellen się podniosła, zacisnęła zęby i zaczęła stawiać kolejne kroki, jeden za drugim. Widziałam, że była jeszcze bardzo obolała. Wydawała mi się taka dzielna, więc ja także się podniosłam i również podjęłam próbę zrobienia kilku kroków, jakbym nie miała powoli gojącej się rany między nogami. Postanowi-

łam, że zrobię cztery kroki, nim się poddam. Akurat wtedy przechodził obok nasz wujek.

– Czy zostałyście wystarczająco głęboko wyrzeżane? – zapytał. – *Entoropil nker!* – Musicie poperfumować dzieci! – krzyknął następnie w języku Masajów do swojej żony Salimy i mojej matki, które pracowały w *shamba* między todygami kukurydzy i teraz odwróciły się w naszą stronę.

Los paciorkowych dziewcząt to jedno z najgorszych okrucieństw na świecie.

Upadłam na ziemię. Wstydziłam się spojrzenia wujka, wstydziłam się ciotki i matki, bałam się spojrzeć siostrze w oczy. Bałam się, że teraz, chociaż byłam obrzezana, wciąż jeszcze nie byłam wystarczająco dobra. Że wciąż jeszcze nie pachnę wystarczająco dobrze, wciąż jeszcze nie jestem wystarczająco czysta. Bałam się, że będą mi chcieli odciąć coś jeszcze, tak jak kiedyś mojej siostrze Esther. Dlatego nienawidziłam resztki mojej techtaczk, mojej waginy i całego obszaru dookoła i wszystkiego, cokolwiek miało z nią wspólnego.

Moje ciało wyzdrowiało i nikt nie domagał się głębszego obrzezania. Jednak moja dusza pozostała okaleczona. Przestałam rozmawiać z innymi

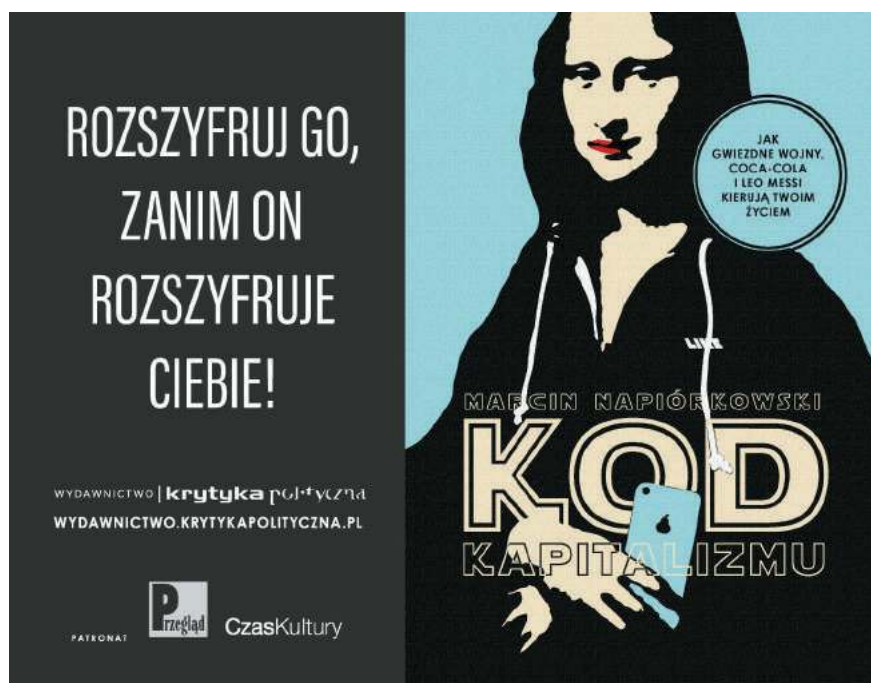
mi, zamknęłam się w sobie. Inaczej było z Hellen, która była przepetniona wściekłością i najgłębszym zwątpieniem. Dwa tygodnie po naszym obrzezaniu uciekła. (...)

W różnych krajach i grupach etnicznych na terenie jednego kraju takiego jak Kenia stosuje się najróżniejsze praktyki. Okaleczenie kobiecych narządów płciowych nie zawsze odbywa się w szpitalu. Dziewczęta i kobiety nie otrzymują żadnego znieczulenia i muszą przeżywać zabieg w całej jego intensywności, zachowując pełną przytomność. Zasady higieny w ogóle nie są przestrzegane, jako narzędzi do wycinania używa się między innymi żyletek, noży, nożyczek, kawałków szkła. Do zaszyciwania rany obrzezujące używają zwierzęcych jelit, końskiego włosia lub kolców akacji.

Moje ciało wyzdrowiało, ale dusza pozostała okaleczona.

Dzień obrzezania dla dziewcząt i kobiet jest dniem szczególnym, podczas którego być może po raz pierwszy w ich życiu poświęca się im tak wiele uwagi. Dzień ten jest uroczystością obchodzoną niczym święto i wiele dziewcząt nawet się na niego cieszy. Ponieważ przeprowadzenie FGM jest otoczone wieloma tajemnicami, a już obrzezane kobiety i dziewczyny nigdy nie opowiadają o zabiegu, dziewczynki nie mają pojęcia, co je czeka. Mówienie o przebiegu obrzezania jest tabu. Zabieg infibulacji musi być przeprowadzony w młodym wieku, ponieważ starsze dziewczyny, ze względu na niewyobrażalną intensywność bólu, za bardzo by się broniły. (...)

Jeszcze kiedy byłam dzieckiem, nauczono mnie, że obrzezanie oznacza zostanie kobietą. Jednak dopiero po wielu latach miałam dowiedzieć się, co to tak naprawdę oznaczało.



Fragmenty książki Ntalian Lolkoki *Skrzydła dla motyla*, przekład Bartosz Nowacki, Prószyński i S-ka Warszawa 2018



Radek i gry Witolda

Nastała moda na przypominanie fragmentów książki Radosława Sikorskiego „Polska może być lepsza”, zwłaszcza tych, w których autor zdradza różnorakie tajemnice. Na przykład tę, że Władimir Putin proponował Donaldowi Tuskowi... Lwów. Później taką propozycję podziału Ukrainy składał publicznie Władimir Żyrinowski. W Polsce została ona zlekceważona i zbita milczeniem. Czy można więc zakładać, że Żyrinowski służy Kremlowi do tego, by głośno mówić to, co władza w Rosji myśli, ale z wielu względów woli na ten temat zachować milczenie? Różnie można spekulować.

My też chcemy być modni, więc przypominamy jeden fragment książki Sikorskiego, tym razem dotyczący personaliów, a konkretnie byłego szefa MSZ Witolda Waszczykowskiego.

Otóż był taki okres, że Waszczykowski był urzędnikiem MSZ, a potem, już za koalicji PO-PSL, został wiceministrem (u boku Sikorskiego), by następnie z hukiem z rządu wylecieć. I właśnie o tym przypomina ten fragment.

Pisze Sikorski: „Późną wiosną 2008 r., zanim jeszcze uzyskaliśmy zapewnienie, że patrioty będą stacjonować w Polsce, do Waszyngtonu udał się odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa wiceminister Witold Waszczykowski. To on – jeszcze w rządzie PiS – odpowiadał za negocjacje w sprawie tarczy. Waszczykowski był kiedyś zastępcą ambasadora przy NATO i znał techniczne aspekty projektu i negocjacji. Podczas kampanii wyborczej w 2007 r., jakby przeczuwając porażkę Prawa i Sprawiedliwości, wpadał do mnie do domu i zdawał relacje z rozmów politycznych w Pałacu Prezydenckim i w PiS.

Uznałem więc, że politycznie też już jest raczej nasz. Donald Tusk był bardzo sceptyczny, ale wyjednałem pozostawienie Waszczykowskiego na stanowisku. Chciałem amerykańskim sojusznikom dać sygnał ciągłości naszej polityki.

Wiceminister Waszczykowski pojechał do Waszyngtonu z pisemną, zatwierdzoną przeze mnie instrukcją negocjacyjną, w której garnizon z patriotami był warunkiem niezbędnym zawarcia porozumienia. I nagle dowiedzieliśmy się z czeskiej agencji informacyjnej, że umowa została paraflowana bez niezbędnego elementu – czyli bazy patriotów. A minister z asystentką zapadli się pod ziemię. Zupełny brak kontaktu. Wyglądało to tak, jakby minister we współpracy z Amerykanami, ale bez zgody swojego rządu, próbował postawić Polskę przed faktem dokonanym”.

Chwilę potem z powodu niesubordynacji Waszczykowski z rządu PO wyleciał. Na tyle spektakularnie, że zaproszono go do PiS.

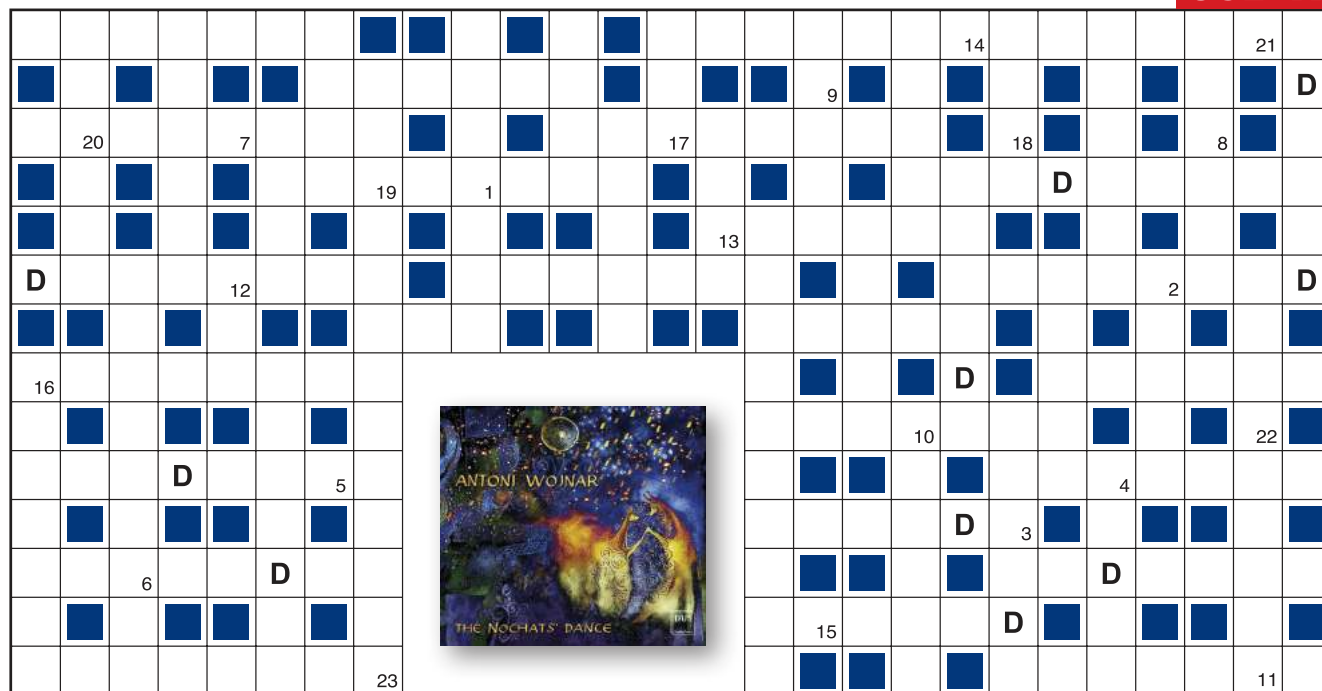
Ale relacja Sikorskiego jest dla niego kompromitująca. Bo Sikorski informuje pisowców, że Waszczykowski donosił mu o tym, co Lech Kaczyński i rząd Jarosława Kaczyńskiego przemyślują. Robił więc za agenta PO w PiS. A potem na dokładkę Sikorski puszcza do widowni oko, że Waszczykowski zapadł się w USA pod ziemię razem z asystentką. Sugestia jest jednoznaczna.

Krótki fragment. Sporo mówi o Waszczykowskim, ale niewiele mniej o samym Sikorskim.

Attaché



Syryjczyk odśnieża swój namiot w obozie w dolinie Bekaa. W Libanie ok. 1,5 mln syryjskich uchodźców żyje w obozach, z których wiele nie ma podstawowej infrastruktury.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- Muhammad... lub ...Baba
- imię św. Gonzagi i bp. Orszulika
- łuk na dwóch kolumnach
- ambicje, dążenia
- Narodowy Polski z Glapińskim
- nerka wołowa lub cielęca
- przydatny dziennikarzo- wi podczas wywiadu
- Shirley... w „Goldfingerze” pomalowana złotą farbą
- jedna sztuka, okaz
- bada człowieka jako społecznego twórcę kultury
- brytyjska złota moneta jak państwo
- gramofonowa wydobywa dźwięki
- rajską z drobnymi owocami
- tam siedziba parlamentu RPA
- cienka tkanina z welny kóz
- partie połączone porozumieniem
- księżycowy to pustkowię
- litera po kappie
- Cielecka lub Zawadzka
- wstrząśnięte, nie zmieszane dla Bonda
- masowy mord, rzeź
- imię ukochanej Edmunda Dantesa i auto
- oratorium Haendla
- gęsty napój z przecieru owocowego
- newralgia
- miękka skóra z delikatnym meszkiem
- o stanie odurzenia, euforii po narkotykach
- Złota lub pierwszeństwa
- pożywienie zwierząt hodowlanych
- sznur skręcony ze słomy
- najlepszy wynik sportowca
- mają pociechy
- niejeden w dorobku Danielle Steel
- drogi w różne świata strony
- usmolony nią kominiarz
- dawniej o pisaniu dramatów
- pan po angielsku (tytuł szlachecki)
- spadzisty brzeg rzeki, urwisko
- grzyb o głęboko pofalowanej główce
- bokserki
- duży stos siana
- dobrze, gdy da podwyżkę
- szczególny dar, uzdolnienie
- rodzaj dużego balkonu
- bieg, kierunek myśli
- odgłos kół na bruku
- mszalne w kielichu
- na niego metoda okradania seniorów
- kwestują na WOŚP
- część wypłaty przed wypłatą
- duch, widmo
- uszkodzony to kancera
- polarna i o wschodzie słońca

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-893”. Do rozlosowania CD „The Nochats’ Dance” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 27 stycznia 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-890” z 6 stycznia: *Postanowienia noworoczne.* Nagrody otrzymują: Zofia Biszewska ze Szczecina, Łukasz Bondyra z Lublina, Włodzimierz Karasiński z Wolina.

PENETRACJE

Press ANDRZEJ SKWORZ, REDAKTOR NACZELNY

Po trzech latach straszenia repolonizacją, a potem demonopolizacją mediów Prawu i Sprawiedliwości udało się niewiele. Naciskami albo pieniędzmi skłoniło jeden duży portal i jedną dużą telewizję, by ich dziennikarze lepiej od pozostałych dostrzegali zalety nowej władzy i wady tego, co się działo przez „osiem ostatnich lat”. A plany były dużo większe. Polskie media, podobnie jak te na Węgrzech, miały wspierać dobrą zmianę, a przynajmniej nie rzucać jej kłód pod nogi. Orbán poradził sobie z tym problemem doskonale.

IFORUM za Süddeutsche Zeitung JEREMY RIFKIN, AMERYKAŃSKI SOCJOLOG I EKONOMISTA

Kapitalizm będzie jeszcze istniał, ale nie będzie już dominował. Obok niego zdołaby sobie miejsce ekonomia dzielenia – pierwszy nowy model gospodarczy od czasu powstania kapitalizmu i socjalizmu. Siedmiu najbogatszych ludzi posiada tyle, co uboższa połowa świata. Coś musi się zmienić – i tak też będzie. Internet rzeczy przynosi decentralizację. Obok monopolistów powstają tysiące po części niekomercyjnych firm, które tworzą aplikacje i platformy. U progu stoi trzecia rewolucja przemysłowa, która może silnie zwiększyć produktywność i stworzyć miliony miejsc pracy. Obecnie w sieci są 3 mld ludzi, za 10 lat będą połączeni wszyscy.

charaktery PROF. HENRYK SKAR- ŻYŃSKI, ŚWIATOWEJ magazyn psychologiczny

ŚŁAWY OTOCHIRURG, DYREKTOR ŚWIATOWEGO
CENTRUM SŁUCHU W KAJETANACH

Z niedosłuchem zmagają się 50-latkowie i młodszy. Z danych Światowej Organizacji Zdrowia wynika, że 50% dzieci i nastolatków żyjących w najzamożniejszych i średnio zamożnych krajach jest narażonych na niebezpieczny dla zdrowia poziom decybeli, płynących z przenośnych urządzeń audio. Niestety, ryzyko pojawienia się uszczerbków słuchu może dotyczyć ponad miliarda nastolatków i młodych ludzi, którzy słuchają głośnej muzyki przez słuchawki. W codziennej praktyce spotykam coraz więcej młodych pacjentów z pohałasowymi uszkodzeniami słuchu.

Gala ANDRZEJ PĄGOWSKI, NAJBARDZIEJ ZNANY POLSKI PLAKACISTA

Jak wygląda pana dzień?

– Budzę się o 10.30-11. Potem co najmniej pół godziny na zabiegi: golenie, kremik pod oczy, takie sprawy... Śniadanko spokojnie, żadnych nerwów. Spotkania zaczynam ok. 13, potem do pracy w mojej firmie Kreacja Pro – to trwa do 18.30-19. Wieczorami często teatr, kino, premiery, wernisaże, spotkania albo, jak dzisiaj, jeszcze nagranie w Superstacji, albo do domu. Mniej więcej od 21.30-22 do 2.30-4 pracuję. Taki jest system. Dlatego tak późno zaczynam dzień. Nigdy inaczej nie pracowałem.

Aby język giętki...

PROF. ADAM ROTFELD O ZAGROŻENIU DEMOKRACJI

Już Platon ostrzegał, że demagogzy wykorzystują wolność słowa, aby stać się tyranami.

BRONISŁAW KOMOROWSKI O BEACIE SZYDŁO

Kiedy była przyjmowana ustawa o dialogu, stała przed kopalnią Brzeszcze i zachęcała górników do strajku, a nie do dialogu.

MARIA SEWERYN O MĘSKOŚCI

Męskość to nie silna ręka i wielkie ego. Męskość to spokój i wielka czułość.

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO O STUDENTACH

Straszny jest widok mężczyzny płaczącego podczas egzaminu, kiedy nawet jeszcze nie zacząłem pytać.

JOANNA KULIG O REAKCJI NA NAGRODY EFA

Darłam się ze szczęścia jak szalona, aż w pewnym momencie przestraszyłam się, że może dojść do wcześniejszego porodu.

KAROLINA GRUSZKA O AKTORACH

My, aktorzy, musimy być czujni, bo jesteśmy bezustannie poddawani ocenie, komplementowani i krytykowani na przemian z równą żarliwością.

LEON TARASEWICZ O CHŁOPACH

Chłop nie wierzy władzy – obojętnie jakiej. A jednocześnie z każdą trzyma, bo to się opłaca.

MATEUSZ DAMIĘCKI O ULUBIONYM CYTACIE

Nigdy nie mów o sobie źle, inni z pewnością zrobią to lepiej.

MAŁGORZATA BOGDAŃSKA, ŻONA MARKA KOTERSKIEGO, O SOBIE

Ja szukam toksycznych związków tylko na scenie, tam lubię stan podgorączkowy. Ale w życiu to ja lubię być szczęśliwa.

KRYSTYNA JANDA O JEŹDZIE NA NARTACH

Z obawy o kręgosłup i niespodziewane urazy cztery lata temu odpięłam narty i powiedziałam „koniec”.



Sprzedawca damskich ubrań czyta Koran, czekając na klientów w swoim sklepie w Lahore, Pakistan.

FOT. AFP/EAST NEWS

Obserwująca Mona Liza

Tzw. efekt Mony Liza nie istnieje. Do takiego wniosku doszli naukowcy po przeanalizowaniu kierunku, w jakim patrzy Gioconda. Efekt Mony Liza polega na wrażeniu, że osoba portretowana obserwuje nas, niezależnie od miejsca, z którego na nią patrzymy. Naukowcy dokonali 2 tys. pomiarów spojrzenia postaci, które przeprowadzili z różnej odległości i pod różnymi kątami. Odchylenie spojrzenia Mony Liza wynosiło 15,4 st., podczas gdy rozmówcy znajdujący się w nieznaczącej odległości, patrząc na siebie, mogą odchyłać swoje spojrzenie o ok. 5 st. Mona Liza patrzy więc w prawo.

Do szkoły, marsz!

Francuski ruch niezadowolonych nauczycieli (tzw. czerwone długopisy, fr. *stylos rouges*) zamierza protestować, domagając się podwyżek, lepszych warunków pracy i zwiększenia liczby etatów. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie formuła podjętego protestu. Nauczyciele zamierzają m.in. stawiać swoim uczniom... wyłącznie dobre oceny. Takie działania na pewno przysporzą temu ruchowi sympatyków. Ciekawe, na jakie pomysły wpadną kolejni niezadowoleni: policjanci, czyli „niebieskie światła” (*gyros bleus*) i personel szpitali, czyli „białe fartuchy” (*blouses blanches*).

Media społecznościowe na ratunek

Sześciolatka ze stanu Michigan za pomocą mediów społecznościowych wysłała swoim krewnym zdjęcie nieprzytomnych rodziców. Ci zawiadomili służby ratunkowe, które po wejściu do domu stwierdziły, że ojciec dziewczynki nie żyje od co najmniej 24 godzin, a macocha jest nieprzytomna. Śledczy ustalili, że oboje przedawkowali narkotyki.

MEMY BEZ ŚCIEMY



Niewidoczne kobiety

Znany francuski prezenter telewizyjny Yann Moix wywołał powszechne oburzenie, gdy na łamach magazynu „Marie Claire” stwierdził, że byłby „niezdolny” do pokochania kobiety, która skończyła 50 lat. Takie panie są dla niego „niewidoczne”. W ramach oburzenia „niewidoczne” kobiety zaczęły publikować swoje zdjęcia w sieci. Przekonują tym samym, że podobają się sobie takimi, jakimi są. Jedną z nich – 52-letnia dziennikarka Colombe Schneck – zamieściła swoje roznieglizowane zdjęcie z komentarzem: „Ale z ciebie kretyn. Nie wiesz, co tracisz”.

36 FINAŁ OGÓLNOPOLSKIEGO TURNIEJU MAŁYCH FORM SATYRYCZNYCH

6 KWIETNIA BOGATYNIA
MIASTO SATYRY I ENERGII



Satyrzycy, do dzieła!

- Zgłoszenia do konkursu na tekst satyryczny należy przysyłać pod adresem: Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych ul. Szttygarska 21, 59-920 Bogatynia do 10 marca 2019 r.

Teksty powinny być podpisane godłem. W oddzielnej kopercie należy dołączyć swoje dane (imię i nazwisko, adres do korespondencji, adres e-mail, telefon kontaktowy). Tego samego godła należy użyć, przysyłając prace drogą elektroniczną.

I nagroda – 3000 zł, tytuł Księcia Łgarzy oraz statuetka Złotego Kosy

- Zgłoszenia do głównego konkursu na krótką prezentację sceniczną (w formie multimedialnej, wraz z kartą uczestnictwa) należy przesłać pod adresem: Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych, ul. Szttygarska 21, 59-920 Bogatynia (w przypadku linku do wiadomości mejlowej powinien być załączony podpisany skan karty uczestnictwa) do 10 marca 2019 r.

I nagroda – 5000 zł, tytuł Króla Łgarzy oraz statuetka Kozła

- Pojedynek Gości o Nagrodę Publiczności – przegląd najciekawszych zjawisk na scenie kabaretowej i satyrycznej, odbędzie się w czasie koncertu finałowego. Do udziału w pojedynku zaprasza organizator turnieju na podstawie rekomendacji Rady Artystycznej.

Nagroda – 5000 zł oraz statuetka Szczupłego Andrzeja trafi do wybrańców bogatynskiej publiczności

Szczegółowe informacje dotyczące regulaminu konkursów oraz kartę uczestnictwa można znaleźć na stronie internetowej www.turniej.com.pl

ZAPRASZAMY Z UŚMIECHEM

Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych w Bogatyni



Moda to nie zawsze wygodna. Hinduskie modelki prezentują kreacje na wiosnę i lato, a modelka w Kuwejcie strój inspirowany tradycyjnym tkactwem.

Napiwek w samolocie

Powszechne w Stanach Zjednoczonych napiwki spotykane są również na pokładach samolotów. Tani przewoźnik lotniczy z USA – Frontier Airlines – zmierza wprowadzić możliwość dawania napiwku konkretnym stewardesom lub stewardom. Dotychczas napiwki były dzielone po równo. Od niedawna pasażer, płacąc kartą za zamówiony na pokładzie posiłek, może zdecydować, czy do rachunku chce doliczyć napiwek i wprowadzić na terminalu jego kwotę. Kwota ta będzie bezpośrednio trafiać do stewardesy lub stewarda, zwiększając ich miesięczne dochody.

Duchy w pracy

Brytyjski „The Telegraph” podaje, że coraz więcej firm obawia się „ghostingu”, czyli sytuacji, w której pracownicy z dnia na dzień, bez informowania pracodawcy ani złożenia formalnego wypowiedzenia, przestają przychodzić do pracy. Podobny problem dotyczy rozmów kwalifikacyjnych – potencjalni pracownicy zgadzają się na zaproponowany termin spotkania, jednak na nim się nie pojawiają. Nie wiadomo na razie, jak duża jest skala tego zjawiska, jednak dostrzegły je już media brytyjskie i amerykańskie. Problem ten dotyczy zwłaszcza pokolenia tzw. milenialsów.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

[Małgorzata Tabaka]

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Przemysław Garczyński **PERSPEKTYWA +**



do 22 lutego

Pawilon Sztuki ERGO Hestia
Warszawa, ul. Kostrzewskiego 1

Pierwsza w tym roku wystawa w Pawilonie Sztuki ERGO Hestia to nowy cykl malarski finalisty 17. edycji konkursu Artystyczna Podróż Hestii, Przemysław Garczyński. Udowadnia ona, jak szerokie jest pole widzenia artysty, inspirowane spuścizną awangardy, nawiązujące do twórczości Henryka Berlewiego czy Theo van Doesburga. W kompozycjach intencjonalnie pominięty został element ludzki, najważniejsze są konstrukcja i przestrzeń, co nie znaczy, że Garczyński człowieka marginalizuje. Najbardziej interesuje go jednak to, co człowiek po sobie pozostawia – industrializm połączony z pierwiastkiem metafizycznym.

Zwycięzca festiwalu w SUNDANCE

ŁŁE WYCHOWANIE
CAMERON POST



MFF W SYDNEY
KONKURS GŁÓWNY



Nagroda Główna
sundance
film festival



MFF W VALLADOLID
NAJLEPSZY FILM
(NAGRODA SILVER SPIKE)
YOUTH JURY AWARD



WIĘCEJ NIŻ STANDARDOWA OPowieŚĆ O DOJRZEWANIU

W KINACH OD 25 STYCZNIA

AURORA

Posłuchaj serca i podaruj 1% na dom dla opuszczonych dzieci



SOS WIOSKI
DZIECIĘCE



W SOS Wioskach Dziecięcych mieszkają zastępcze rodziny SOS. Nowy dom znajdują tu dzieci pozbawione opieki rodzicielskiej. Dzięki wsparciu darczyńców wybudowaliśmy cztery Wioski SOS, w których przygotowujemy dzieci do dorosłego życia. Twój 1% przeznaczymy na zapewnienie dzieciom opieki oraz sfinansowanie specjalnych potrzeb medycznych i edukacyjnych.

Aby pomóc, wystarczy wpisać **KRS 0000 056 901**
w odpowiednią rubrykę formularza PIT.
www.wioskisos.org

